

listopad'88

# kultura

## NIEZALEŻNA

45

listopad'88

# **kultura niezależna**

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

# **45**

## SZKICE

Tzvetan Todorov - Estetyzacja polityki - 3

Piotr Stasiński - "Ptak stroszy pióra..." - 11

Taras Kuzio - Gorbaczow, głośność Ukrainy - 25

## SWIADECTWA

Po powrocie /rozmowa z Ojcem Józefem M. Bocheńskim/ - 46

Historyk o pierestrojce /rozmowa z Adamem Michnikiem/ - 56

Jestem przeciwko partiom /rozmowa z Markiem Nowakowskim/ - 70

## RAPORTY

Jan Kondrak - Będąc artystą, pojechał do Sofii + 82

Jan Kondrak - W widłach Huczwę i Bugu - 94

Robert Jezierski - Granica surrealizmu - 98

## RECENZJE

Jan Walc - Miara historii - 111

Marek Wojciechowski - Rysy w portrecie - 117

Leon Bober - Między sierpniem a... - 124

Jerzy Ryba - Okręgowa wystawa plastyki "Wrocław '88" - 131

Stanisław Krzysztofowicz - Wrócić do Pragi - 135

## FELIETONY

Leopolda - Moim zdaniem... - 139

Andrzej Oseka - Zamęt w symbolach - 143

## DOKUMENTY

Białe krzyże /na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu/ - 147

WYDARZENIA /red. Leon Bober/ - 154

# SZKICE

TZVETAN TODOROV

## ESTETYZACJA POLITYKI

W maju 1987 roku rząd francuski zdecydował się na wytoczenie z hałasem publicznego procesu byłemu naziście Klausowi Barbie, żeby przypomnieć nowym pokoleniom okropności nazizmu. Niecały rok później, około 15% wyborców francuskich, czyli ponad 4 miliony ludzi, oddało swoje głosy na partię skrajnie prawicową, odwołującą się do wartości nazistowskich. Trzeba powiedzieć, że poglądy faszystowskie nie budzą już lęku.

W ten właśnie kontekst wypada wpisać kilka wydarzeń czysto intelektualnych, nawiązujących do tematu "heideggeryzm a skrajna prawica". We Francji najpierw wynikła sama "sprawa Heideggera", sprowokowana ukazaniem się książki Victora Fariasa "Heidegger i nazizm", w której zebrane zostały dostępne dokumenty, dotyczące politycznego zaangażowania filozofa. Następnie była "sprawa Beaufreta": dowiedzieliśmy się, że ten uprzywilejowany rozmówca Heideggera we Francji /adresat "Listu o humanizmie"/ i, aż do końca, kapłan świątyni ortodoksyj-



nych heideggerystów, w ostatnich latach przychylił się do opinii, zwanych "rewizjonistycznymi", negujących istnienie komór gazowych. Jednocześnie w Stanach Zjednoczonych toczyła się "sprawa de Mana": odkryto, że ten zmarły w 1984 roku profesor literatury, wpływowy propagator filozofii Heideggera i obrońca "dekonstrukcji", metody interpretacyjnej, wywodzącej się z tej filozofii, w latach 1941-1942 z radością witał wkroczenie armii hitlerowskiej do Belgii, gdzie wówczas mieszkał. Moglibyśmy dorzucić do tej listy nieco dawniejszą "sprawę Blanchota": Jeffrey Mehlman w książce "Spuścizna antysemityzmu we Francji" przypomniał antysemitę postawę Maurice'a Blanchota /krytyka literackiego orientacji heideggerowskiej/ w latach 1936-1938.

Ale skąd te wszystkie "sprawy"? Przecież w latach 1933-1945 nie tylko Heidegger, Blanchot i de Man należeli do tej czy innej partii o profilu faszystowskim. I dziś byłoby pewną zarozumiałością z naszej strony obciążanie tych autorów: łatwo być bohaterem po czasie. Tylko, że nie w tym problem. Nie chodzi bowiem o napiętnowanie, raz jeszcze, winnych, lecz o zastanowienie się nad znaczeniem naszej niedawnej przeszłości. Tymczasem w tej sprawie trudno mówić o zbieżności poglądów. Książka Fariasa ukazała się obok kilkunastu innych poświęconych temu samemu problemowi; spowodowała pojawienie się setek artykułów w pismach i prasie codziennej. Dzięki tej dyskusji filozofia wkroczyła nawet, i to wielokrotnie, do telewizji. Sprawa Heideggera stała się mini-sprawą Dreyfusa. Żeby podsumować jednym zdaniem sytuację: wbrew temu, czego należałoby oczekiwać, większość intelektualistów francuskich starała się bronić Heideggera i ludzi z jego kręgu. I właśnie ta obrona stanowi dziś problem. Na czym ona polega i co oznacza? Jakiego niepokoju jest symptomem?

## Strategie uniewinniania

Dla większej jasności zaczniemy od różniczenia głównych strategii argumentacyjnych zastosowanych przez apologetów heideggeryzmu.

1. Negacja faktów. Najprostsza strategia polega oczywiście na negowaniu w całości faktów, bez względu na dowody dostarczone przez przeciwnika. Strategia ta była już często stosowana przez "rewizjonistów". Beaufret osobiście oświadczył w 1984 roku, że Heidegger nigdy nie uczynił niczego naganego, i że badanie jego filozofii pod względem politycznym jest "sprzysiężeniem miernot w imię mierności". Książka Fariasa została potraktowana jako "haniebny falsyfikat" i "oszczerczy donos". Odpowiedź na te inwektywy jest równie prosta: wystarczy przeczytać teksty /które bez wątpienia tłumaczą, dlaczego Farias miał takie trudności z opublikowaniem swojej książki/. Heidegger w sposób jak najbardziej oczywisty przystał do narodowego socjalizmu i donosił na swoich kolegów-Żydów. De Man bez wątpienia sugerował "rozwiązanie problemu żydowskiego" przez deportację i chwalił zarówno nastanie rządów Hitlera jak i "znakomite zachowanie się najeźdźcy o wysokiej kulturze" /żołnierze niemieccy we Francji/. Blanchot nawoływał do zajmowania postaw anty-żydowskich, utożsamiając przy tej okazji Żydów z bolszewikami. Fakty są uparte.

2. Rozdział między człowiekiem i dziełem. Ta strategia jest może nieświadomie, stosowana również przez niektórych krytyków Heideggera, Blanchota i de Mana, którzy autorom tym zarzucają głównie brak publicznej skruchy po wojnie i chęć minimalizowania lub wręcz ukrycia ich wcześniejszych postaw. Jest to więc zarzut, który odwołuje się wyłącznie do biografii człowieka, nie biorąc pod uwagę związku między życiem a

myślą. U obrońców zaś staje się to czymś w rodzaju spotęgowanego manifestu "Przeciw Sainte-Beuve'owi": człowiek zostaje przeciwstawiony dziełu. Oczywiście wcielenie doktryny w życie jej twórcy jest tylko jedną z możliwych relacji między ideami i światem. Należy tu unikać przesadnych uproszczeń: nie jest tak, jak sądzą niektórzy marksiści, że sposób bycia wytwarza idee z tą samą monotonią, z jaką jabłoń rodzi jabłka. Ani też, że należy odrzucić wszelką relację między doktrynami i działaniami. Między tymi dwiema skrajnościami jest dość miejsca na odniesienia bardziej złożone, biorące pod uwagę zarówno obecność lub brak przystawalności, jak i warunki - mniej lub bardziej sprzyjające. Nie jest napewno przypadkiem, że w okresie 1933-1945 większość heideggerystów znalazła się po stronie skrajnej prawicy: idee głoszone przez Heideggera i myślących podobnie jak on, musiały stanowić przynajmniej dogodny teren dla przyjmowania takich pozycji. Z kolei demokracja nie jest tolerancją obojętną wobec wszelkich idei: charakteryzuje ją dialog, a nie przemoc, rozsądna argumentacja, a nie uwielbienie dla charyzmatycznego wodza, działanie dobrowolne, a nie fatalistyczne podporządkowanie tradycji, ideały powszechności i równości, a nie wspieranie partykularyzmu.

Książka Karla Löwitha "Moje życie w Niemczech przed i po roku 1933", napisana w 1940, lecz dopiero teraz wydana, wiele pod tym względem wyjaśnia: autor, będąc przecież Żydem, mówi o swoich doświadczeniach, jako ucznia Heideggera. Jak na prawdziwego filozofa przystało, Löwith jest szczególnie wyczulony na polityczne implikacje idei filozoficznych - nawet tych, które były mu najbliższe. Doświadczył na własnej skórze, że kult "niebezpiecznego



życia" prowadzi "przez liczne zakręty, a jednak bezpośrednio, od Nietzschego do pamiętnych zdań Goebbelsa". Ukazuje więc, w jaki sposób poeci i pisarze jak Spengler, George czy Gundolf przygotowali teren dla triumfu faszyzmu - nawet, jeśli osobiście ci sami autorzy oburzali się na prymitywizm Hitlera i nie chcieli go popierać. Przypomina, że tym, co zgubiło Niemców w tych ponurych latach, była właśnie tradycja oddzielania abstrakcyjnych idei od konkretnych faktów. Löwith zdobył się na trudną pokorę przyznając, że w okresie swojej filozoficznej młodości przyczynił się do "dehumanizacji człowieka" - do niszczenia tego, co później stało mu się tak bliskie.

3. Prawda i sprawiedliwość nie istnieją.  
Ta trzecia strategia, sprowadzająca się do stosowania pewnego rodzaju "magii sympatycznej", bierze w obronę ojców dekonstruktywizmu za pomocą ich własnej metody dekonstruktywnej. Bo prawda i sprawiedliwość absolutne przecież nie istnieją, a my popadamy zawsze w złudzenia językowe. Próby wyjścia z tej sytuacji, osiągnięcia większej jasności, mogą nas tylko bardziej pograżyć. Zrezygnujmy więc z potępiania przeszłości, gdyż to stwarzałoby złudzenie, że przyszłość może być od niej inna, podczas gdy każdy plan polityczny jest potencjalnie totalitarny.

W dekonstruktywnej nocy wszystkie koty są bez wątpienia szare. Ale zostawmy spekulacje językowe. Prawda absolutna być może nie istnieje - a jednak eksterminacja Żydów jest bez wątpienia prawdą, a nie interpretacją. Dobro absolutne jest napewno nie z tego świata, ale donoszenie na swoich żydowskich kolegów/jak to czynił Heidegger/ jest złem, a pomoc w ratowaniu ich życia - dobrem. Z pozoru pokorna postawa dekonstrukcjonistów /nic nie jest pewne/ wydaje mi się ukrywać w rzeczywistości niesłychaną



pogardę dla tych wszystkich, którzy pragną więcej sprawiedliwości i prawdy. Zwolennicy i przeciwnicy Dreyfusa, pro- i antyhitlerowcy cierpieliby więc na tę samą ułomność, a prawdziwa mądrość polegałaby na niezajmowaniu stanowiska. Gdyby de Man dostrzegł, że jego zaangażowanie polityczne było błędem, wysnułby z tego wniosek, że wszelkie zaangażowanie jest błędem z założenia. Czy to nie zbyt łatwy sposób oczyszczania się z winy? Errare humanum est. Kto z nas mógłby twierdzić, że zachowałby się nienagannie w równie trudnych okolicznościach? Ale stąd jest tylko jeden krok do myślenia, że rozróżnienie między błędnym i słusznym nie leży w możliwościach człowieka.

4. Niekoherencja doktryny. Ostatnia strategia polega na dostrzeganiu pęknięcia już nie między człowiekiem a dziełem, lecz między dwiema częściami dzieła, z których tylko jedna zachowuje związek z człowiekiem. Sugeruje się na przykład, że nazistowskie zaangażowanie Heideggera tłumaczyłoby się obecnością w jego myśli szczątków klasycznej filozofii europejskiej. To one właśnie wydają się naganne, a nie oryginalny wkład Heideggera do filozofii. Widzimy tu zdumiewające pobłażanie dla wspomnianych autorów, którzy sami nie dostrzegli własnej pomyłki. Wątpliwe jednak, aby tak wyrafinowane umysły mogły być nieuważne aż do tego stopnia. W tej sprawie należy przyznać rację Heideggerowi stwierdzającemu, że jego zaangażowanie polityczne związane jest z samą istotą jego filozofii. To samo dotyczy ewolucji w czasie: jeśli pozornie mamy do czynienia z całkowitym odwróceniem postaw u Blanchota między rokiem 1937 i 1967, bo przecież przeszedł od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy, to należy jednak przyznać mu zasługę ciągłości: odrzucał zawsze te same wartości demokracji.

## Polityka intelektualistów

Heideggeryści lat 1933-1945 uwielbiali skrajne idee polityczne. Naturalnie, nie byli w tym odosobnieni. Zarówno przed jak i po wojnie, prawdopodobnie o wiele więcej intelektualistów oddało się ciałem i duszą jednemu z wariantów marksizmu politycznego: stalinizmowi, trockizmowi, maoizmowi, centryzmowi... Jeśli dorzucić do tej listy przypadki odosobnione, jak - krótkotrwałe, to prawda - poparcie Michela Foucaulta dla reżimu Chomeiniego, i zsumować te różne tendencje, to stwierdzimy, że postawy takie, choć nie jedyne, były jednak reprezentatywne dla większości środowisk intelektualnych. Jest w tym zagadka: o ile od dwustu lat przeważająca część ludzi w krajach zachodnich opowiada się za demokracją, o tyle intelektualści, a więc ci najbardziej, w zasadzie, oświeceni, zawsze preferowali reżimy brutalne i tyrańskie. Gdyby w tych krajach prawo wyborcze zarezerwowane było wyłącznie dla intelektualistów, żylibyśmy dzisiaj w systemie totalitarnym - i nie musielibyśmy głosować! Jak to się dzieje, że przeciętni ludzie są politycznie mądrzejsi niż elita? Jeśli współcześni intelektualści mają takie kłopoty, aby prze-trwać przeszłość swoich poprzedników, to czy można tłumaczyć to jedynie trudnością, jaką zawsze sprawia rachunek sumienia i potępienie tego, co się kochało, czy też należy szukać wyjaśnienia całościowego, racji - możnaby rzec - strukturalnych?

Racje te, jeśli istnieją, winny odnosić się do podstawowych zasad naszych społeczeństw. Zasada, o którą tu chodzi, to niezależność: społeczeństwa demokratyczne uważają się za samostanowiące, zarówno jednostka jak i zbiorowość mają w nich prawo ustanawiania swoich własnych norm. W tym kontekście krytyka norm istniejących jest

zasadniczą funkcją życia społecznego, a intelektualisci utożsamili się z tą właśnie funkcją. I skoro drogą wybraną przez większość jest demokracja, uważają oni za swój obowiązek zakwestionowanie jej. Z tego punktu widzenia dzisiejszy heideggeryzm przychodzi po prostu przejąć pałeczkę od zadywanego marksizmu, i dlatego właśnie już od teraz może stać się lewicowym. Jeśli tę interpretację, zaproponowaną przez Ferry'ego i Renauta, kontynuować, można dojść do właściwego postawienia problemu: intelektualisci nie powinni rezygnować z działalności krytycznej, lecz uprawiać ją w imię aktualnej rzeczywistości, zamiast sytuować się poza nią i w całości ją odrzucać. Przecież zasada demokracji nie jest w pełni zrealizowana i często zawodziła, wchodząc w podejrzaną związki. Można więc krytykować kraje demokratyczne, mając za punkt wyjścia właśnie ideał demokracji.

Powiedzmy to wszystko jeszcze inaczej: od kiedy zanikły normy zewnętrzne, większego znaczenia - jak się zdaje - nabrał model sztuki, ponieważ sama sztuka jest odwzorowaniem modelu niezależności. I oto intelektualisci, pisarze i artyści zaczęli stosować kryteria estetyczne w dziedzinie etyki i polityki. Żądano, aby projekty polityczne, tak jak dzieła sztuki, były bulwersujące, radykalnie nowatorskie, zapewniające intensywność przeżyć. Tymczasem w tej dziedzinie zuchwałość myśli niekoniecznie jest atutem: w polityce tylko umiarkowanie jest cnotą, nie ekstremizm. Ta estetyzacja polityki jest oczywista w reżimach totalitarnych, ale w sposób bardziej skryty jest ona także faktem w życiu codziennym krajów demokratycznych. Należałoby więc wykonać pewną pracę, żeby martwe prawdy objawione zostały zastąpione nie przez piękno, lecz przez consensus wynikły z dialogu.

Oczarowani pięknem idei intelektualności zbyt często uznają, że rzeczywistości im odpowiadające muszą być równie piękne - aż do dnia, kiedy stają oko w oko z realnym faszyzmem czy komunizmem. Ilu błędów dałoby się uniknąć, gdyby zechcieli oni wybrać, jako zasadę, postawę odwrotną: uznać jakieś przekonania za swoje wtedy dopiero, gdy gotowi są sami ponosić odpowiedzialność za ich realizację. No cóż. czasem można sobie pomarzyć...

Tzvetan Todorov

tłum. z franc. H. S.

---

Tekst ten ukazał się w "Lettre Internationale", nr 17, lato 1988, s. 82. Tytuł polski pochodzi od tłumacza.

PIOTR STASIŃSKI

"PTAK STROSZY PIORA..." - O INTERPRETACJI  
PUBLICYSTYCZNEJ

"Słowo Miłosza nieustannie tropi tysięczne przebrania kłamstwa, prawdy dotyka jedynie poprzez zaprzeczenie temu, co się za nią podaje. Wskutek takiej orientacji ogniska uwagi, z lat okupacji, z tego czasu ostatecznej próby całego pokolenia, znika niemal wszystko, co nie wiedzie ku późniejszemu tryumfowi metody. Znaki życia o wymowie innej niż ta, którą Miłosz postanowił śledzić i przed którą postanowił przestrzegać, pozostają poza obrębem pola jego rozważań." Rozważania te to "Zniewolony umysł" a cytata pochodzi z artykułu Jana Strzelec-



kiego o książce Miłosza, pt. "W człowieku nie ma nic", zamieszczonego w "Res Publica" 1988 nr 1 /s. 50/.

Dokonana przez Jana Strzeleckiego interpretacja "Zniewolonego umysłu" wykazuje zawartą w tej książce deformację przez pominięcie. Strzelecki nie pisze tego wprost, ale zapewne chodzi tu o pominięcie postaw heroicznej wierności wartościom wbrew nihilizmowi; postaw które nie były właściwe ludziom moralnie "wypalonym" i nie sprzyjały przyjmowaniu "nowej wiary" komunizmu w sposób desperacki /z desperackim cynizmem - jeśli wolno zaryzykować takie określenie owej mieszanki uczuciowej/. Postawy takie, jeśli stanowiły podatny grunt dla komunizmu, to w każdym razie z powodu innych złudzeń niż te, które wynikały z okupacyjnego pogromu wartości kultury.

Interpretacja Strzeleckiego jest przeto wydobyciem, powiedzielibyśmy, publicystycznego skrzywienia /czy skażenia/ eseju Miłosza. Sama ona jest jednak również interpretacją publicystyczną. Wprawdzie zwraca się przeciw antyempirycznej, dedukcyjnej jednostronności "Zniewolonego umysłu" /przeciw cesze właśnie publicystycznej/, ale przyporządkowuje jej tylko jeden poziom /czy aspekt/ rekonstrukcji intelektualnej zdarzeń, a mianowicie - poziom sporu socjopsychologicznego. W podobny sposób można by polemizować ze "Zniewolonym umysłem" /ale również i z "Próbnami świadectwa" samego Strzeleckiego/, dowodząc np., że jakkolwiek dla pokolenia inteligencji okupacja niemiecka była ostateczną próbą moralną i próbą kultury duchowej, to jednak dla pokolenia w sensie ponadklasowym i populacji w ogóle - była to przede wszystkim ostateczna próba żywotności gatunkowej. Tj. zbiorowej sprawności obronnej w sytuacji skrajnego zagrożenia. I można by rozważać, jakie momenty i kiedy brały górę: czy adaptacyjne, czy

też nastawione na przełamanie opresji, czy "rezystencjalno-konstytucjonalne" /posługując się terminem naśladowanym z biologii/.

Jednakże "Zniewolony umysł" jest utworem artystycznym - w tym sensie, że /z interesującego nas tu aspektu/ nie pretenduje do "wyczerpania zagadnienia", tzn. do poprawnych wniosków indukcyjno-empirycznych. Jest to nie tylko pamflet, ale i książka o ambicji metafizycznej, zajęta zjawiskiem otwierania się myślowej zapadni u ludzi, dla których myśl właśnie jest dziedziną twórczości. I nie jest do końca jasny status doświadczenia okupacji - po stronie przyczyn otwierania się tej zapadni czy po stronie objaśniania jej mechaniki. Psychiczno-intelektualne mechanizmy, w książce Miłosza opisane, mogą, choć nie muszą, być uniwersalne, ale jeśli tak - to nie na sposób statystyczny, a raczej fenomenologiczny.

Interpretacja publicystyczna utworu literackiego polega natomiast na tym, że w sposób finalny strukturalizuje ona utwór, najchętniej za pomocą kategorii, które są skądinąd znaną, umysłową własnością zbiorową. Tak czyniąc, interpretacja publicystyczna - jak mówimy potocznie - "pozbawia utwór głębi", co przede wszystkim oznacza, że d e f i n i u j e przeważnie do końca w utworze artystycznym nie zdefiniowane stosunki między "instancjami" podmiotowymi. Interpretacja publicystyczna przekreśla wykreowaną w utworze artystycznym maskaradę, grę przebrań i charakterów; w poszukiwaniu "przesłania" czy "wymowy" utworu - psuje misterium. Przeciwwstawia mu zdrowy rozsądek: skorośmy gotowi dociekać, co chciał nam autor ostatecznie powiedzieć, musimy założyć, że wiemy, kto do nas właściwie przez utwór przemawia. Tam, gdzie jest migotanie, interpretacja publicystycz-

na wykreśla kontur. Tam, gdzie są filiacje - ustala związki tożsamości. Literackie konwencje artystyczne /również genologiczne/ w dużym stopniu polegają na tym, że pozwalają uniknąć przesadzania o użytkowej modalności tekstu, czyli o tym, jak to, co powiedziane, należy traktować. Interpretacja publicystyczna natomiast dąży do bezwzględnej rekonstrukcji owej modalności. Nie chodzi o jednoznaczność semantyczną, lecz o jednoznaczność pragmatyczną. Interpretacja publicystyczna może być zgodna z interpretacją artystyczną, gdy chodzi o to, co zostało powiedziane. Najpewniej jednak różnić się będzie co do określenia tego, kto d o k ł a d n i e mówi i w jakim celu. Zapewne też pominie lub zredukuje rozważania nad środkami, za pomocą których "komunikat został nadany". Trzeba tu jednak zastrzec, a zostanie to w dalszym ciągu rozwinięte, że autor niniejszego nie opowiada się za poglądem, że interpretacja publicystyczna po prostu fałszuje utwór artystyczny. W pewnym sensie jest wręcz przeciwnie.

W swej najnowszej książce Adam Michnik zadaje "Polskie pytania". Zarazem jednak wszystko, co mówi - w tekście i podtekście tej książki - jest właściwie o d p o w i e d z i ą. Odpowiedź tę poznajemy przede wszystkim przez niezwykle wyraziście narzucającą się ramę tekstów. Rama ta jest uwewnętrznioną w tekście konsytuacją i przeto najważniejszym składnikiem ekspresji autorskiej. Ramę tę określa, poza podpisami pod poszczególnymi tekstami, pierwsze zdanie "Noty od wydawcy": "Polskie pytania - to książka, której zasadniczą część powstała w polskich więzieniach".<sup>1</sup>

Następnie owa odpowiedź na polskie pytania rozkłada się na liczne, stanowiące podstawę, interpretacje publicystyczne tekstów literackich. Nigdzie Michnik nie wypowia-

da jej wprost - byłoby to objawem pychy. Wdzięk, jeśli tak wolno powiedzieć, tej odpowiedzi, polega na dyskretnym jej zwerybalizowaniu. Autor naprowadza jednak na nią: morałem jest heroizm wolności wewnętrznej jednostki i aktywna wierność wartościom humanistycznym, na przekór współczesnej, jadowitej postaci nihilizmu - totalizmowi.

W książce Michnika czytamy następujące słowa o esej Bolesława Micińskiego "Podróż do piekieł":

"Opublikował go nakładem =Prosto z Mostu=, co - być może - zaciemniło nieco jego wymowę. Np. Iwaszkiewicz w swej recenzji całkiem nie dostrzegł - ale czy sam autor był tego świadom? - że przesłanie "Podróż do piekieł" kryło w sobie zasadniczy zrąb etycznej postawy, będącej odpowiedzią na czas totalitarnego barbarzyństwa i kapitulującej przed totalizmem liberalnej demokracji."

Jest to wyraźny anachronizm. Ideologia "Prosto z Mostu" miała dopiero stać się sprzeczna z wymową eseju Micińskiego, pisanego i publikowanego w osobnych częściach na łamach tygodnika w latach 1936-37. Pisarz ten zaś był raczej świadom, jaki "zrąb etycznej postawy" jego tekst zawiera, gdyż esej "Podróż do piekieł" jest jawnie moralistyczny. Mógł natomiast nie być przekonany, czy akurat "Prosto z Mostu" należy do "czasu totalitarnego barbarzyństwa", nie było bowiem wówczas jeszcze jasne, jaki program wyniknie z "kapitulacji liberalnej demokracji", którą to pismo namiętnie obwieszczało. Michnik jest tych rzeczy świadom - zamiast i w imieniu Micińskiego. Oczywiście - wolno mu; on nie bada literatury, lecz interpretuje ją publicystycznie.

Myśl etyczna Micińskiego, interpretującego Kartezjusza jest - według Michnika -



taka sama jak myśl etyczna Herberta wybierającego dla swej lirycznej osoby miano Pana Cogito. Jednak w kategoriach interpretacji Michnika niemożliwe jest wyjaśnienie, dlaczego Herbert przemawia wielogłosem, tj. m i ę d z y i n n y m i poprzez tę personę.

Podobnie, nie mogą tu zostać zinterpretowane pewne aspekty "liryki sytuacji i charakterów" Miłosza, o której m.in. traktuje esej Michnika pt. "Korespondencja z połowy wieku". Wiersz Miłosza "Na pewną książkę" zapowiedział Michnik tak oto:

"Przypomnieć należy także gorzki pamflet z 1944 na sposób myślenia polskiej inteligencji podczas okupacji..."

- po czym zacytował go w całości. Tak zinterpretowany, wiersz ten traci na wartości nawet jako publicystyka, ponieważ Miłosz szydzi tam i lituje się nad dość o k r e ś l o n ą ideologią inteligentką czy też filozoficzną reakcją na katastrofę historyczną; nie znęca się zaś nad inteligencją w ogóle. Można wysuwać hipotezy de-szyfrujące poszczególne przenośnie: konserwatywny solidaryzm chrześcijański, infantylny personalizm... Jednakże poza możliwościami publicystycznego objaśniania pozostaje przede wszystkim a m b i w a l e n c j a szyderstwa i litości, a także przyczyny i skutki semantyczne zatajenia przez Miłosza tytułu owej "pewnej książki". Niewykonalne jest zatem również wyjaśnienie zabarwiającego ten wiersz efektu "goryczy", który Michnik może tylko skonstatować. A jest tam, między innymi tego efektu czynnikami, w ostatniej strofie - obraz jak na jazdu kamery, zbliżenie uczty pijackiej, symbol /sarmackiego/ upadku, w którym jednak mówiący w dziwny sposób uczestniczy, mimo że poprzednio odrzucił bohaterów wiersza na dystans obelgi: "inteligenci w opadłych portkach wskrzeszający nowe średnio-

wieczu". Mówiący zwraca się do nich w drugiej osobie, będąc jakby bardzo blisko stołu, pod który wala się pijani, wśród alegorycznych potraw niedojedzonej filozofii. Obraz jest w ruchu - oko mówiącego pada na obrus:

I powoli w wielkie plamy  
Rozszerza się  
Czerwone wino.

Utwór artystyczny kreuje dystans między autorem a bohaterem, a także między intencją a tezą, wartości zaś, nawet hierarchizowane, oświetla z różnych punktów. Zabiegi te nie muszą /choć mogą/ wyróżniać się konsekwencją - nawet na poziomie metajęzyka. Interpretacja publicystyczna jest w stanie uwzględnić ironię i autoironię, ale staje bezradna, gdy środki te są przez podmiot wypowiedzi artystycznej na przemian rzucane do gry i - wycofywane; co albo zaciera tożsamość podmiotu, albo - przeciwnie - potęguje ją /przez zwielokrotnienie/. Zgoda na te zabiegi wymaga uznania, że "konsekwencja" artystyczna nie równa się praktycznej dyscyplinie intelektualnej. Można też być zdania, że owa "konsekwencja" artystyczna bliższa jest rzeczywistości doświadczeniu jednostki, wbrew "abstrakcji zbiorowości" /jak by powiedział Bolesław Miciński/.

Szkic Michnika "Korespondencja z połowy wieku" dotyczy opublikowanej w numerze 10 "Twórczości" z r. 1981 korespondencji Miłosza i Wańkowicza, w której ten pierwszy usprawiedliwiał swą kolaborację z powojennym komunistycznym reżimem, ten drugi zaś kontrował obarczone pewną self-pity argumenty poety. Autor szkicu próbuje z okupacyjnych wierszy Miłosza zrekonstruować, jak pisze, "duchowy bagaż, z którym poeta podążył na spotkanie komunizmu"<sup>5</sup>. W tym ujęciu, wiersze te stają się jakby lirycznym przygotowaniem "Zniewolonego umysłu", co - ponownie - wygląda na anachronizm,

konstrukcję racjonalizującą post factum. Przygotowaniem lirycznym "Zniewolonego umysłu" były raczej bowiem wiersze powojenne, nie z tomu "Ocalenie", lecz te zebrane w tomie "Światło dzienne", oraz "Traktat moralny".

Trafniejsza jest interpretacja Michnika w odniesieniu do "Traktatu moralnego" właśnie. Dydaktyczna konwencja poematu powoduje, że mniej są może rażące takie zdania interpretatora jak: "powyższe strofy poetyckie ilustrują ówczesny sposób rozumowania Czesława Miłosza"<sup>6</sup>. Nadal jednak nie są to zdania dopuszczalne w interpretacji artystycznej utworu, musiałaby ona bowiem zmierzyć przede wszystkim do wyjaśnienia w "Traktacie moralnym" - zależności i proporcji między pedagogią a soliloquium oraz sensu płynącego z niedefinitywności tych proporcji.

Jeszcze jeden utwór cytuje Michnik w swym szkicu w całości, zapowiadając go tak:

"Co do natury świata kształtowanego przez komunizm, nie miał Miłosz najmniejszych złudzeń. Swą ocenę sformułował w postaci monologu cynicznego propagandysty Przodującego Ustroju; ten monolog - zatytułowany "Dziecię Europy" - był także przestrożą pod swoim własnym adresem, był elementem wewnętrznego dialogu intelektualisty żyjącego hic et nunc w ramach konwencji długich noży=... To także obraz duchowości Europy wyniszczonej przez faszyzm i zdążającej ku nowemu łaadowi totalitarnemu."

Tutaj, przy utworze o skomplikowanej "linii ironicznej", interpretacja publicystyczna otwarcie zawiodła - stąd mnogość niezgodnych ze sobą określeń poematu. Nie jest to "monolog cynicznego propagandysty". Podmiotu tego wiersza nie da się określić za pomocą roli społecznej, jest to bowiem - by tak rzec - poglądowy konstrukt ideologiczno-emocjonalny, spersonifikowany po



to tylko, aby na przemian odrzucać i zapraszać do wspólnoty ze sobą. Jego przewrotność i antydydaktyzm w nowym świetle każą ujrzeć bardziej /zdawałoby się/ prostoduszny dydaktyzm "Traktatu moralnego"; zarazem jednak pewne uroczyste tony "Traktatu" pozwalają lepiej rozumieć funkcję pozorowanego cynizmu "Dziecięcia Europy". Zacytujmy tylko zakończenie tego poematu:

Z ustami zaciśniętymi, posłuszni rozumowaniu  
Wkraczajmy ostrożnie w erę wyzwolonego ognia.

Słowa "posłuszni" i "ostrożnie" nabierają wyraźniej przeciwstawnego zabarwienia, gdy zostaną zestawione z zakończeniem "Traktatu moralnego":

Idźmy w pokój, ludzie prości.  
Przed nami jest

- Jądro ciemności.

Jak pisze Zdzisław Łapiński, jednym z wynalazków Miłosza w poezji dydaktycznej było otwarcie jej na eksperymenty formalne. Zawiększało to kunsztowność opracowania wierszy, ale - dodałbym - powiększało także dramatyzm "inwestycji osobistej" poety w wiersz. W tym świetle zobaczone, aspekty dydaktyczne wierszy i poematów Miłosza "z połowy wieku" zdają się skrywać pewne mechanizmy obronne i zabiegi autoterapeutyczne. Interpretacja publicystyczna dokonana przez Michnika naprowadza nas na to - ale "na skróty", intuicyjnie; umykają jej ambiwalencje eksperymentów formalnych.

Utwór, który jest całkowicie podatny na interpretację publicystyczną, jest inaczej niż utwór artystyczny osadzony w czasie. Nastawiony jest na cykliczność, na obieg. Teza, stanowisko, jakkolwiek kategoryczne, liczy na autorską /choćby potencjalną/ możliwość repliki, na korektę pod wpływem odbioru lub nowych danych, które niezawodnie przyniesie czas. Utwór zorien-



towany na interpretację publicystyczną strukturalnie sytuuje się w serii wypowiedzi, jakby manifestując swą ograniczoną autonomię.

Utwór artystyczny, inaczej, nastawiony jest na czas niezdarzeniowy. Dlatego m.in. cofa się przed wyraźną tezą publicystyczną - nie jest nastawiony na cykl, w którym ten sam podmiot będzie mógł replikować i korygować, ponieważ utwór artystyczny za każdym razem tworzy swój podmiot od nowa. Wobec tego, teza o pozorach kategoryczności ujmowana jest w strukturalny, różnymi środkami osiągany cudzysłów. Utwór artystyczny budowany jest autonomicznie; jego serią jest konwencja, nie zaś debata na temat, który jest w nim tematem jawnym. Jego czas to czas kultury - jeśli tak można powiedzieć - wypełniony "paradygmatycznie", porządek syntagmatyczny jest wtórny.

Mimo że autor utworu artystycznego, nie obliczonego na interpretację publicystyczną, nie wystawia się bezpośrednio na rynek - to jego "inwestycja osobista" jest jednak pod pewnym względem większa. Przed publicznością musi się dokonać rozszczepienie osobowości pisarza, nie chronionej, jak publicysta, sfunkcjonalizowaną w kategoriach powszechnie uznawanej użyteczności rolą. Rozszczepienie to i niepełna ważność każdego z wcieleń jest ceną, jaką artysta płaci za unikanie publicystycznej "odpowiedzialności za słowo". Ceną tą bywa także traktowanie literatury jako zatrudnienia niepoważnego.

Publicystyka to przede wszystkim manifestacja w o l i autora /podmiotu/ wypowiedzi; tekst publicystyczny /ale także taki, który jest publicystycznie odczytywany/ pozostaje do końca narzędziem społecznej gry swego twórcy. Wypowiedź artystyczna natomiast ma być przede wszystkim świadectwem pewnej jednostkowej komplikacji

cji. Czytana - przechodzi z rąk do rąk razem ze swym podmiotem, a jeśli staje się narzędziem, to już nie autora, lecz czytelnika. Pośrednik, interpretator publicystyczny utworu artystycznego, pracuje w nadziei, że zdoła obie te funkcje narzędzia połączyć. Jego wynalazkiem jest tzw. "rola pisarza", często wysuwana w publicystycznych sporach, za pretekst mających literaturę; nie pochodzi ona z utworów - jest raczej próbą rekompensaty socjalnej za wyżej opisane ryzyko osobiste artysty piszącego.

Utwór artystyczny nie może krążyć w kulturze w całości, w pełnej swej komplikacji. Także jego obecność pod postacią szeregu impresji na jego temat, mianych przez różnych czytelników, nie mogłaby mu zapewnić udziału w komunikacji i tradycji literackiej. Na obronę więc interpretacji publicystycznej można powiedzieć, że jest po prostu nieodzowna - odkąd działa rynek literacki, czasopisma, krytyka, promocja wydawnicza itd. To jednak nie wszystko. Interpretacja publicystyczna jest także w innym sensie "właściwą" rekonstrukcją przesłania utworu artystycznego: reintegruje osobę autora w charakterze uczestnika życia publicznego. I uplata sieć z o b o w i ą z a ń między nim a publicznością, co bywa z wielkim pożytkiem dla tej ostatniej. Jak pisał Zdzisław Łapiński w cytowanym już szkicu "Oda, gatunek oświecony":

"Chociaż jednak nie wątpię, że =Kolonizacja karna= jest utworem nieporównanie subtelniejszym i głębszym niż =1984=, to muszę jednocześnie przyznać, że bez dzieła Orwella samoświadomość epoki doznałaby uszczerbku chyba większego, niż gdyby pozbawiona została opowiadania Kafki."

Łapiński zachęca do zmiany krytycznoliterackich nawyków interpretacyjnych, tak by przywrócić sobie zdolność odbierania

literatury dydaktycznej. Sądzę, że kariera interpretacji publicystycznej sprzyja temu odnowieniu wrażliwości. A "1984" Orwella dałoby się zapewne opisać jako publicystyczną interpretację wizji Kafki. Mimo swych budzących niechęć ograniczeń, interpretacja publicystyczna nadaje literaturze artystycznej doniosłość publiczną, jest jakimś lekarstwem na niepoważność beletrystycznych zatrudnień, sprawdzeniem skuteczności komunikacyjnej utworu artystycznego.<sup>10</sup>

Taka jest też główna funkcja książki Michnika.

Pod koniec najczęściej tu przywoływanego eseju pisze on tak:

"...żeby opowiedzieć o piekle, trzeba było doń wstąpić. Tylko w ten sposób mógł powstać "Zniewolony umysł" - ta krwią pisana opowieść o własnym życiu wewnętrznym. Tylko taka książka mogła stać się dla komunistycznych intelektualistów kładką nad przepaścią dzielącą obłąd od normalności."

Nie muszę już dodawać, że Michnik tu znowu "upraszcza". Gombrowiczowi, powiedzmy, nie umknąłby np. rys wywyższenia się, cechujący poetykę pamfletu Miłosza, ani zawarte w jego brawurowym /więc przekonywającym przez ryzyko osobiste/ wykonaniu rachuby na sukces rynkowy. Nawiasem mówiąc, nie umknąłby jego uwadze również rys wywyższania się przez męczeństwo, cechujący książkę Michnika, który pieczętuje swoje teksty adresami aresztów śledczych. Konstatacja ta nie zaprzecza jednak funkcji "kładki" - w którą odczytanie Michnika utrafiło. Tyle, że "Zniewolony umysł" podsuwał komunistycznym intelektualistom raczej racjonalizację i usprawiedliwienie, jak kładka wąskie i niemocne; użyto jej zaś - w realnym procesie - dopiero po zawodach rewizjonizmu. Tak więc - pozwólmy so-

bie na żart /sprowokowany namaszczeniem ostatniego cytatu/ - "kładka", ale przenośna, i w dodatku - "po zawodach".

Interpretacja publicystyczna pozostawia w tle nazbyt drastyczne zmagania osobiste pisarza /których produktem i ekshibicją bywa utwór artystyczny/. Daje im zrozumiałą i społecznie akceptowalną formułę /co, oczywiście, nie musi się pokrywać z formułą akceptowalną urzędowo/. W tym sensie interpretacja publicystyczna jest filisterska; ale przecież literatura artystyczna nie jest już dziś młodopolska. Interpretacja taka mieści się znakomicie w tradycji literatury europejskiej, czego potwierdzenia poszukajmy np. u Wiktora Szkiłowskiego:

"Podobnie jak ptak stroszy pióra na mrozie i wietrze, ażeby zachować własne ciepło i odgrodzić się od temperatury otoczenia, tak dawniej w czasie katastrofy człowiek osamotniony dążył do utwierdzenia swoich praw, do przeciwstawienia otoczeniu siebie i swoich interesów, uświadamiając sobie swoją sytuację przez to, co później otrzyma nazwę retoryki."<sup>12</sup>

Szkiłowski powiedział te zdania w związku z prozą Boccaccia; dobrze się one jednak stosują do bohaterów tego szkicu: Czesława Miłosza, Jana Strzeleckiego i Adama Michnika.

Piotr Stasiński

---

1/ Adam Michnik, Polskie pytania, Wszechnica Społeczno-Polityczna 1988, przedruk za wyd.: "Zeszyty literackie", Paris 1987, s. 286.

2/ A. Michnik, "Nienawidzę totalizmu..." - o Bolesławie Micińskim, w: Polskie pytania..., s. 29.



3/ Określenie to przejąłem za Zdzisławem Łapińskim od samego Miłosza. Zob.: Z. Łapiński, Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat, Polonia Book Fund, London 1988. Autor używa tych określeń w szkicach: Spotkania autorskie. Miłosz i jego czytelnicy oraz Oda, gatunek oświecony.

4/ Wiersz był skierowany przeciwko popularnej w podziemiu książce Bogdana Sucho-dolskiego /ps. R. Jadźwing/, Skąd i dokąd idziemy. Przewodnik po zagadnieniach kultury współczesnej, Wilno 1939 /wł. Warszawa 1943/, która miała trzy wydania konspiracyjne i długo była omawiana. Niewykluczone, że pisząc ten wiersz Miłosz wykonywał poniekąd zamówienie intelektualnych środowisk lewicowych, które zamierzały opracować broszurę polemizującą z Jadźwingiem, do czego jednak nie doszło /inf. Witolda Kuli w: Tomasz Szarota, Okupowanej Warszawy dzień powszedni, Warszawa 1978, s. 421/.

5/ A. Michnik, Korespondencja z połowy wieku, w: Polskie pytania..., s. 91.

6/ A. Michnik, Korespondencja..., s. 93.

7/ A. Michnik, Korespondencja..., s. 93.

8/ Z. Łapiński, Oda, gatunek oświecony, w: Jak współżyć z socrealizmem..., s. 81-82.

9/ Z. Łapiński, Oda..., s. 81.

10/ Podobną funkcję spełniają "gatunki interlokucyjne" /termin Romana Zimanda/, eseistyka pisarzy, ich książki o książkach i dzienniki intelektualne, etc.

11/ A. Michnik, Korespondencja..., s. 118.

12/ Wiktor Szkiłowski, O prozie. Rozważania i analizy, Warszawa 1964, s. 260.

# GORBACZOW, GŁASNOŚĆ I UKRAINA

"Czy powalona ciosem Ukraina jeszcze żyje? Ukraińską elitę systematycznie niszczone. Język ukraiński, wygnany z Charkowa, Kijowa i innych większych miast, spadł do roli chłopskiej gwary, języka prostego ludu i niższych warstw biurokracji. Lecz Ukraina pamięta, że kiedyś była wolna, że przynależy do cywilizacji europejskiej, i to w większym stopniu niż Rosja."

Alain Besançon /"L'Express", 30 kwietnia 1987/

Kampania Gorbaczowa na rzecz głośności odbiła się szerokim echem na Ukrainie, co uszło jednak uwadze zachodnich dziennikarzy, którzy koncentrowali się raczej na wydarzeniach w Moskwie i na prasie w języku rosyjskim. Piątego czerwca 1986 r., w niecałe dwa miesiące po katastrofie w Czernobylu, rozpoczął się w Kijowie IX Zjazd Pisarzy Ukraińskich. Referat wprowadzający, wygłoszony przez Ołesia Honczara, członka KC Komunistycznej Partii Ukrainy, członka-kandydata KC KPZR oraz deputowanego do Rady Najwyższej, zaczynał się od przypomnienia obecnym, iż "Dwudziesty siódmy Zjazd Partii dał nam lekcję pryncypialności i prawdy, lekcję nowego myślenia. Mamy nadzieję, że nasze spotkanie ludzi pióra zaowocuje dyskusją w takim właśnie duchu." /"Literaturna Ukraina", 12 czerwca 1986/.

Honczar przedstawił program dla inteligencji ukraińskiej na najbliższy rok, przy czym skupił się na problemie języka, w sposób przypominający lata sześćdziesiąte, kiedy szefem Komunistycznej Partii Ukrainy był Petro Szelest. W odczuciu Honczara, język stanowi spuściznę kulturową zagrożoną zniszczeniem i wysiłki na rzecz jej zachowania

wania powinny zostać otoczone taką samą troską, jak ochrona środowiska naturalnego i zabytków. "Język jest duszą kultury każdego narodu, źródłem siły i niezastąpionym motorem rozwoju. Któż winien się tym zająć, jeśli nie my - pisarze, choć przecież nie tylko my... Są tacy, którym trzeba otwarcie wykazać, że pogarda dla języka własnego narodu jest przede wszystkim świadectwem głupoty i ograniczenia. Według niektórych nasz język nie ma przyszłości..." Oto jedna z najmocniejszych wypowiedzi w obronie języka ukraińskiego na przestrzeni wielu lat. Potępienie przez Honczara twierdzenia jakoby język ukraiński nie miał przyszłości jest nawiązaniem do wcześniejszych sugestii, wielokrotnie powtarzających się w wytycznych sowieckiej polityki narodowościowej.

W Moskwie zaś Borys Olijnyk, wybitny poeta ukraiński, wygłosił podczas zjazdu pisarzy radzieckich długie przemówienie na temat Czernobyla, nadużyć polityki narodowościowej, oraz reorganizacji Związku Pisarzy. Potępił "domorosłych rusyfikatorów", którzy doprowadzili do tak drastycznej sytuacji w ukraińsko-języcznych szkołach, wydawnictwach i teatrach. Owe "wypaczenia... są przeważnie dziełem miejscowych, rodzimych, domorosłych zwolenników naszej ortodoksji politycznej, którzy rzecz jasna przejęli psychologię służalczości od obdarowanych działkami ich ziemi ojczystej za cenę kaleczenia języka ukraińskiego. Czy muszę przypominać, że ten rodzaj nihilizmu stoi w kategoriycznej sprzeczności z założeniami polityki narodowościowej naszej Partii?" /"Literaturna Ukraina", 2 lipca 1986/. Padły słowa mocniejsze, niż za czasów władzy Szelestwa na Ukrainie. Olijnyk nadał kwestii języka charakter polityczny, rozpoczynając atak na "wypaczenia" od wskazania najbardziej niebezpiecznego zjawiska: "Najgorszymi fanatykami



wielkomocarstwowości byli zawsze nie-Rosjanie.". Czy można traktować to inaczej, niż jako pośredni atak na prowadzoną przez Moskwę politykę narodowościową, której "domorośli rusyfikatorzy" jedynie się podporządkowują? Broniąc języka ojczystego, Olijnyk wykazał szczerość, która odzwierciedla wpływ głasonsti na inteligencję ukraińską. Olijnyk nawiązał także do zapowiedzi wydania po rosyjsku kontrowersyjnej powieści Honczara pt. "Sobor", po 18 latach od jej napisania, by zapytać, kiedy książka ta ukaże się w języku ukraińskim.

Bohdan Nahajło odnotował w dzienniku "The Wall Street Journal" /15 sierpnia 1986/, iż na zjeździe pisarzy radzieckich wszyscy nie-rosyjscy delegaci zwracali uwagę na rozbieżność między teorią i praktyką sowieckiej polityki narodowościowej. Jego zdaniem "Zjazd przyniósł prawdopodobnie najbardziej otwarte i wszechstronne zaprezentowanie skarg i niepokojów nie-Rosjan na forum oficjalnym od czasu lat dwudziestych."

### Rehabilitacja i literacki ferment na Ukrainie

Świadoma przynależności narodowej inteligencja ukraińska entuzjastycznie poparła głasonst i rozpoczęła szeroko zakrojoną dyskusję o statusie języka i kultury; krytyce rusyfikacji towarzyszyły żądania rehabilitacji pisarzy, poetów i całej twórczości tzw. "szesćdziesiątników" /pokolenia lat sześćdziesiątych/. W wywiadzie dla partyjnego dziennika "Radianska Ukraina" /16 kwietnia 1987/ Leonid Nowiczenko tak opisuje nową atmosferę: "Za moich czasów pisarze obawiali się krytyków, teraz krytycy boją się pisarzy." Skrytykował przy tym następujące zjawisko: "Przez ponad 15 lat my, krytycy i recenzenci nie mieliśmy prawa nic mówić... Natomiast zawsze paliło się



zielone światło dla oficjalnie popieranej wulgarnej krytyki." Żądania inteligencji i ożywiona debata nad smutnym stanem ukraińskiego języka i kultury stanowią dowód rozbieżności pomiędzy aspiracjami Komunistycznej Partii Ukrainy z Władimirem Szczerbickim na czele a dążeniami ukraińskiej inteligencji. W gazecie "Radianska Oswita" /12 maja 1987/ Ołeksandr Pidsuka pisze o tym, jak w latach siedemdziesiątych samo mówienie po ukraińsku lub okazywanie przywiązania do ojczystego języka i kultury mogło spowodować oskarżenia o "nacjonalizm burżuazyjny" ze strony władz.

Rehabilitację powieści "Sobor" ogłoszono w "Literaturnej Ukrainie", w listopadzie 1986 r. Książka ukazała się po raz pierwszy w roku 1968 i od razu wywołała burzę. Rozpętała kampanię przeciwko autorowi, którym jest Ołes Honczar, jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy Ukrainy. Powieść dotyczy wielu spraw, dziś otwarcie dyskutowanych na łamach prasy sowieckiej: problemów ekologii, bezmyślnej biurokracji, tożsamości narodowej, oraz niszczenia pomników historii. Kampania przeciwko książce zapoczątkowana została w okręgu Dniepropietrowskim, siedzibie Władimira Szczerbickiego i stanowiła pierwsze z posunięć mających na celu odebranie Petrowi Szelestowi przywództwa Komunistycznej Partii Ukrainy, co wreszcie nastąpiło w roku 1972. Od tego roku "Sobor" stał się "książką niebyłą", nie uwzględniono jej w sześciotomowym wydaniu dzieł zebranych Honczara, ani też w bibliografii jego dorobku.

"Sobor" poruszał zagadnienia tożsamości i narodowego trwania, posługując się symboliką kozackiej katedry, którą pragną zburzyć nadgorliwi "działacze kultury". Książka ukazała się w czasie, gdy ukraińscy pisarze, poeci i dysydenci poruszali zbliżone tematy w petycjach do partyjnego kierownic-

stwa, wydawanych w końcu w samizdacie. Pras-  
ka wiosna 1968 r. również wywarła wpływ  
na liczne kręgi intelektualistów, którzy  
domagali się większej "demokratyzacji" na  
Ukrainie. Iwan Dziuba, autor monumentalnego  
oskarżenia sowieckiej polityki narodowoś-  
ciowej pt. "Internacjonalizm czy rusyfika-  
cja?" /1968/ prawie dwadzieścia lat przed  
Gorbaczowem nawoływał władze, by zezwoliły  
na większą otwartość, używał tu zresztą  
także terminu "głasnost".

Nagonkę przeciw książce "Sobor" uzupeł-  
niły w 1972 r. szeroko zakrojone aresztowa-  
nia "nacionalistów burżuazyjnych". O kampa-  
nii przeciwko powieści "Sobor" wypowiadał  
się Borys Olijnyk, a także Petro Szelest  
na łamach "Literaturnoje Obozrenije" /nr 4,  
1984/:

"Cofnijmy się do końca lat sześćdziesią-  
tych. Czytelnik "wszechzwiązkowy" nie ma  
właściwie pojęcia, że w tym czasie opubli-  
kowano powieść Ołesia Honczara pt. "Sobor",  
która - mówiąc delikatnie - napotkała roz-  
maite reakcje... Niestety, niektórzy wste-  
cznicy próbowali zaciemnić jasną i trafną  
strategię powieści przy pomocy zręcznej  
demagogii, przypisując książce w dodatku  
różne "izmy"."

Podczas spotkania organizacji partyjnej  
pisarzy Kijowa, krytyk Witalij Kowal zażą-  
dał: "Dobrze, więc wymieniamy nazwiska.  
Przypominajmy i cytujemy. Czy wymienimy naz-  
wiska tych, którzy w tym czasie po prostu  
milczeli i którzy swą złą złą milczenia wy-  
rządzili tak wiele złego całej literatu-  
rze?" /"Literaturna Ukraina", 7 sierpnia  
1986/.

Obecnie wielu pisarzy wyszydza kampanię  
przeciwko powieści "Sobor". Leonid Nowi-  
czenko wspomina:

"Ile atramentu zużyli wulgarni krytycy  
z urzędu pod koniec lat sześćdziesiątych,  
w celu napiętnowania "grzechów" powieści...

Potem nastał okres ciszy - ponad 15 lat, kiedy to my, krytycy i recenzenci, nie mieliśmy prawa nic powiedzieć, bo nawet sam tytuł książki został wymazany. Jednak teraz ją czytamy i widzimy jak bardzo współczesne treści przekazuje..."

Pisząc na łamach magazynu "Ukraińska Mowa i literatura w szkoli" /nr 4, 1987/, O.K. Babiszkin zauważył, że "szczególnie krzykliwa i napastliwa kampania /przeciw powieści "Sobor"/ została rozpętana w prasie lokalnej, zwłaszcza w Dniepropietrowsku i Krzywym Rogu". Nie mógł więc nie dostrzec faktu, iż stamtąd pochodzi Władimir Szerbicki, przywódca ukraińskiej partii od roku 1972 i przeciwnik nowej polityki głośności.

Babiszkin, na podstawie powieści "Sobor", wskazuje na pewne analogie pomiędzy latami sześćdziesiątymi i współczesnością: "Gdy czytujemy się w nią dzisiaj, widzimy jak jest współczesna i aktualna, jak wskazuje drogę przezwyciężenia wszelkich życiowych trudności pozwalając nam iść naprzód i poczuć się częścią nowego, rozwijającego się życia... po XXVII Zjeździe."

Zdaniem Babiszkina "Sobor" porusza liczne tematy, które dziś są przedmiotem otwartej dyskusji w duchu głośności:

"Jak widzimy, książka dotyczy problemów związanych ze zdrowiem moralnym naszego radzieckiego narodu... Problemy ekologii, sprawiedliwości społecznej, którymi tak energicznie zajęła się ostatnio cała nasza literatura, zostały już wcześniej poruszone w powieści Ołesia Honczara pt. "Sobor"! Gdy powieść - można rzec - powraca do tematu praw obywatelskich, wnosi aktywny wkład w gigantyczne dzieło "perebudowy" naszego życia, w duchu historycznych decyzji podjętych na XXVII Zjeździe Partii."

W 1981 roku Lina Kostenko otrzymała nominację do nagrody im. Szewczenki, lecz



jej kandydaturę odrzucono. "Radianska Ukraina" /23 grudnia 1986/ pisała, że Związek Pisarzy Ukraińskich znów proponował, by upragniona nagroda przypadła Linie Kostenko. Kampania na rzecz rehabilitacji pisarki zbiegła się z artykułem na łamach "Literaturnej Ukrainy" /29 stycznia 1987/, który opisuje jej twórczość jako "przepojoną duchowymi rozterkami oraz głęboką świadomością zarówno triumfów i dokonań społeczeństwa, jak i jego tragedii..." Tacy pisarze jak Kostenko często "nie potrafią dostosować się do układu, który wielu ich kolegom wydaje się normalny i wygodny". Jej poezja niesie "także dramat i tłumiony jęk". Cała twórczość "odzwierciedla raczej nieprawidłowości i problemy, niż radość i uroki życia". Autor artykułu wyraża przekonanie, że "nadszedł czas tworzenia właśnie takiej, społecznie zaangażowanej poezji... poezji, która mówi prawdę bez względu na okoliczności, która nie usypia obywatelskich sumień, lecz budzi je i oczyszcza, nie szczędząc cierpienia." W odpowiedzi na nowe wezwania o "przebudowę" oblicza kultury, autor pisze: "Głos Kostenko współbrzmi z tym, czego doświadczamy i ku czemu dążymy. Dziś jej głos, wyrażony w nacechowanej obywatelską troską poezji, jest dla nas szczególnie bliski i zrozumiały..." Dwa miesiące później "Radianska Ukraina" /8 marca 1987/ donosiła, że Kostenko znalazła się wśród laureatów państwowej nagrody im. Szewczenki, najbardziej prestiżowej nagrody literackiej na Ukrainie. Świadczy to o pełnej rehabilitacji Kostenko, która znalazła się w niełasce w latach sześćdziesiątych z powodu swej nieprawomyślniej twórczości i krytycznego podejścia do przejawów łamania praw ludzkich i narodowych. Przez 15 lat była wykluczona z oficjalnego życia literackiego. Formalnie, nagrodę dostała za powieść historyczną "Marusia Churaj" /1979/



1 tomik wierszy "Nepowtornist" /1980/.  
Wasył Hołobrodko, inny członek grupy "szesćdziesiątników", którego utworów nie drukowano przez dwa dziesięciolecia, doczekał się publikacji na łamach "Ukrainy" /nr 40, 1986/. Twórczość Hołobrodki nie była publikowana od roku 1968, choć wcześniej okrzyknięto go jednym z najbardziej obiecujących młodych poetów, którzy debiutowali podczas "kulturalnego odrodzenia" lat sześćdziesiątych. Hołobrodko nie działał w ruchu dysydenckim; drogę rozwoju artystycznego zablokowano mu po tym, jak Moskwa odniosła się krytycznie do jego twórczości. Poezja Hołobrodki odzwierciedlała nowe tendencje w życiu kulturalnym Ukrainy zapoczątkowane przez szesćdziesiątników", dlatego rehabilitacja poety znacząco potwierdza oficjalne uznanie dorobku tamtego okresu. W 1965 r. znany krytyk literacki Iwan Dziuba przewidywał nawet, że Hołobrodko stanie się jedną z "wielkich postaci" poezji ukraińskiej. Wasył Stus w liście otwartym do Związku Pisarzy Ukrainy, napisanym w 1968 r., przedstawił sprawę Hołobrodki jako przykład kulturalnych represji na Ukrainie. Hołobrodko został wydalony z Uniwersytetu Donieckiego i powołany do służby wojskowej na dalekim wschodzie. Jego utwory krążyły w "samwydawie" i doczekały się publikacji za granicą. Rehabilitacja Hołobrodki następuje w czasie, gdy pisarze ukraińscy zaczynają otwarcie krytykować stan ukraińskiej literatury, uznając wcześnie lata sześćdziesiąte za ostatni okres jej rozkwitu.

Sowiecka polityka kulturalna wobec Ukrainy w ostatnim trzydziestoleciu została potępiona także przez młodego pisarza, Wołodymira Jaworiwskiego: "Na Ukrainę oddelegowano wysokiego funkcjonariusza aparatu ideologicznego. Nie wymienię jego nazwiska z powodów etycznych: człowiek ten już nie

żyje. Pracował jako sekretarz komitetu okręgowego odpowiedzialny za ideologię. Został usunięty ze stanowiska, gdyż nie znajdował wspólnego języka z inteligencją twórczą. Ileż zła wyrządził tejże inteligencji! Pozostawał na uboczu, lecz ku zaskoczeniu wszystkich nagle wypłynął, objąwszy ważne, kierownicze stanowisko na szczęcie republiki. Rzecz jasna, brudną robotę wykonywali za niego inni..." /"Literaturna Gazieta", 26 listopada 1986/.

### Kwestia języka

Od czerwca 1986, kiedy to odbył się Zjazd Pisarzy Ukrainy, ludzie pióra domagają się polepszenia sytuacji, w jakiej znalazł się język ukraiński. Na posiedzeniu zarządu Związku Pisarzy Ukrainy, Jurij Muszkietyk zauważył: "Będziemy także mówić o negatywnych zjawiskach w naszym życiu, o skomplikowanych problemach ekologii, o egoizmie pewnych kół społeczeństwa..." /"Literaturna Ukraina", 27 listopada 1986/.

Głośność sprowokowała serię ważnych wystąpień w prasie sowieckiej Ukrainy; padło wiele daleko idących, odważnych propozycji, niesłyszanych od czasu lat dwudziestych. Część żądań dotyczyła rehabilitacji pisarzy rozstrzelanych w latach trzydziestych /wśród nich "nacjonalisty", Wołodymira Winniczenki/. Jednak najwięcej postulatów skupiło się na kwestii języka; domagano się prawnego uznania języka ukraińskiego za oficjalny język republiki. Nawoływano do dokonania poprawek w projekcie Ustawy o Powszechności Oświaty, by zapewnić językowi ukraińskiemu prawną ochronę w ramach systemu edukacji. Wymagałoby to ustanowienia stałej komisji do spraw kontaktów pomiędzy Związkiem Pisarzy i szkołami na Ukrainie. Wielu pisarzy postulowało zwiększenie nakładu książek i prasy w języku ukraińskim.

W przeszłości każde nawiązanie do kwestii językowej na Ukrainie i w innych nie-rosyjskich republikach spotykało się z natychmiastowym oskarżeniem o nacjonalizm. Kampania na rzecz głośności pozwoliła publicznie wyrazić wiele tłumionych dotąd skarg związanych z tą kwestią na łamach prasy sowieckiej. Piarz ukraiński Wołodymir Drożdż stwierdza: "Nie można odpowiedzieć na pytanie dlaczego nasze utwory nie są znane szerszej publiczności, nie poruszając problemu języka ojczystego na Ukrainie".

Dróżdż posunął się dalej niż inni pisarze: "Nie wystarczą apele o poszanowanie dla języka ukraińskiego. Tutaj potrzeba decyzji podejmowanych na szczeblu państwa. Język ukraiński musi stać się podstawowym i nieodłącznym elementem codziennego życia, obecnym w teatrze, w szkole i na uniwersytetach. Dopiero wówczas nie trzeba będzie apelować i nawet filistrzy wyciągną właściwe wnioski" /"Literaturna Ukraina", 27 listopada 1986/. Dróżdż podniósł stawkę w debacie o języku i zażądał powrotu do polityki ukrainizacji z lat dwudziestych. "W przeciwnym razie nasz język istotnie stanie się językiem wyłącznie literackim".

Kwestia języka stanowi w dalszym ciągu ważki problem dla pisarzy Ukrainy. Iwan Drach, jeden z najlepszych poetów ukraińskich, zaproponował by "Literaturna Ukraina" posłużyła jako forum publicznej dyskusji o języku i dodał: "Nadszedł również czas, jak sądzę, na stworzenie sepcjalnej komisji Związku Pisarzy Ukrainy, która zajęłaby się problemami nauczania języka i literatury w szkołach wszystkich typów oraz w placówkach szkolnictwa wyższego" /"Literaturna Ukraina", 22 stycznia 1986/.

Na łamach "Literaturnej Ukrainy" /5 marca 1987/ ukazał się także ważny artykuł Serhija Płachyndy, zatytułowany "Język rozległy jak morze". Po raz pierwszy od schył-



ku lat sześćdziesiątych Płachynda zaproponował ponowne wprowadzenie litery "g", usuniętej w latach trzydziestych z alfabetu ukraińskiego w celu zademonstrowania "nierozłącznej więzi między narodem ukraińskim i rosyjskim". W latach sześćdziesiątych władza rychło zamknęła dyskusję na ten temat, która przeniosła się na łamy "samwydawu". Płachynda poddał również krytyce działalność ukraińskich lingwistów i autorów słowników przyczyniających się do zubożania języka ukraińskiego skutkiem pominięcia wielu słów pochodzących z dialektów regionalnych w słowniku Etymologicznym /liczącym tylko 154.000 haseł, podczas gdy proponowany nowy słownik ma zawierać 230.000/. Płachynda dowodzi, że "język ukraiński nie jest wystarczająco popularyzowany". Aby temu zaradzić, proponuje zwoływanie corocznych konferencji we wszystkich stolicach okręgów /obłasti/, a także w miastach położonych poza granicami republiki, zamieszkałych przez Ukraińców, na wzór Konferencji Językowej w Kijowie, jaka odbyła się w roku 1963. Niestety, od 1963 r. "nie podejmowano żadnych wysiłków tej miary".

Płachynda potępia ludzi, którzy "hołdując nastrojom pragmatycznym i filisterskim, porzucają swój język ojczysty". Posłużywszy się przykładami Szwajcarii, Armenii i Gruzji, gdzie język narodu uszanowany jest jako "język państwowy", stwierdza: "Nic podobnego nie istnieje w konstytucji Ukraińskiej SSR". Płachynda nie zgadza się z pewnymi założeniami programu szkolnictwa, zwłaszcza ponadpodstawowego: "Zupełnie przestarzała jest zasada, w myśl której rodzice wybierają dziecku szkołę i jej język wykładowy". Pozostawienie kwestii wyboru języka w rękach rodziców jest błędem, gdyż "poszanowanie dla języka i kultury Republiki... musi być również traktowane jako internacjonalistyczny obowiązek". Płachynda proponuje, by język wykładowy w



szkołach określała rada ministrów republiki, na podstawie procentowego składu narodowościowego uczniów. Uczniom zaś należy "zabronić porzucania nauki języka tej Republiki, której szkoła bezpośrednio podlega".

Płachynda proponuje w efekcie interwencji państwa w celu odwrócenia procesu kształcenia dużej liczby dzieci na Ukrainie w języku rosyjskim. Jedynym kryterium określającym język wykładowy w szkołach powinien być skład procentowy narodowości mieszkańców danego miasta, wsi lub osiedla. W latach 1953-73 odsetek uczniów pobierających naukę w języku rosyjskim wzrósł z 24 do 40 procent. Ukraina i Białoruś są jedynymi republikami sowieckimi, w których spadła w tym okresie liczba zapisów do szkół z językiem ojczystym. Gdyby zastosowano propozycje Płachyndy, doprowadziłoby to do ukrajinizacji systemu szkolnictwa w republice, bez względu na życzenia rodziców uczących się dzieci.

Stanisław Repiach zapoczątkował nowy rozdział w debacie nad językiem, na łamach "Radińskiej Ukrainy" /18 stycznia 1987/, utrzymując, że rodzicom "przybywającym na Ukrainę w celu, powiedzmy, stałego osiedlenia nie stałaby się krzywda, gdyby związali się ściślej z kulturą i językiem naszego narodu. Mając to na uwadze, można zorganizować kursy permanentnego kształcenia. Rodzice mogliby uczęszczać na nie wraz z dziećmi". Płachynda także proponował, by nie-Ukraińcy zamieszkujący republikę uczyli się języka ukraińskiego. Pomógłoby w tym zakładanie klubów miłośników języka ojczystego w fabrykach, biurach i uniwersytetach.

Płachynda wykazał, że ukraińsko-języczna kultura pozostaje w tyle za innymi republikami, na podstawie przykładu z filmem "Pokuta": "Lecz ci z nas, którzy oglądali ten film w Rydze, Wilnie lub Tallinie, musieli dostrzec następujący fakt: wszystkie filmy,

zrealizowane w innych bratnich republikach lub za granicą, są tam dubbingowane na język miejscowy, z dodatkiem napisów po rosyjsku". Na Ukrainie "Pokutę" pokazywano wyłącznie w wersji rosyjskiej. "Robitnycza Hazeta" /3 kwietnia 1987/ określiła "Pokutę" w recenzji jako film o reżimie "zbudowanym na obojętności wobec szczytnych ideałów moralnych. Reżim, pozbawiony bazy duchowej, utrzymuje się przy władzy wyłącznie przez kłamstwa i terror. Mimo to, jeżeli nawet reżim utrzyma się, dzięki mieszanecze przebiegłości i kłamstw, przelewając krew niewinnych ludzi, nadejdzie moment gdy surowo oceni go historia".

Na posiedzeniu Związku Pisarzy Ukrainy w marcu 1987 r. rozwinęła się kampania na rzecz zmiany obecnych przepisów prawa sowieckiego, według których obowiązuje w szkołach język rosyjski, zaś ukraiński jest przedmiotem do wyboru. Forum dyskutantów poddało wszechstronnej krytyce drugorzędą pozycję języka ojczystego w republice ukraińskiej. Iwan Drach zadał pytanie: dlaczego podobne "trudne problemy" prezentowane są w Moskwie czy Mińsku w sposób bardziej "otwarty, śmiały i pryncypialny?" /"Literaturna Ukraina", 12 marca 1987/. Drach stwierdził także: "Powinniśmy zdawać sobie sprawę, co dzieje się w części naszych szkół, gdzie język i literatura ukraińska stanowią przedmiot szyderstwa i kpiny, gdzie zadufani filistrzy mający bzika na tle szowinistycznego odchylenia, ukryci pod maską pseudointernacjonalizmu, wyśmiewają własne korzenie kulturowe".

Podczas tej samej sesji Związku Pisarzy Ukrainy, O. Kołomicz stwierdził: "Zaczęliśmy ostatnio coraz więcej mówić o stanie nauczania języka i literatury ukraińskiej w szkołach. Lecz widać wyraźnie, że niewiele się poprawiło". Ta "nienormalna sytuacja" z konieczności "powoduje społeczny niepokój". D. Pawliczko powiedział: "Ist-

nieje potrzeba przywrócenia szacunku dla naszego języka ojczystego już na poziomie szkoły". I dodał: "Odpowiedzialność za nauczanie języka ojczystego nie spoczywa na rodzicach, ani tym bardziej na uczniach, lecz na naszym państwie". Leonid Nowiczenko postulował nauczanie języka ukraińskiego we wszystkich szkołach republiki. Jurij Bedzyk opowiadał o spotkaniach z żołnierzami odbywającymi służbę na Ukrainie. W żadnej z jednostek nie znalazł on w bibliotece książki w języku ukraińskim.

Oieś Honczar wierzy, że "ratowanie i rozwój języka ojczystego jest jednym z najważniejszych obowiązków pisarza wobec ojczyzny". Zauważył on, że w republikach bałtyckich, oraz w Białoruskiej i Turkmeńskiej SSR, pisarze potraktowali kwestię języka z większą odpowiedzialnością. Honczar oświadczył: "Uczyć się czy nie uczyć języka ojczystego w szkole - taka kwestia nie ma prawa bytu w cywilizowanym kraju". W końcu rodzice nie decydują, czy dzieci powinny uczyć się matematyki, czy języków obcych. Prezydium Związku Pisarzy zaproponowało ustanowienie komisji, która zajmie się sprawami języka w szkołach.

### Krytyka cenzury

Znany poeta Dmytro Pawliczko wykorzystał okazję 130 rocznicy urodzin Iwana Franki, by na łamach "Literaturnej Ukrainy" /11 września 1986/ poddać krytyce cenzurę, w duchu nowej kampanii głośności. Pawliczko omawia prawie pełne, 50-tomowe wydanie dzieł Iwana Franki, lecz stwierdza, że jest ono niekompletne. Nie tylko owo 50-tomowe wydanie nie stanowi całości dorobku, lecz także "nie jest wolne od rażących pominięć i skrótów", zaznaczonych trzema kropkami w nawiasie. Ingerencja wydawców "przywodzi na myśl nożyczki i szczypce: pożyteczne narzędzia, lecz nie w kwestiach nauki". Pawliczko uważa, że wprowadzenie "nawiasów



i kropek" stanowi pewien postęp, "gdyż w uprzednich publikacjach skróty nie były oznaczane w żaden sposób". Pawliczko twierdzi dalej: "Skróty i pominięcia wywodzą się z dotychczasowych skłonności do przesadnych obaw, pochodzą od tych, którzy woleli nie badać, nie wyjaśniać, nawet nie krytykować; woleli żywić podejrzenia wobec Franki i przyciąć go tak, by gładko pasował do idealistycznie interpretowanych założeń budowy socjalizmu w praktyce i do niewzruszonych dogmatów teorii komunizmu".

Historiografia

Głosnost i pierestrojka nie wpłynęły znacząco na rozróżnienie pomiędzy tym, co wolno publikować po rosyjsku i co wolno w innych językach. Radio Moskwa /6 sierpnia 1986/ zapowiedziało wydanie prac historycznych Kluczewskiego i Sołowiowa, dwóch wybitnych historyków przedrewolucyjnych. Decyzja o publikacji została podjęta "wobec rosnącego zainteresowania przeszłością Ojczyzny". Kampania na rzecz opublikowania prac rosyjskich historyków przedrewolucyjnych datuje się od czasów Breżniewa; rosyjscy pisarze perswadowali, że nie-marksistowska interpretacja nie powinna być przeszkodą w publikacji.

Za czasów Gorbaczowa, rosyjski ruch narodowy stał się bardziej widoczny i poczynił pewne postępy. Wysuwając żądanie uznania rosyjskiego doroboku historycznego i kulturalnego, pomija się fakt, że Kluczewski, Sołowiow i Karamazin byli zagorzałymi monarchistami i konserwatystami. "Sowieckaja Rossija" /26 października 1986/ wręcz rozważała zasługi przywódcy Białych, admirała Kołczaka. Głosnost otworzyła drogę do rehabilitacji dotąd zaniedbanych lub zakazanych elementów rosyjskiej historii i kultury. Jednocześnie nie-Rosjanom nakazuje się ostrożne podejście do spraw przeszłości. Badania historyczne w nie-rosyjs-



kich republikach objęte są ściślejszą kontrolą Moskwy.

Czy głośność wywarła wpływ na nie-rosyjską historiografię? Najwyraźniej nie. Inteligencja ukraińska nie podniosła kwestii rehabilitacji np. Mychajła Hruszewskiego, największego historyka ukraińskiego, czy nawet matwija Jaworskiego, marksistowskiego historyka sowieckiej Ukrainy. M. Hruszewskij jest wciąż uważany za "duchowego inspiratora ukraińsko-niemieckiego nacjonalizmu". Nie-rosyjscy historycy w dalszym ciągu muszą gloryfikować w swych pracach historycznych "braterską pomoc Rosjan". Niedawno w "Prawdzie" /27 marca 1987/ jeden z autorów opisał rewolucję październikową jako ratunek "Rosji od narodowej katastrofy", podczas gdy klęski militarne "urzeczywistniały niebezpieczeństwo utraty przez nią niepodległości narodowej i integralności terytorialnej". Historiografia rosyjska nadal rości pretensje do bogactw Rusi Kijowskiej i nazywa je "rosyjskimi". Jeden z autorów skrytykował nawet użycie terminu "wschodniosłowiańska" w odniesieniu do historii Rusi Kijowskiej twierdząc, że należy nazywać ją po prostu "rosyjską" /"Prawda", 28 marca 1987/.

Na spotkaniu poświęconym dyskusji nad pracami ukraińskiego pisma krytycznoliterackiego "Radianskie Literaturoroznawstwo" /nr 6, 1986/ pisarz Mychajło Iwasiuk domagał się uczciwej oceny dorobku Mychajła Drahomanowa, "skomplikowanej, kontrowersyjnej" postaci w historii Ukrainy. Drahomanow, najważniejszy spośród politycznych myślicieli XIX wieku był całkowicie pomijany przez sowiecką historiografię od chwili usunięcia Petra Szelesta w 1972 r. Iwasiuk wezwał do ponownej oceny jego prac literackich, naukowych i publicystycznych. Inni mówcy skrytykowali "Radianskie Literaturoroznawstwo" za brak "polemiczności", gdyż

pismo nie porusza kontrowersyjnych kwestii, ani nie zawiera materiałów dotyczących skomplikowanych problemów czy prac, które nie spotkały się z jednomyślną oceną."

Postulat ponownej oceny dorobku Drahomanowa padł po upływie 15 lat od chwili uznania go za przedmiot badań w ramach "zaangażowania w historyczną przeszłość Ukrainy", za które ostro krytkowano Petra Szelesta. W 1981 r. opublikowano kilka artykułów z okazji 140 rocznicy jego urodzin. Władimir Szczerbicki ostrzegał, że partia powinna "zachować pryncypialne stanowisko w sprawach, gdzie wydarzenia historyczne i rolę, jaką odegrały w nich poszczególne postacie, usiłuje się przedstawić tendencyjnie, nie z pozycji klasowych, przypisując "zasługi" własnemu narodowi" /"Radianska Ukraina", 29 marca 1987/.

#### Władimir Szczerbicki i Komunistyczna Partia Ukrainy

Drugie z określeń sowieckiej polityki pod rządami Gorbaczowa - "pierestrojka" - zdobywa raczej niewielkie powodzenie na Ukrainie. W dodatku, choć pisarze ukraińscy posunęli się dalej w swych żądaniach i krytyce, niż w latach sześćdziesiątych, przywództwo partii najwyraźniej zachowuje milczenie, w przeciwieństwie do sąsiedniej Białorusi /stawianej za wzór przez ukraińskich pisarzy/, gdzie partia popiera pisarzy w kwestii języka. Wołodymir Drożdż wezwał kierownictwo partii do działania: "Pozostaje wiele do przemyślenia w sferach społeczeństwa, na które inni patrzą z poważaniem i które, w ostatecznym rozrachunku, odpowiedzą przed historią za sprawę zachowania kultury narodu ukraińskiego" /"Literaturna Ukraina", 27 listopada 1986/.

Prawie 20 lat temu Petro Szelest zwrócił się do uczestników V Zjazdu Pisarzy Ukrainy: "Musimy traktować nasz wspólny, ukochany język ukraiński z szacunkiem i tros-

ką. Jest on naszym skarbem, największym dziedzictwem, które wszyscy powinni chronić i wzbogacać - przede wszystkim wy, ludzie pióra". Zakończył słowami: "Nasze wysiłki w tym kierunku były i będą popierane przez partię komunistyczną" /"Radianska Ukraina", 11 listopada 1966/. Szelest został usunięty ze stanowiska w roku 1972 i od tego czasu na czele partii Ukrainy stoi Władimir Szczerbicki, z którego poparciem odbył się "pohrom" w roku 1972 i czystki na Ukrainie. Szczerbicki, podobnie jak Husak w sąsiedniej Czechosłowacji, zdobył władzę swoim konserwatywnym programem "twardego kursu". Nic więc dziwnego, że obaj opierają się głośności. Atmosferę polityczną na Ukrainie opisała Irina Ratuszinskaja na łamach, "New York Review of Books" /7 maja 1987/: "W ciągu tych dwóch miesięcy kijowscy biurokraci jasno wykazali, że demokratyzacja opisywana w gazetach swoją drogą, zaś życie sowieckie toczy się bez zmian".

Przykładem może być partyjna gazeta "Radianska Ukraina", która drukowała przemówienie Szelesta. W przeglądzie prasy ukraińskiej "Prawda" /16 lutego 1987/ komentuje: "Radianska Ukraina", która powinna przewodzić w procesie pierestrojki mass mediów w republice" wydaje się "skostniała i zupełnie niezdolna do uwolnienia się do starych poglądów i opinii. W rezultacie organ KC Komunistycznej Partii Ukrainy traci czytelników, a jego nakład jest kilkakrotnie niższy od np. nakładu pisma "Silski Wisti". W innych partyjnych gazetach na Ukrainie "wypowiedzi krytyczne tłumi się lub pomija". Często "odważni i pryncypialni dziennikarze spotykają się z brakiem poparcia", zaś "niektóre utarczki z dziennikarzami są wręcz anegdotyczne".

Plenum KC partii Ukrainy zajmowało się głównie zagadnieniami socjo-ekonomicznymi,



a Szerbicki w ogóle nie poruszył problemów nurtujących ukraińską inteligencję. Nawiązał za to do działalności "zagranicznych ośrodków dywersji", które ostatnio wzmogły "ideologiczny sabotaż przeciw socjalizmowi w kwestiach odnoszących się do stosunków między narodami i spraw religii" /"Radianśka Ukraina", 29 marca 1987/. Szerbicki oświadczył także, iż każda próba wykorzystania uczuć patriotycznych i religijnych "dla celów antyspołecznych powinna zostać stłumiona w zarodku." Proces ateizacji nie powinien dostarczać powodów do "samozadowolenia", gdyż często wpływ partii na wierzących jest "zbyt słaby".

Władze centralne ostro skrytykowały plenum ukraińskiej partii, na łamach "Prawdy" /28 marca 1987/: "Pierestrojka postępuje zbyt wolno. Wprowadzanie metod zarządzania ekonomicznego napotyka na konserwatyzm, nieudolność, a nawet niechęć niektórych ludzi do pracy po nowemu". W dwóch okęgach dostrzeżono "brak prawdziwej demokratyzacji i jawności, lekceważenie dla krytyki i samokrytyki..." W bezpośrednim ataku na Szerbickiego "Prawda" stwierdza: "Ludzie ospali, pozbawieni inicjatywy, nie nadążający za rozwojem wydarzeń wciąż stoją u steru... Wśród przywódców wielu jest nieprzygotowanych do realizacji nowych, bardziej złożonych zadań. Mimo to, pozostają oni nadal w zaciszu swoich gabinetów".

Pisarze ukraińscy stale nawiązują do "nowego ducha" zainicjowanego przez Gorbaczowa, przypominając partyjnemu przywództwu na Ukrainie o obowiązku zainteresowania się kwestią językową. Pisarze poszli dalej w swoich żądaniach niż w latach sześćdziesiątych, co przywodzi na myśl ukrainizację z lat dwudziestych. Lecz biorąc pod uwagę literackie i kulturalne odrodzenie, należy raczej odnieść się do początku lat sześćdziesiątych, co z pewnością nie cieszy



Szezerbieckiego. Gdy pisarze ukraińscy wysuwają argumenty w kwestii języka, czynią to podobnie jak Płachynda: "Jest to znakomity przykład wierności leninowskiej polityce narodowościowej, która nakazuje uznać zarówno język rosyjski, jak i języki lokalne". W takim razie, czyż nie znaczy to, że lata siedemdziesiąte na przykład, kiedy język ukraiński zaniedbywano, stanowiły wypaczenie polityki narodowościowej? W dodatku, gdy krytyce poddawana jest rusyfikacja, czyni się to w sposób sugerujący jej negatywny wpływ na oba języki: rosyjski i ukraiński. Problemy naświetlone przez pisarzy ukraińskich dowodzą ponownie, że ludzie pióra przyjęli rolę rzeczników narodu. Według słów Romana Sołczanyka: "Owe problemy, które składają się na jedno: sprawę przetrwania narodu - nie zmieniły się zbyt wiele podczas ostatniej dekady, czy nawet stulecia. Zmienił się za to sposób ich przedstawiania - na bardziej otwarty".

Ukraińska kampania na rzecz głośności nie nabrała takiego rozmachu, o jakim mówił Andriej Wozniesiński w odniesieniu do Moskwy i Leningradu, używając określenia "rozkwit kulturalny". Podczas gdy inteligencja nie-rosyjska traktowała głośność jako okazję do poruszenia nabrzmiałych problemów języka i kultury, głośność w republice rosyjskiej objęła także inne zagadnienia. Przedmiot troski inteligencji rosyjskiej i nie-rosyjskiej nie zawsze bywa ten sam, choć Gorbaczow szuka poparcia dla swojej kampanii głośności i pierestrojki u ogółu inteligencji.

W następstwie rozruchów w Kazachstanie, Gorbaczow przyrzekł ostrzejszy kurs wobec nacjonalizmu, lecz problem - podobnie jak w przeszłości - polega na tym, że definicja nacjonalizmu podlega różnym interpretacjom. Treści, jakie ukraińska inteligencja wyraża dziś na łamach prasy sowieckiej

Ukrainy, dziesięć lat temu zostałyby potępione jako przejaw nacjonalizmu. W konsekwencji stanowi to dylemat Gorbaczowa: nie chce on jako pierwszy ujawniać problemów narodowościowych, lecz jego zwrot ku inteligencji i wezwanie do głośności zachęciło wielu do szczerej i otwartej dyskusji nad wieloma sprawami, które dotąd stanowiły tabu. Może powinniśmy w takim razie zadać pytanie: jak daleko sięgnie ów postęp? Kiedy Gorbaczow wreszcie zdecyduje, że głośność głośnością, ale najważniejsza jest jedność i trwałość sowieckiego imperium?

Taras Kuzio  
z angielskiego przełożyła  
Barbara Jankowiak

# ŚWIADECTWA

## PO POWROCIE

### ROZMOWA Z OJCEM JÓZEFEM M. BOCHENSKIM

I: Dlaczego tak późno, prawie po pięćdziesięciu latach, zdecydował się Ojciec Profesor na przyjazd do Polski?

B: Przez wiele lat nie chcieli mnie po prostu wpuścić. W swoim czasie brat mój i Schaff interweniowali nawet w sprawie mojego przyjazdu; ale nic to nie dało. Później ktoś bardzo wysoko postawiony miał się wyrazić, że po jego trupie Bocheński przyjedzie do Polski.

I: Skąd ta zaciekleść?

B: Uważali mnie za antykomunistę i Bóg wie kogo jeszcze. Zabawne, bo np. przez Rosjan byłem ciągle zapraszany. A w kraju doszło do tego nawet, że moja matka, która napisała "Żywot świętej Teresy", figurowała w bibliografii Polskiej, a ja - nie. Później przyszedł nagle zwrot: wezwali ludzi na bezpieczeństwo i kazali im namawiać mnie, że-  
bym przyjechał.

I: Jakie to były lata - sześćdziesiąte? siedemdziesiąte?

B: W każdym razie przed "wojną Jaruzelską" = jak wy to mówicie. Chodziło im oczywiście o efekt propagandowy: żeby można było powiedzieć - nawet taki nas odwiedzał. To wystarczyło, żebym właśnie nie przyjechał. Dopiero niedawno dałem się przekonać - i pojechałem.



I: Czy spotkanie z Polską po wielu latach zmieniło wyobrażenie Ojca Profesora dotyczące Polaków zamieszkających w kraju, ich sposobu myślenia, krajobrazu?

B: ...Krajobraz został taki sam... Kraków np. wcale się nie zmienił... Ogólnie, Polska wygląda lepiej, niż myślałem - i to pod paroma względami. Przede wszystkim zaskoczyła mnie otwartość - większa niż oczekiwałem. Spotkałem wielu dynamicznych, gotowych do dyskusji ludzi, masę wartościowej młodzieży. A pod względem zewnętrznym: np. drogi są dość dobre...

I: Ojciec Profesor podróżował przez Polskę trochę jak dygnitarz, patrząc na Kraj przez okno mercedesa...

B: Szosy są te same dla wszystkich...

I: Ale czy mógł Ojciec Profesor dostrzec rzeczywiste problemy ludzkie?

B: Mam w Kraju liczną rodzinę, są wśród niej głównie inteligenci, ale i np. rolnicy. Wiem, że ludziom jest ciężko - i to przeważnie inteligencji. Wiem, że np. wykładowcy uniwersyteccy z trudem wiążą koniec z końcem. Ale otwartość, swoboda, jest dużo większa niż myślałem. Dam taki przykład. Jechałem do Warszawy w naiwnym przekonaniu, że dla moich braci zakonnych wielkim wydarzeniem jest przyjazd kogoś z zagranicy. Tymczasem co widzę? Siedzimy przy wspólnym śniadaniu w klasztorze: jeden z ojców wrócił właśnie z Rzymu, drugi - z Leningradu, a trzeci wybiera się do Kopenhagi. I mówi się, że to kraj zamknięty... Drugi przykład. W Paryżu, tuż przed moim przyjazdem do Polski, wyszła moja książka "Sto zabobonów". I już co najmniej z tuzin egzemplarzy podpisałem w kraju.

I: Jednym słowem Polska nie jest już krajem za żelazną kurtyną...

B: Z drugiej strony, jak się czyta "Znak" czy "Tygodnik Powszechny" pokiereszowany przez cenzurę, wtedy widać, że rzą-

dy sprawują jakieś policmajstry. To robi okropne wrażenie.

I: Obowiązuje nadal prawo milczenia o pewnych kwestiach...

B: Jakie tam prawo milczenia! To jakieś barbarzyńskie, azjatyckie metody! W cywilizowanym kraju takich rzeczy nie ma! To jakiś kiepski dowcip! Pisziesz artykuł filozoficzny, a tu ci nagle coś wycinają: ustawa z dnia... I to się dzieje w Polsce, gdzie kancierz Zamoyski powiedział posłom moskiewskim: My w Polsce ksiąg drukować ani nakazuję, ani zakazuję. W XVI wieku! A dzisiaj - takie rzeczy! Kompromitacja Polski przed całym światem! Tego nawet w Rosji nie ma - nie wiem, jak oni to robią...

I: W Rosji takich rzeczy w ogóle się nie drukuje... Wsio jasno, bukwow niet... Czy Ojciec Profesor miał w Polsce dostęp do publikacji wydawanych w drugim obiegu?

B: Tak, widziałem trochę...

I: Chodzi mi o publikacje naukowe.

B: Widziałem dwutomowe wydanie "Otwarte-go społeczeństwa" Poppera. Ogromne dzieło.

I: Na spotkaniach i po odczytach pytano często Ojca Profesora o Kołakowskiego, ale nigdy Ojciec nie udzielił jasnej odpowiedzi. Jak ocenia Ojciec np. jego prace dotyczące marksizmu i religii?

B: No cóż, jeśli chodzi o religię, to niczym specjalnym się nie wślawił. Napisał na ten temat popularną książeczkę - pełną błędów. O buddyzmie np. mówi, że jest redukowalny do moralności: nikt nie zrobił buddyzmowi większej krzywdy. Następnie: to, co pisze o dowodach istnienia Boga, jest niepoważne; widać, że nie zna literatury. Sam Kołakowski miał trzy okresy. Najpierw był prawdziwym marksistą-leninistą, czyli inaczej mówiąc naganiałcem bandy okupantów Polski, w najgorszym znaczeniu słowa "naganiałcz" - bo fałszował teksty /pewnie kazali mu to robić.../. Później nawrócił się i

został jednym z czołowych neomarksistów, tzn. tych marksistów, którzy odrzucają Lenina i Engelsa, i chcą wracać do Marksa, i to młodego...

I: ... czyli do Marksa-filozofa.

B: Tak. Tylko młody Marks był filozofem. Kiedyś napisałem krytykę książki o Marksie jezuita, ojca Calveza. To była dobra książka, ale jednostronna, bo - w duchu neomarksistowskim - ześrodkowana na zagadnieniu alienacji. Tę moją ocenę omówiono w "Wópro-sach filozofii" - i w tym omówieniu słowo "alienacja" było zawsze w cudzysłowie, jako słowo nieznane. Ładni marksściści! Nie byli w stanie przełknąć tego słowa! W każdym razie to neomarksściści odkryli młodego Marksa. Trzeba pamiętać, że "Rękopisy ekono-miczno-filozoficzne" wydrukowano dopiero w 1932 roku, a więc długo po śmierci Leni-na. Wracając do Kołakowskiego - w drugiej fazie Kołakowski zaczął wojować z marksiz-m-leninizmem w imię neomarksizmu i wtedy go z Polski... wylali...

I: ... na fali 1968 roku, który to czas teraz się w Polsce rehabilituje.

B: Ach, tak?! Teraz przyszła na Kołakow-skiego trzecia faza: kiedy wręczano mu na-grodę we Frankfurcie, przyznał się do chrześcijaństwa, choć nie wiąże się to z żadną konwersją...

I: Kto szuka - nie błądzi.

B: Tak, to jest bardzo złożona osobo-wość. Kołakowski ma na swoim koncie kapi-talne dzieło: "Główne nurty marksizmu".

I: Wiele pytań postawiono w Polsce Ojcu Profesorowi w związku z książką "Sto zabo-bonów". Zarzuty dotyczyły przede wszystkim bezpardonowości Ojca w określaniu czy wręcz "odkłamywaniu" pewnych pojęć.

B: "Zabobonem" nazywam to, co uznaję za fałsz. W liście do Kołakowskiego - który napisał negatywną, ale uprzejmą recenzję



"Stu zabobonów" dla paryskiej "Kultury" - dziękując mu za nią powiedziałem, że zapewne dziewięćdziesiąt procent moich zabobonów musi uważać za święte prawdy. Otóż jeśli ktoś to, co dla mnie jest zabobonem, uważa za świętą prawdę, nie dziw, że się oburza. Przypomnę, co napisałem we wstępie do tej książki: "Powie mi ktoś, że używając tej raczej obelżywej nazwy, obrażam czcigodne zasady wytwornej przyzwoitości koleżeńskiej. Bo w świecie filozofów przyjęto obchodzić się elegancko z najgorszymi nawet idiotyzmami. Kiedy jeden mędrak powiada, że światła nie ma, albo że istnieje tylko w jego głowie; kiedy drugi dowodzi, że ja nie mogę być pewny, czy w tej chwili siedzę, a trzeci poucza nas, że nie mamy świadomości, ani uczuć - mówi się, że to jest "pogląd", "mniemanie", "filozoficzna teoria" i wyklada się ją z namaszczeniem studentom. Otóż ja, proszę mi wybaczyć, nazywam to wszystko "zabobonem" i mówię, wyraźnie, że takie jest moje mniemanie." To prawda, jestem kategoryczny.

I: Czy Ojciec Profesor był przygotowany na ataki?

B: Oczywiście!

I: Jak, poza Kołakowskim, zareagowano na tę książkę?

B: Dotąd nikt nie zareagował źle. Przeciwnie, ludzie piszą do mnie listy pochlebne. Jedynie moje wypowiedzi o wojnie i pacyfizmie wywołały burzę.

I: Przypomnijmy hasło "pacyfizm". "W zasadzie tyle, co przekonanie, że pokój jest stanem godnym pożądanym i że należy do niego dążyć. Ale w praktyce pacyfizm przejawia się zwykle w postaci dwóch zabobonów: 1. że można osiągnąć pokój rozbrajając narody pokojowe i 2. że żadna wojna nie jest moralnie dopuszczalna. Doświadczenie uczy, niestety, że rozbrajanie narodów pokojowych prowadzi do opanowania ich przez

inne, wojownicze, a te z kolei zaczynają toczyć wojny z podobnymi do siebie drapieżnikami. Skądinąd twierdzenie, że każda wojna jest niesprawiedliwa nie wytrzymuje krytyki, są bowiem okoliczności, w których - zgodnie z normalnym wyczuciem - istnieje rzeczywisty obowiązek bronienia orężem praw innych, powierzonych naszej opiece./.../ Podłożem pacyfizmu jest sentymentalizm: byłoby tak ładnie, gdybyśmy mogli uniknąć wojen. Wojna jest rzeczą nieładną, straszną. Miesza się te oceny estetyczne z moralnymi, zapominając że nieraz rzeczy niepiękne są przecież dobre i nakazane /np. operacje/. Pacyfizm zasługuje więc w pełni na nazwę zabobonu i to mimo szlachetności niektórych wyznawców, niektórych, bo pacyfizm jest bardzo często używany przez przysięch najeźdźców do moralnego rozbijania ich ofiar." Tak to brzmi.

B: Krótko mówiąc, dla mnie pacyfiści to są zgniłki...

I: Jest jednak wiele odcieni pacyfizmu. W Polsce np. występuje on pod postacią organizacji "Wolność i Pokój", która skupia młodych ludzi, którzy nie chcą wstępować do wojska, w którym muszą składać przysięgę na wierność Związkowi Radzieckiemu.

B. Wobec tego to nie jest żaden pacyfizm, tylko rodzaj walki. Ja jestem przeciwko tym, którzy twierdzą, że każda wojna jest zbrodnią i że wobec tego nie należy służyć w wojsku. Dla Polaków jest to poważny problem, bo w Polsce nie ma prawdziwie polskiego wojska. Dlatego bardzo słusznie, że w takiej sytuacji nie chcą służyć.

I: Po jednym z odczytów zapytano Ojca Profesora, jak pogodzić miłość bliźniego z walką, która może się skończyć zniszczeniem drugiego człowieka.

B: To nieporozumienie. Wojny nie toczy się po to, żeby drugiego zabijać, tylko

żeby zdezorganizować... Dziwne, że ludzie nie wpadli na pomysł, żeby tylko... usypiać sztaby generalne... Nic tylko strzelają!... To - oczywiście - środek nieprzyjemny, ale celem wojny nie jest zabijanie. W marynarce np. przyjęte jest - wszędzie na świecie - że nie walczy się z marynarzami zatopionego okrętu, tylko ich ratuje...

I: Ojciec Profesor mówi o jakiejś eleganckiej "wojence" konwencjonalnej. Dzisiaj wojna jest rodzajem anonimowego działania: spuszcza się bombę atomową i miliony ludzi traci po prostu życie. Tu nie ma żadnej konwencji - jest po prostu straszna śmierć.

B: To samo mówiono kiedyś o karabinach maszynowych. Błok np. napisał książkę antywojenną, w której twierdził, że przyszła wojna nie może trwać dłużej niż trzy miesiące. Wojna wybuchła i trwała pięć lat. Ale istotnie, są tu problemy trudne, przede wszystkim problem wojny totalnej. Aż wstyd powiedzieć, że główny jak dotąd teoretyk wojny totalnej żył w XV wieku; był to dominikanin, ojciec de Vittoria. Odróżnia on wojnę w otwartym polu od oblężania miasta i pisze, że w czasie tej pierwszej nie wolno strzelać do cywilów...

I: To jest sprawa etyki wojennej.

B: Tak, bo to był teolog moralny. Pisze dalej, że w przypadku oblężania miasta wolno strzelać nawet do nieletnich chłopców, którzy przynoszą jedzenie walczącym. Otóż dzisiaj cały naród może się znaleźć w położeniu obleżonego miasta i dlatego wolno strzelać również do cywilów. Są jednak wyjątki: dzieci, chorzy, starcy. Oni niczego do wojny nie wnoszą i zwalczanie ich ogniem jest zbrodnią. Jest rzeczą haniebną, że nikt o tym nie myśli.

I: Jest jeszcze problem rewolucji...

B: Rewolucja - to rodzaj wojny, wojny domowej, który nasuwa szczególne problemy moralne. Św. Tomasz powiada, że są trzy



warunki dopuszczalnej wojny: słuszną sprawą, szansę zwycięstwa i prawowita władza, wypowiadająca wojnę. Tego trzeciego warunku trudno dopatrzeć się w rewolucji. Kto ma prawo wywoływać wojnę domową? Są takie bzdury z teologii wyzwolenia /...dajcie spokój! toż one mózgiem nie potrafią ruszać!.../, dla których to byłby wdzięczny temat: kto ma decydować o wybuchu rewolucji? Bo to, że rewolucja jest czasem dopuszczalna, jest oczywiste.

I: Kiedy mianowicie jest dopuszczalna?

B: Kiedy ma się do czynienia z tyranem. Tyran może być dwojaki. Jeden - to tyranus occupatione, tyran, który bezprawnie objął władzę. Nawet jeśli jest sprawiedliwy, wolno przeciw niemu wznieść rewolucję. Drugie - to tyrranus regimine. Ten prawnie objął władzę, ale w nieprawy sposób ją wykonuje.

I: Jak z tym jest w Polsce?

B: W Polsce zachodzą oba przypadki: nieprawnie objęto władzę i w nieprawy sposób się ją wykonuje. W Polsce są wszystkie warunki do rewolucji poza drugim: szansami zwycięstwa.

I: W Kraju stacjonują wojska rosyjskie, polskie wojsko pozbawione jest nawet dostępu do amunicji. Polacy nie mają szans na wybór własnych przywódców, przedstawiciele myśli niepodległościowej są przez władze ogłaszani wrogami narodu i państwa...

B: No właśnie. Ale tak nie zawsze musi być. To się może zmienić. Wszystko zależy od tego, co się będzie działo w Rosji. Polska może mieć pewne szanse na niepodległość, kiedy się tam coś popsuje i Rosjanie stracą dynamikę. Dokładnie tak, jak to było po pierwszej wojnie światowej.

I: Najbardziej niepokojące jest to, że Polacy nie mają w tej chwili przywódców, którzy umieliby wyzyskać nową, sprzyjającą sytuację polityczną.

B: To jest nasza rzecz. W każdym razie nie jest wcale tak beznadziejnie, jak ludzie mówią. Byleby w Rosji zapanowała Smuta - czyli bałagan. Książd Meysztowicz, historyk - jeden z najwybitniejszych ludzi, jakich znałem - mówił mi, że w historii rosyjskiej jest taki rytm: najpierw jest wielki car, taki jak Iwan Groźny, albo Piotr Wielki czy Stalin; następnie przychodzi epigon, który stara się go naśladować /jak Chruszczow Stalina.../, a później przychodzi smuta...

I: Co jest potrzebne, aby być przygotowanym na taką zmianę?

B: Trzeba przetrwać biologicznie i kulturalnie, i zachować myśl niepodległościową.

I: Tysiące wykształconych Polaków emigruje i już w drugim pokoleniu tak się asymiluje w nowym środowisku, że sprawa polska przestaje być ich sprawą. Jak Ojciec Profesor ocenia to zjawisko?

B: W ostatnim numerze "Znaku" jeden z autorów pisze, że jeśli się przejrzy listę marszałków sowieckich lub niemieckich, to ma się przykre wrażenie: tak wiele wśród nich Polaków, którzy odeszli od polskości. I to jest groźne. Sama emigracja nie jest tak groźna, jak odchodzenie od polskości.

I: Wróćmy jeszcze do refleksji Ojca Profesora po powrocie z Polski. Co ocenia Ojciec jako najważniejsze wydarzenie w czasie pobytu w Kraju?

B: Spotkanie z młodzieżą - tą uniwersytecką, i tą klasztorną. Bardzo mi się ta młodzież podoba - tyle, że wygląda trochę jak stado baranów bez przewodnika... A tak szukają, szukają... Na dodatek starsze społeczeństwo cierpi na nieuzasadnione kompleksy niższości. To jest bardzo groźne, bo podrywa tradycję.

I: Jak jest stosunek Ojca Profesora do atmosfery dialogów w Polsce - dialogów to-

czących się na różnych poziomach i z różnych pobudek: między katolikami i komunistami, Kościołem a Państwem, podziemiem i nadziemiem, prawicą i lewicą itd.?

B: No tak, w Piśmie świętym stoi: taki z tobą zrobię dialog, że ci obetnę prawą rękę i wyłupię lewe oko...

I: Czy Ojciec Profesor nie wierzy w dialog jako szansę porozumienia?

B: Są okoliczności, kiedy należy dialogować. Ale zawsze muszą być spełnione elementarne warunki: trzeba wiedzieć, o co w tym dialogu chodzi. Kiedy komuniści robią dialog, to dobrze wiedzą, czego chcą - i tym nad nami górują. Czasem postępują uczciwie: robią dialog, żeby człowieka nawrócić na komunizm. Ale w większości wypadków chcą nabywać słuchaczy. To jest to, czego katolikom brakuje. Najlepszym przykładem "dialogu" jest historia z ekumenizmem w Polsce, gdzie wszystkie mniejszości religijne liczą dwa i pół procent. O jakim ekumenizmie tu mówić? Jakie to ma znaczenie? To są dla mnie wszystkie objawy kompleksu niższości... Rzeczywiście - Polsce potrzebni są prawdziwi przywódcy... Ojciec święty na tle tego wszystkiego, co widać w Polsce, wygląda jak tytan. Wie, czego chce!

opr. s



## HISTORYK O PIERESTROJCE

/Rozmowa z Adamem Michnikiem/

KN: Czy na seminarium "Film a destalinizacja kultury" dowiedziałeś się - jako historyk- czegoś nowego?

AM: Owszem... Dwie rzeczy były tam dla mnie najważniejsze. Po pierwsze - ogromnie interesujący referat Natana Ejdelmana: namysł nad problemem polskim w rosyjskiej historii. Po wtóre - referat Mirona Czernienko: obraz Polski w rosyjskim filmie. Mottem tekstu Ejdelmana były słowa Aleksandra Hercena "Jesteśmy za Polską, bo jesteśmy za Rosją". Obok rzeczy, które znałem, najciekawsza była tam dla mnie pewna interpretacja reform Aleksandra II. To była zresztą jedyna sprawa, w której polemizowałem z Natanem Ejdelmanem: postawił on tezę, że reformy w Rosji były bardzo pożyteczne dla rozwoju Polski w okresie 1864-1875. Ja twierdziłem, i przy tej opinii obstaję w tej chwili, że dla Polski ten właśnie okres był okresem wielkiego duchowego regresu. Był to okres żałoby po klęsce powstania styczniowego, wywózek. Nad Polską tego czasu unosił się cień szubienic Murawiewa-Wieszatiera, cień egzekucji Traugutta. Natomiast ogromnie interesujące dla mnie było spojrzenie rosyjskie na ten okres: mam wrażenie, że Rosjan w tej chwili, a zwłaszcza Natana Ejdelmana, ogromnie interesują pytania o historię i mechanizm odgórnych reform w dziejach Rosji. Z tego punktu widzenia spór o odwilż posewastopolską i Aleksandra II jest chyba najciekawszy, dlatego że najbardziej przypomina to pierestrojkę właśnie. Na ten temat pisał Gawrił Popow, współczesny ekonomista i eseista radziecki. Napisał też o tym całą pracę właśnie Natan Ejdelman. Pożyczył mi jej

maszynopis. Cała rozprawa, ogromnie interesująca, będzie teraz publikowana w odcinkach w miesięczniku "Nauka i Życie". Mówił też, że chce to u nas drukować PIW.

Wydaje mi się, że dla Polaka możliwość spojrzenia na historię Rosji z tej perspektywy jest ogromnie instruktywna, dlatego że Polacy tej perspektywy po prostu nie znają. Słabością naszej świadomości historycznej jest to, że my nie potrafimy rozumieć jak Rosjanie spoglądają na Rosję.

KN: Czy możesz coś bliższego powiedzieć: jak oni widzą podobieństwo między carskimi odgórnymi reformami i odgórnymi reformami Gorbaczowa?

AM: Najprościej mówiąc: pytanie, które Natana Ejdelmana interesowało przede wszystkim, to było pytanie o siły, które stały za Aleksandrem II i które stoją za Gorbaczowem. Tych sił jest mało. Zarówno pojawienie się Aleksandra II jak i wybór Gorbaczowa były w jakiejś mierze dziełem przypadku...

KN: Wybór Gorbaczowa na najwyższe stanowisko w państwie?

AM: Tak. W jakiejś mierze był dziełem przypadku. Myślę, że ludzie, którzy go wybierali nie mieli pojęcia kogo wybierają. Podobnie zresztą było chyba z Chruszczowem. Chruszczow został przecież na stanowisko Genseka wybrany przez klasyczną stalinowską gwardię. Podobno - nie wiem czy to prawda - ale jest taka legenda, że o wyborze Gorbaczowa zdecydował głos Gromyki, który przecież jest ucieleśnieniem całej epoki Breżniewa.

Sprawa bazy. Ejdelman cytował list /chyba Kawieli/ do Hercena, że car ogłasza projekt likwidacji poddaństwa chłopów, i że to jest pomysł całkowicie nierealny, dlatego że tylko 1% posiadaczy ziemskich popiera próby likwidacji poddaństwa. No a jednak car zdołał to przeprowadzić.

Podobnie dzisiaj tylko minimalna część aparatu popiera zmiany Gorbaczowskie, ale jej szansą jej dynamizm, jej szansą jest odwołanie się do tych grup społecznych, które są niezadowolone ze stanu rzeczy, z tego co Rosjanie dzisiaj w swojej publicystyce nazywają "koszarowym komunizmem". I to jest przede wszystkim inteligencja i młodzież. Oni twierdzą, że tak jak kiedyś szansa reform Aleksandra II, tak i szansa pierestrojki tkwi w tym, żeby pewna część aparatu była pierestrojką zainteresowana, żeby się mogła na pierestrojce na przykład wzbogacić i w związku z tym - żeby chciała tej pierestrojki bronić. I to jest podstawowy problem.

KN: Czy oni sobie to wyobrażają bliżej, jak ta część aparatu może się na pierestrojce wzbogacić? Dać jej sklepiki, restauracje?...

AM: No, na przykład... W tej chwili pierestrojka stanowi dla aparatu tylko zagrożenie i dlatego /oni to nazywają "siły hamowania"/ aparat blokuje gdzie może. By nie szukać daleko: ostatni skandal o prenumeratę. Krótko mówiąc okazało się, że w Rosji, /jak wiadomo to jest bardzo mały kraj, gdzie nie ma lasów/ otóż w Rosji zabrakło papieru. Ale tego papieru nie ma zwłaszcza dla niektórych tytułów gazet: na "Ogoniok", "Moskowskije Nowosti", na "Litgazietę", na "Nowyj Mir" itd. Z "Ogoniokiem" jest dziki skandal. Na jakiejś konferencji podczas festiwalu filmowego w Odessie wystąpił Korotycz i odczytał listę osób, które się do niego osobiście zwróciły o prenumeratę "Ogonioka" i on tego załatwić nie mógł. Więc: ambasador sowiecki w Japonii, wiceprezes sowieckiej Akademii Nauk, rektor Uniwersytetu w Kijowie itd. Aparat gdzie może - będzie blokował. I tak też było za Aleksandra II. Miron Czernienko postawił w referacie



pasjonujące pytanie /ja sobie tego pytania nigdy nie stawiałem/: jaki był obraz Polaka w rosyjskim kinie. Jest to dlatego ciekawe, że kino to ten gatunek twórczości najbardziej zoficjalizowany. Zwłaszcza stalinowskie kino. Zwłaszcza stalinowskie kino propagandowe. To jest jednocześnie obraz propagandy stalinowskiej wobec Polski.

Ogromną zaletą całej tej sesji, i tego referatu, była taka chłodna szczerość. To znaczy: żadna z występujących osób nie zajmowała postawy, że coś wypada a czegoś nie wypada, kiedy się dyskutuje o przeszłości. Żadnego z przeszłych zdarzeń nie próbowano retuszować. W postawie naszych rosyjskich przyjaciół uderzająca była otwartość, odwaga i całkowita jasność co do spraw, o których jeszcze rok, dwa lata temu w ogóle nikt nie śmiał pomyśleć. To cośmy usłyszeli od naszych przyjaciół Rosjan o Katyniu, o pakcie Ribbentrop - Mołotow, o siedemnastym września - to było niezwykle. Ja przynajmniej przeżyłem wstrząs.

KN: Dla nich są to więc sprawy, które przeżywają?

AM: Tak. Nie zdawałem sobie sprawy ani z poziomu ich refleksji, który wydaje się niesłychanie wysoki, ani ze stopnia ich zdeterminowania. Ich sytuację może ilustrować toast, którego mnie nauczyli. Piliśmy wino, i jeden z nich wznosił toast następujący: "wypijmy za sukces naszej beznadziejnej sprawy". I to jest ich stosunek do tego się dziś w Rosji dzieje. Ale także jest to odzwierciedlenie pewnego obrazu historii Rosji, który ma najlepszą część rosyjskiej inteligencji.

Jeżeli chcemy podjąć z Rosjanami dialog /a musimy to zrobić, jestem o tym najgłębiej przekonany, że musimy to zrobić - jest to dla mnie punktem wyjścia do reflek-

sji o tym, co się w najbliższych latach będzie działo w tej części świata/, to musimy ich po prostu poznać. My ich nie znamy. Znamy współczesną kulturę rosyjską od strony pewnych sensacji, od strony pewnych zdarzeń, znamionujących odwilż, natomiast to co dziś w Rosji jest najciekawsze - to już nie jest odwilż, to jest konflikt. Rosja jest krajem wielkiego umysłowego konfliktu, który ma wiele planów: to jest spór stalinowców z antystalinowcami; spór - nazwijmy to - uniwersalistów z nacjonalistami; spór o przyszłość, o to, którą drogą Rosja ma dalej iść. Mnie się wydaje, że z tego punktu widzenia to spotkanie było czymś niezwykle. Dlatego, że pierwszy raz tu w Warszawie, publicznie, Rosjanie mówili zupełnie własnym głosem...

KN: Posłuchaj tego, co powiedziałeś: "po raz pierwszy - Rosjanie - własnym głosem...". A czy głosy, które słyszeliśmy tutaj z trybun rozmaitych zjazdów - to nie były głosy Rosjan? To też były głosy Rosjan.

AM: Ale to był własny głos sowieckiej nomenklatury, który braliśmy /mówię, bom smutny i sam pełen winy/ za głos całej Rosji. To nigdy nie był głos całej Rosji. Później, jak się pojawiła literacka opozycja, dysydenci - doszliśmy do przekonania, że to jest bardzo wąziutka grupa, bardzo nieliczna. Że - oczywiście - są szlachetni, ale żadną miarą nie kształtują duchowości rosyjskiej, bo ją kształtują właśnie ci oficjele, którzy tu przyjeżdżają. Otóż okazuje się znów, że nieprawda. To był błąd. W istocie było jak z KOR-em. KOR, który wystartował jako grupa straceńców i gówniarzy, potrafił stworzyć pewien język, którym dziś mówi cała niezależna inteligencja polska. Otóż to samo się stało w Rosji: jakkolwiek ci, którzy dziś tę pierestrojkę ciągną to nie są dysydenci,

jednak to dysydenci zwyciężyli, te "inako-wysły". Tam się dziś mówi językiem wypracowanym przez samizdat i ruch dysydencki. Oczywiście są tam też rzeczy irytujące. Nie wszystko zresztą rozumiem. Na przykład: nie do końca rozumiem, jaki jest stosunek tych kręgów do Lenina. Nie umiem powiedzieć w jakiej mierze oni go cytują taktycznie, jako tę oficjalną świętość, na którą można się powołać, a w jakiej mierze jednak mają do Lenina stosunek choćby ambiwalentny, ale jednak zupełnie inny niż Polacy, Czesi, Węgrzy, Estończycy czy Ormianie. Inny - ponieważ to jest architekt ich państwowości. Na to pytanie odpowiedzieć jeszcze dzisiaj nie potrafię. Chociaż uderzyła mnie ich niezwykła otwartość, większa niż u Polaków. Z tym, że oni sami przestrzegali, żeby tutaj nie mieć złudzeń: są bardzo specyficznym środowiskiem, specyficznym kręgiem i żeby po nich nie sądzić całej rosyjskiej inteligencji...

KN: Siła taka małych kręgów bywa czasami olbrzymia...

AM: Jestem o tym najgłębiej przekonany i zupełnie się z tobą zgadzam. Przykład KOR-u jest dla mnie z tego punktu widzenia niezwykle krzepiący.

KN: Modelem artysty w realnym socjalizmie jest twórca upaństwowiony. Czy w ogóle i w jaki sposób ludzie tacy jak ci radzieccy uczestnicy seminarium interesują się procesem odchodzenia od upaństwowienia artysty?

AM: Interesują się bardzo. Na dwa sposoby. Pierwszy sposób - to próba budowania pewnej przestrzeni artysty niezależnego w państwie. Na przykład w środowisku filmowym to jest walka o uniezależnienie się zespołów. W środowisku literackim to jest walka o niezależne pisma i wydawnictwa: żeby sami pisarze mogli je zakładać. Jest



1 druga droga. Mianowicie. próba rewindykowania państwa, przejmowania instytucji państwowych.

Towarzyszy temu wszystkiemu poczucie, że odradza się wielki etos rosyjskiej inteligencji zbuntowanej, która się pochyla nad przekłатыmi problemami, tymi samymi nad którymi pochylali się Puszkina, Lermontow, Gogol, Dostojewski, Czechow, Bierdiajew, Sołżenicyn.

Ou blisko dwóch lat pilnie śledzę to co się w Rosji dzieje i czytam sowieckie gazety bardzo starannie. Jesteśmy świadkami /choć to z naszej prasy, powiedzmy sobie, nie wynika/ wielkiego renesansu rosyjskiego życia duchowego.

KN: Z tego co powiedziałeś wynika, że oni bardziej myślą o uspołecznieniu instytucji państwowych niż o tworzeniu instytucji alternatywnych.

AM: Oni w ogóle mają do państwa inny stosunek niż my. Zrobiłem taki quiz /zawsze robię, kiedy rozmawiam z Rosjanami/: wymien mi dziesięć nazwisk współczesnych ludzi w Rosji, których ty obdarzasz największym szacunkiem, podziwem, które są dla ciebie autorytetami moralnymi, duchowymi, intelektualnymi, politycznymi itd. Otóż takie pytanie zadawałem tym Rosjanom i każdy na swojej liście miał Gorbaczowa, każdy z nich. W wielu innych sprawach myśleliśmy czy podobnie, czy identycznie. Natomiast tutaj jest pęknięcie bardzo istotne. Nie wyobrażam sobie podobnej ankiety wśród odpowiednich prasyjacji polskich, gdzie na takiej liście znalazłby się - nie mówię, że Jaruzleski - ale w ogóle ktokolwiek z tego układu. To jest po prostu niemożliwe.

Z tego punktu widzenia sytuację w Rosji można porównać z sytuacją w Czechosłowacji w 68 roku, gdzie taką ogromną popularność jednak mieli ludzie z kierownictwa

partii, czy to Dubczek, czy Smrkowski, czy Krigel. Sytuacja w Polsce jest radykalnie odmienna.

Nie umiem rozsądnie odpowiedzieć na pytanie jaka będzie przyszłość Rosji, podobnie jak nigdy nie umiałem powiedzieć jak rozwijała by się czeska wiosna, gdyby nie weszli Rosjanie. W moim przekonaniu zwycięstwo idei reformatorskiej Dubczeka na zjeździe partii, który już się nie zdołał odbyć, byłoby początkiem konfliktu, a nie końcem. Dlatego, że tutaj się otwiera wielki spór, czy to ma być państwo nomenklatury - czy państwo, tak czy inaczej, jakoś jednak ogólnospołeczne.

KN: Znam przypadki, kiedy dziś w Rosji ugrupowania niezależnych twórców kultury, malarzy, pisarzy, gdy im lokalna władza utrudnia życie, piszą list za listem do Gorbaczowa prosząc o pomoc. To taka niezależność, która szuka protekcji. W naszej sytuacji byłoby to absurdem...

AM: ...a w tamtej nie jest. Przy całym naszym doświadczeniu trzeba być otwartym na doświadczenia odmienne. Bo w takich przypadkach łatwo powiedzieć, że oni są naiwni. Oni nie są naiwni. Mają poczucie, że ten konflikt, który przebiega przez aparat, jest konfliktem niesłychanie głębokim. Mówią: Gorbaczow - albo faszyzm, rosyjski faszyzm. Tam siły stalinizmu - to nie to samo co w Polsce, gdzie to jest wąska grupa agentury KGB. Tam to jest potęga, która ma rzeczywiście władzę, to są ludzie przyuczeni do kultu tego skurwysyna, idola, którzy go kochają, którzy się go nie chcą wyrzec. Sowiecka prasa wypełniona była ostatnio reportażami z procesu sądowego, który jakiś były sędzia czy prokurator z Charkowa, czy z Kijowa wytoczył Alesiovi Adamowiczowi o łżenie Stalina. W moskiewskim sądzie odbył się proces z oskarżenia prywatnego o uprawianie kampanii kłamstw o wielkim Stalinie.

Oskarżonym był Aleś Adamowicz, białoruski pisarz, który napisał teraz ten wielki artykuł o białoruskim Katyniu. W ostatnim "OgoniokU", chcę ci pokazać, jest fenomenalne zdjęcie. W Polsce byłoby to niemożliwe. Fotografia człowieka, który ma na piersi wytatuowanego Stalina.

KN: Nie napis, tylko twarz?

AM: Tak. Otóż trzeba mieć świadomość takich rzeczy, jeśli się chce rozumieć na czym polega dynamika konfliktu w Rosji. To jest inny konflikt. On ma z naszym konfliktem wiele cech wspólnych, ale w swojej istocie jest odmienny. Mówiąc najprościej, tak jak wielkim przełomem było przekształcenie monarchii absolutnej w monarchię konstytucyjną, tak znowu tutaj - szalenie upraszczając - spór w Rosji to jest spór między komunizmem absolutnym a komunizmem konstytucyjnym. to znaczy: aparatem, z nomenklaturą - ale to wszystko w jakichś prawnych ramach, z jakimś miejscem dla niezależnej opinii publicznej itd. Taki jest pomysł Gorbaczowa. Ale Gorbaczowa popierają również ci wszyscy, którzy się nie chcą na tym zatrzymać, którzy po prostu chcą Rosji demokratycznej. Jednak w tym momencie - oni idą razem z Gorbaczowem. Nie chodzi o to, żeby aprobować, tylko trzeba rozumieć jak ci ludzie myślą. Na przykład: jak wygląda z ich punktu widzenia to, co się dzieje w Armenii. To bardzo interesujące. Mają całą sympatię do Ormian, całą. Ale z drugiej strony mówią: Ormianie wbijają nóż w plecy Gorbaczowowi...

KN: ... ci twoi rozmówcy tak mówili?

AM: Tak. Zachowując całą sympatię do Ormian. Co tutaj jest ważne. Cała rosyjska inteligencja popierała Ormian, naród, który przetrwał dzięki swej tradycji, religii, kościołowi... A jednocześnie - oni mają poczucie, że Gorbaczowowi to bardzo utrudnia grę i bardzo ją ułatwia



jego przeciwnikom. A ci przeciwnicy są potężni. Potężni są, i zwolennicy pierestrojki mają świadomość tej siły. Dla nich tekst Niny Andriejewej nie był jakimś fantomem, tylko rzeczywiście artykulacją sił, których oni się boją. Mianowicie sojuszu stalinizmu z wielkorosyjską czarną sotnią. Znamy to z Polski; to jest formuła Moczarowska.

KN: Spodziewają się więc, że ich poczynania, łącznie z poczynaniami Gorbaczowa, mogą się w pewnym momencie zawalić, druga strona zwycięży i się odegra?

AM: Tak! Mówili mi, że zawsze zaczynają dzień od tego, że włączają radio, żeby sprawdzić czy to jeszcze trwa. Charakterystyczne, że u nikogo z tych ludzi nie znalazłem euforii, którą myśmy mieli w latach osiemdziesiąt-osiemdziesiąt jeden. W gruncie rzeczy, jak się zastanowić, oni głównie akcentują słabość ich ruchu. Byli tu też socjologowie. Ilu jest takich, którzy myślą jak pan? - spytałem jednego profesora socjologii z Moskwy, a on mówi: - a ilu nas jest przy stoliku? Ja! - cztery osoby. On na to - to na policzenie pierestrojkarzy wystarczyłoby nam palców. To jest pesymizm, który rodzi determinację a nie strach. Kiedy na uniwersytecie moskiewskim studenci spytali profesora Afanasjewa: - dlaczego pan się właściwie zaangażował w tę pierestrojkę, odpowiedział - z rozpáczy, bo już nie mogłem żyć. Z rozpáczy... Cytuje się też Okudźawę, którego spytano, dlaczego z kolei on się zaangażował. Powiedział: - Gorbaczow ryzykuje to i ja mam obowiązek zaryzykować.

KN: To znaczy, że stawka, o którą oni walczą, to jest właściwie takie out-out, gdzie na subtelności miejsca nie ma.

AM: ...absolutnie, absolutnie. Na przykładzie środowiska literackiego widać to bardzo wyraźnie. Gra idzie nie o takie

czy inne idee, tylko o to, że - powiedzmy - Praskurin, Bondariew są wściekli, że nagle, kiedy oni milei poskładane w wydawnictwach swoje dzieła wielotomowe, zamiast nich drukuje się Achmatową, Pasternaka, Bułhakowa czy Zoszczenkę. I tu po prostu widać, że oni grają o całą pulę: o miejsce w wydawnictwie, o pieniądze, o dachy, o delegacje, o wszystko.

KN: Czy twoi rozmówcy nie widzą sprzeczności jaka istnieje między umacnianiem centrum a ogólnymi postulatami rozwoju kultury, zasadami cywilizowanego świata, które polegają na mnogości, na swobodzie inicjatyw?

AM: Tam paradoks polega na tym, że w tej chwili rozsądnikiem swobody jest centrum...

KN: Jedyńa lokomotywą?

AM: No oczywiście. Słuchaj, wspomniany Aleś Adamowicz pisze o centrum na Białorusi per "Wandea pierestrojki". On to pisze o władzach partyjno-państwowych w Mińsku - "Wandea pierestrojki". Jego teksty, które są konfiskowane na Białej Rusi, drukuje "Ogoniok". Inaczej to wygląda w "Pribaltikie". To co nie przechodzi w Mokwie - przechodzi w Rydze czy w Tallinie. Na przykład tajny suplement do paktu Ribbentrop-Mołotow wydrukowano w Estonii. W Moskwie to było niemożliwe.

KN: Wiesz, jak posłyszałem, że dwóch dziennikarzy "Komsomolskiej Prawdy" zawrócono z lotniska w Erewaniu, zrozumiałem, że tam rzeczywiście trwa walka...

AM: Widzisz, to na całego idzie. Jeżeli na konferencji partyjnej Jegor Ligaczow /który wtedy jeszcze nie zajmował się rolnictwem tylko ideologią/ otwartym tekstem atakuje "Moskowskije Nowosti" i je nazywa "Ersatzgazeta"... Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy w rosyjskim, partyjnym języku? I na to w następnym

numerze "Moskowskich Nowosti" odpowiada mu Jegor Jakowlew. Polemika z członkiem Politbiura w tej sytuacji! Tutaj już się skończyły żarty!

Kiedy spytano Korotycza /to jest naczelnik "Ogonioka"/, jak on się czuje w pierestrojce, powiedział: czuję się jakbym wsiadł do samolotu - i lecę. I to jest cudowne. Ale wiem, że ja z tego samolotu nie mogę wysiąść, mogę się tylko roztrzaskać. Nie mam już innej drogi - mówi Korotycz - i ja w życiu nie przewiduję, w moim życiu, jeszcze jednej pierestrojki, żebym ja się jeszcze raz przestraszał na inny kurs.

KN: ... powrotu z tego nie widzi...

AM: ...dla siebie, tak. to jest pełna determinacja. To jest coś takiego co ja w sobie wyczuwałem od powstania KOR-u. To było szalenie ryzykowne, wiedziałem, że tu się może roztrzaskać całe moje życie. Ale jak się wsiadło na tego konia - to już na nim trzeba jechać.

KN: Parę razy już porównałeś pierestrojkę z KOR-em. Czy rzeczywiście ci wiesz jakąś zasadność takiego porównania?

M: Widzę też wszystkie różnice, mam nadzieję, że o tym coś tutaj mówiłem. Natomiast podobieństwo widzę w tym, że w Rosji się przebudzili ludzie, którzy w imię prawdy, w imię sumienia, w imię najlepiej rozumianego rosyjskiego patriotyzmu porwali się na tego upiora, lęwiatana stalinizmu. I ich styl rachowania się z przeszłością wzbudza mój najwyższy szacunek. Oni mówią: naszym pierwszym obowiązkiem jest "pokajanie". My winni jesteśmy. Winni jesteśmy temu... To nie Stalin to wszystko zrobił, to myśmy to zrobili, to Stalin naszymi rękami robił.

KN: To jest dla mnie szalenie ważny element całej sprawy; całej tej przebudowy świadomości: poczucie winy, które



- jak ktoś powiedział - jest podstawą wszelkiej kultury...

AM: Tam jest ono niezwykle głębokie, głębsze niż w polskiej kulturze. W polskiej kulturze jest wszechobecne poczucie krzywdy, brak poczucia winy. A w ich kulturze ono jest. To jest potęgą tej kultury. I dopóki w polskiej kulturze nie będzie, poza poczuciem krzywdy, poczucia winy, będzie to kultura skłamaną.

KN: A co ty sam powiedziałeś na tym seminarium?

AM: Zabierałem głos dwukrotnie. Właściwie dwukrotnie mówiłem o tym samym. O potrzebie nowego polskiego spojrzenia na Rosję. O tym, że nie możemy z Rosjanami rozmawiać w ten sposób, jakby wszystkiemu co złe w Polsce winni byli Rosjanie. Rzeczywiście, system stalinowski w Polsce został narzucony przez stalinowską Rosję. To prawda, ale został narzucony polskimi rękoma i tego nic nie zmieni. I tę świadomość trzeba mieć, jeżeli się chce z Rosjanami rozmawiać jak wolny z wolnym i równy z równym. Bo warunkiem rozmowy jest brak kompleksów i trzeźwa świadomość samego siebie.

Mówiłem też o Katyniu. Tłumaczyłem naszym rosyjskim przyjaciołom, że to nie jest tak, że my mamy na punkcie Katynia bzika, że uważamy, że to sprawa ważniejsza niż cały ogrom stalinowskich represji, o których już się w Rosji mówi. Tylko że tak jak dla wielu Rosjan pewnym sygnałem, że pierestrojka to jest coś na serio, coś w co warto się angażować, było na przykład zwolnienie Sacharowa z miasta Gorki. Inni Rosjanie mówili, że oni uwierzą w pierestrojkę na przykład jak się ukaże "Doktor Żywego" Pasternaka, czy "Żizń i sud'ba" Grossmana, czy "Requiem" Anny Achmatowej - tak dla Polaków tym punktem jest zbrodnia katyńska. To jest sprawa sym-

bolączna. Dopóki prawda o Katyniu nie zostanie powiedziana - nikt w Polsce nie ma prawa wierzyć w to co mówią oficjalni Rosjanie. Ja - czasem chciałbym uwierzyć, ale mi nie wolno jako Polakowi, dopóki o Katyniu tej prawdy oni nie wypowiedzą.

KN: Czy wujśnili dlaczego tej prawdy się nie wypowiada?

AM: Oni mówią, że to jest opór stalinowskiej nomenklatury. Mówili zupełnie otwarcie, że to skandal. Natan Ejdelman w ogóle wyśmiewał się z oficjalnej argumentacji, że archiwów nie ma. Ja - powiada - jestem historykiem, znam pracę w archiwach. Jeżeli chcę powiedzieć, że w czerwcu 1941 roku Hitler napadł na Związek Radziecki, do tego nie są mi potrzebne żadne poszukiwania archiwalne. Jak było z Katyniem - wszyscy wiedzą, tylko trzeba wreszcie powiedzieć.

KN: Mówiło się na tym seminarium o białych plamach w odniesieniu do przeszłości. Czy świątli Rosjanie dostrzegają też jedną dużą białą plamę w odniesieniu do teraźniejszości? To znaczy: czy koniecznie Związek Sowiecki musi rządzić Polską. Czy są skłonni wypowiadać się na ten temat?

AM: Przypuszczam, że w tej sprawie postawy byłyby bardziej zróżnicowane. Ci ludzie, z którymi rozmawiałem, mieli absolutne poczucie, że warunkiem pozytywnego ułożenia stosunków polsko-rosyjskich jest suwerenność Polski i to autentyczna suwerenność. Ja z kolei /skoro pytałeś, co mówiłem/ tłumaczyłem na przykład coś takiego: Polacy dzielą się na przyjaciół Związku Radzieckiego, którzy nienawidzą Rosji i przyjaciół kultury rosyjskiej, którzy nie znoszą sowieckiego, stalinowskiego imperializmu. Rosjanie muszą zdecydować, w kim chcą widzieć w Polsce swoich przyjaciół. Czy w tych co kochają - na przykład - Puszkina, Czechowa i Sacharowa, czy w tych co kochają Stalina i Breżniewa. Muszą się zdecydować.

## JESTEM PRZECIWKO PARTIOM

Rozmowa z Markiem Nowakowskim

Podajemy do druku przekład rozmowy z Markiem Nowakowskim, opublikowanej w belgradzkim czasopiśmie "Književne novine" /Nowiny Literackie/ po ubiegłorocznym pobycie piarza w Jugosławii. Nowakowski, przyjęty z dużym zainteresowaniem, spotkał się między innymi z licznym gronem czytelników w belgradzkim Domu Młodzieży.

Prowadzący rozmowę Jan Nowakowski pochodzi z mieszanego małżeństwa polsko-serbskiego i przypadkiem nosi to samo nazwisko. Swoiste, miejscami wręcz naiwne zabarwienie jego pytań, ton "perswazji" wobec inaczej myślącego rozmówcy, uciekanie się do liczby mnogiej /"jak widzimy sprawę stąd, z Jugosławii"/ nie jest bynajmniej typowe dla prasy literackiej w Belgradzie, a zwłaszcza dla nonkonformistycznego pisma "Književne novine".

Tłumacz przeprasza p. Marka Nowakowskiego za ewentualną niedokładność sformułowań, jaka może zdarzyć się w przekładzie dokonywanym z przekładu.

x x x

W Jugosławii ukazały się dwie książki Marka Nowakowskiego: "Raport o stanie wojennym" /1984/ oraz "Księżę Nocy i 12 opowiadań" /1986/. Na język serbsko-chorwacki obydwie przełożyła Biserka Rajčić. Czytelnik jugosłowiański mógł także zetknąć się z twórczością Nowakowskiego za pośrednictwem opowiadań drukowanych w czasopiśmie.

JAN NOWAKOWSKI: - W maju odbywają się w Warszawie Międzynarodowe Targi Książki. Czy któraś z pana książek będzie na nich wystawiona?



MAREK NOWAKOWSKI: Na pewno nie, ponieważ już od siedmiu lat nie wydano ani jednej mojej książki w - jak to się u nas mówi - obiegu oficjalnym. Na Targach wystawia się wyłącznie książki publikowane przez wydawnictwa państwowe, a więc kontrolowane przez cenzurę.

JN: Kiedy po raz ostatni ukazała się pana książka w oficjalnym wydawnictwie?

MN: Grudzień 1981, wprowadzenie stanu wojennego. Zacząłem wtedy pisać krótkie opowiadania, w których rejestrowałem stan wojenny w Polsce. Złożyły się one na dwa tomiki, które zatytułowałem "Raport o stanie wojennym". Wtedy też zaczęła się moja, że tak powiem, szczególna kariera niezależnego pisarza. Ale przypadek chciał - jest to swego rodzaju paradoks - że moje książki ukazywały się jeszcze przez cały pierwszy rok stanu wojennego, ponieważ drukowano je na podstawie starych umów.

JN: A nowe książki?

MN: Ani jedna z moich nowych książek nie ukazała się nakładem wydawnictw państwowych od roku 1981. Najlepszą ilustracją takiego stanu jest tom opowiadań "Wilki podchodzą ze wszystkich stron", który złożyłem w wydawnictwie w roku 1980, a więc przed strajkami w Gdańsku, przed tym wielkim wstrząsem poprzedzającym powstanie "Solidarności". Książka przeszła już przez cenzurę, była zredagowana i miała pójść do druku. Wcale się jednak nie ukazała, choć zapowiadano ją jeszcze prawie przez dwa lata. Ponieważ znudziło mi się to, że moja książka nadal tkwi w "areszcie" wydawcy, postarałem się o jej opublikowanie w pewnym niewielkim polskim wydawnictwie emigracyjnym, w Chicago.

JN: Na Trybunie Domu Młodzieży w Belgradzie powiedział pan, że poświęcił się pan wyłącznie literaturze, choć z wykształcenia jest pan prawnikiem.

MN: Tak, tak. Z czego żyję? Warto wiedzieć, że niezależni wydawcy w Polsce

starają się być tacy sami jak wszyscy inni. To znaczy, wypłacają jakieś honoraria. Mam też inne "źródła dochodów", otrzymałem na przykład Nagrodę Jurzykowskiego. Jest to polska nagroda kulturalna, którą przyznaje się w Nowym Jorku Polakom zamieszkałym w kraju i za granicą. "Nagrodę" /pieniądze/ sprowadziłem do Polski oficjalną drogą, istnieją takie możliwości. Nie jestem biedakiem, żyję średnio dobrze i nie skarżę się.

JN: Wydaje pan swoje książki w tak zwanym drugim obiegu w kraju i za granicą, przede wszystkim w Paryżu, w Instytucie Literackim.

MN: W gruncie rzeczy wyłącznie.

JN: Jak taka sytuacja odbija się na pańskiej twórczości?

MN: Najpierw chciałbym wyjaśnić, że w Polsce istnieją właściwie trzy obiegi - choć jest to termin trochę wykoślawiony, jak zresztą cała sytuacja. Mamy obieg emigracyjny, obieg krajowy poza cenzurą, który powstał w latach 70tych, i obieg państwowy. Są więc trzy nurty, którymi przepływa słowo drukowane. Wydawnictwa emigracyjne trafiają do kraju różnymi kanałami.

JN: Nie odpowiedział pan na pytanie, jak taka sytuacja, czyli publikowanie poza legalnym nurtem, wpływa na "kondycję pisarza".

MN: Moje doświadczenia są proste. Przedtem, kiedy składałem maszynopisy w oficjalnych wydawnictwach, z biegiem lat coraz wyraźniej dostrzegałem jakiś mur, przeszkodę, której nie dawało się przeskoczyć. Byłem tego świadom. Można by powiedzieć, że w grę wchodził rodzaj autocenzury. Podkreślam, że odczułem to dopiero później, ponieważ z początku problem cenzury nie interesował mnie jako młodego pisarza, debiutanta. Powoli jednak zdobywałem doświadczenie w tej dziedzinie,

niekiedy nawet humorystyczne. Napisałem, powiedzmy, opowiadanie "Zdarzenie w miasteczku". Było to zdarzenie rzeczywiste, może i śmieszne. Dla mnie jako dla pisarza stało się bodźcem do pracy. Oto opowiadanie: z domu starców uciekają starcy. Dlaczego? Przyjacielem kierownika domu był kierownik spółdzielni stolarskiej, specjalizującej się w wyrobie trumien. Spółdzielnia chciała przyspieszyć wykonanie planu. "Masz starców, którzy co pewien czas umierają - powiedział kierownik spółdzielni. - Nie możesz zamówić trumien wcześniej i trzymać ich na strychu?" Przyjaciel się zgodził. Był jednak człowiekiem delikatnym i sprowadzał trumny nocą. Ale starcy mają lekki sen, zwietrzyli więc, co się dzieje. Wybuchła panika, że ich zlikwidują. Przypuszczenie poniekąd logiczne, jeżeli wziąć pod uwagę doświadczenia wschodnioeuropejskie i polskie tradycje. A więc starcy, kto tylko mógł, uciekali. Powstał problem: co robić? Doszło do zaniepokojenia opinii publicznej w powiecie. Milicja rusza w pościg za starcami, oczywiście nie po to, żeby ich zlikwidować, ale, co jest całkiem zrozumiałe, przywieźć z powrotem do domu. Podczas ucieczki starcy - według mnie to ładny szczegół - odczuwają pełnię swobody, młodość, a ponieważ jest pogoda, koczują gdzieś na łące, na łonie natury, w lesie. Podziwiają wschody i zachody słońca. Opisałem to zdarzenie, z pościgiem milicyjnym włącznie. Zaniósłem do redakcji najlepszego wówczas czasopisma. Redaktorowi opowiadanie się podobało, ale powiedział, że starców nie powinna ścigać milicja. Brzmi to dwuznacznie, ludzie mogliby to fałszywie zrozumieć. Itd. itd. Poradzamy się, co robić. Redaktorowi czasopisma przychodzi do głowy zbawienny pomysł - żeby milicjantów zastąpić strażakami. Ponieważ absurdalność tego pomysłu wydała



mi się interesująca, zgodziłem się - i w wydrukowanym opowiadaniu pościg za starcami prowadzili strażacy. Byłem nawet zadowolony. Na spotkaniach z czytelnikami problem też nie istniał, ludzie rozumieli, o co chodzi. Aż tu pewien chłopak mnie zapytał: "Nie rozumiem, dlaczego strażacy?". Nie mógł pojąć. Dla mnie natomiast stało się jasne, że gdy pisarz za głęboko zabrnął w kamuflaż, oznacza to dla niego początek końca. Można w ten sposób, powiedzmy, żołnierzy zastąpić harcerzami, policjantów, śledczych - różnymi innymi figurami, można stworzyć pełną abrakadabrę, całkowicie nieczytelną. Autor myśli, że posłużył się znakomitą aluzją, sprytną zamianą, a w rzeczywistości wpada w pustkę dekoracji. I w końcu nadszedł moment gdy poczułem, że mam już dość tych zastępczych alegorii.

JN: O ile mi jednak wiadomo, teraz sytuacja jest zupełnie inna. Cenzura działa inaczej, logicznie i w gruncie rzeczy łagodnie, a jej interwencje się zaznacza. Dlaczego więc cenzura miałaby być powodem niewydawania pańskich książek w oficjalnych wydawnictwach?

MN: Myślę, że najogólniej mówiąc, zirytowałem nasze władze książeczką "Raport", a potem następną "Notatki z codzienności". Przyjąłem metodę bezpośredniego rejestrowania rzeczywistych zdarzeń. Sądzę, że książka była dość popularna, czytano ją masowo, doczekała się wielu wznowień w czasopiśmie i w prasie podziemnej. A potem doszło do pewnych denuncjacji. Krakowski tygodnik "Życie Literackie" ogłosił cały cykl artykułów o literaturze, jak to nazwano - dywersyjnej, wrogiej, inspirowanej przez obce, zachodnie, imperialistyczne agentury. Scharakteryzowano mnie tam jako zagorzałego przeciwnika komunizmu. Taka etykieta oczywiście wszystko załatwiła. Moja sprawa trafiła do odpowiedniej szuflady

i sytuacja ta trwa nadal, co nie jest dla mnie ani specjalnie ciężkie, ani bolesne.

JN: Czy zgodziłby się pan wydawać swoje książki oficjalnie, gdyby to panu zaproponowano, i - czy w takim wypadku zrezygnowałby pan z usług drugiego obiegu?

MN: Pisarzowi zawsze zależy na jak najszerszym kręgu czytelników. Obieg podziemny na pewno ma mniejszy, bardziej ograniczony zasięg. Ale zgodziłbym się tylko pod jednym warunkiem - że mogę wydawać to, co chcę, bez kastracji, że nożyce cenzora nie będą kaleczyły mojego tekstu. Tylko pod tym warunkiem.

JN: Niektórzy pisarze w Polsce publikują i tu, i tam...

MN: Tak.

JN: Jeżeli tak, to jak się przedstawia ich twórczość?

MN: Takie pisanie to rodzaj niezdrowego dualizmu. Nie można uniknąć pewnej dwojakości, podwójności pracy pisarskiej i natchnienia, mówiąc stylem XIX-wiecznych romantyków. Nie wydaje mi się to zdrowym zjawiskiem. Podwójność pisania to tu, to tam jest według mnie podejrzana.

JN: W związku z działalnością wydawnictw podziemnych, która, jak sądzę, jest bardzo intensywna, nieodparcie narzuca się pytanie: czy mogłaby być taka szeroka i rozwijać się bez cichej zgody władz, bez patrzenia przez palce?

MN: To interesująca sprawa, na którą sam się zastanawiałem. Ma ona istotny sens dla życia w Polsce. Myślę, że jest tak - oczywiście na podstawie konkretnych przypadków i tego, co mi wiadomo: po pierwsze, dla władz w niektórych fazach działalności niewątpliwie korzystny jest swoisty wentyl. Takim wentylem, w pewnych momentach i w pewnej mierze, może być działalność podziemnych wydawnictw, obieg słowa drukowanego w podziemiu, zwłaszcza gdy chodzi o uśmierzanie niepokojów społecz-

nych i napięć. To jedna strona medalu. A druga: czasami nawet tajna policja utrzymuje lub chroni pewne działania po to, by w odpowiedniej chwili wykorzystać je jako atut, który by potwierdził sens jej istnienia, jej znaczenie, albo by móc, w razie potrzeby, z wielkim hukiem coś ujawnić, rozbić, zademonstrować. Nie mitologizowałbym tu jednak roli władzy, bo znaczyłoby to, że wszystko jest w rękach tej potężnej siły, tego wszechwiedzącego orwellowskiego oka. Myślę, że władze nie mogą się uporać z tym problemem. Istnieje również pogląd, że trzeba się z tym pogodzić, ponieważ takich komórek wydawniczych narodziły się dziesiątki. Jest to ruch narastający lawinowo, jako nieopanowana potrzeba społeczeństwa, którego świadomość osiągnęła dość wysoki poziom w czasach "Solidarności". Tego ruchu niepodobna zdławić - odcinają zmęczeniu, wyczerpani, zastraszeni, ale przychodzą nowi. Spotykam nawet szesnastolatków, którzy drukują jakieś gazetki, marzą o pracy wydawniczej.

JN: Wydawnictwa te sprzedaje się za pieniądze, wypłaca honoraria. Zbiera się składki. Można sobie wyobrazić, że drugi obieg daje okazję macherom do wyciągania korzyści materialnych. Czy są i takie wypadki?

MN: To prawda, że poza wszystkim istnieją również pobudki materialne, którymi kieruje się wielu ludzi uprawiających działalność wydawniczą. Powiedzmy, paru drukarzy w przedsiębiorstwie państwowym - którzy znają się na robocie i mają odpowiednie warunki - może spokojnej i cichej nocy całkiem bezpiecznie wypuścić na rynek 500 czy 1000 egzemplarzy jakiegoś tekstu. Bywały takie wypadki; również i to świadczy na korzyść ruchu, dowodzi bowiem, że jest silny, że nie da się go łatwo zniszczyć. Zostawmy na boku interesy, jakimi



powodują się ci ludzie, moralne i inne. Oczywiście, że myślą o zarobku, bo jest to dobry zarobek.

JN: Bez względu na nie ukrywany fakt, że korzysta pan z nielegalnych możliwości wydawania swoich książek, bez względu na pana postawę i poglądy, które jawnie wyraża pan w kraju i za granicą, żyje pan i pracuje normalnie, bez specjalnych trudności. Nie jest pan prześladowany i jak pan tu powiedział, nie jest pan biedakiem. Czy nie stanowi to oczywistego potwierdzenia przemian, do jakich doszło i dochodzi w Polsce, przemian wprowadzonych w imię demokratyzacji całokształtu życia?

MN: Z historycznego punktu widzenia niewątpliwie jest tak, jak pan mówi. Dawniej nie można było spokojnie pracować, pisać z etykietą wroga, paszkwilanta i odczercy. W okresie stalinizmu było to na pewno niemożliwe.

JN: Nie należy pan do ZLP. Jest to zapewne formą protestu. Czy jednak nie pozbawia się pan przez to możliwości większego, skuteczniejszego wpływu na przebieg wydarzeń w życiu kulturalnym kraju?

MN: Nie mam wielkich ambicji, nie mówiąc już o chęci wpływania na tok wydarzeń publicznych w kraju. Uważam też, że pisarzowi, który naprawdę czuje potrzebę pisania, który chce pisać, opisywać swój świat, jeżeli go ma, związek nie jest potrzebny. Związek w pewien sposób administracyjnie go absorbuje, zabiera mu czas. Ja na przykład teraz, bez Związku Literatów, do którego należałem, czuję się jako pisarz nawet lepiej. Człowiek piszący powinien być sam, nie należeć do niczego.

JN: Czy pan należał lub należy do którejś z partii istniejących w Polsce?

MN: Dla mnie to poniekąd komiczne pytanie, bo nigdy nie należałem... a raczej jako chłopak byłem przez pewien czas człon-

kiem ZMP. Była to jednak krótkotrwała zabawa, choć właściwie wtedy w to wierzyłem, w ZMP, w ideologię, w marksizm, chciałem nawet zostać działaczem. Ale wszystko to zaczęło mi się wydawać szare, zhierarchizowane, pozbawione uroku romantyczności. W tamtych czasach, całkiem przypadkowo, w Warszawie, gdzie mieszkam od urodzenia, wdepnąłem w tak zwany świat podziemia, świat mętów społecznych, drobnych złodziei, alfonsów, melin, świat na granicy wolności i więzienia, świat bezprawia, poza normalnym społeczeństwem. Ten świat wydał mi się ciekawszy. Ugrzązłem w nim i pozostałem przez kilka lat, z czego jestem zupełnie zadowolony, by był to punkt wyjściowy dla pisarza.

JN: A więc nienależenie do partii to dla pana obecnie kwestia postawy, filozofii życiowej?

MN: Sądzę, że to jedna z zasad mojego działania. Nie byłem nawet członkiem "Solidarności". Właściwie jedyna organizacja, do jakiej należałem, to ZLP.

JN: A KOR?

MN: Do KOR-u też nie należałem. Byłem tylko jego sympatykiem, uważałem go za mądrą inicjatywę społeczną, bardzo ważną w życiu ówczesnej Polski. Pamiętam czasy KOR-u, gdy w Polsce doszło do znanych wydarzeń w 1976 roku, do incydentów robotniczych - mówiąc żargonem gazetowym - w Radomiu i Ursusie, do niepokojów i chuligańskich wybryków, jak się mówiło oficjalnie. KOR niósł pomoc ludziom z różnych miast, ludziom szykanowanym, represjonowanym, zastraszonemu, budząc w nich zdumienie. A był to pierwszy świadomy krok, pierwszy krok do stworzenia sojuszu, pierwszego w Polsce prawdziwego sojuszu inteligencji i robotników. Do żon wielu robotników aresztowanych z powodu protestów przeciw decyzji o podwyższeniu cen, ogłosz-

szanej przez ówczesnego premiera Jarosze-  
wicza, przychodzili młodzi ludzie, studen-  
ci i inni, przynosili pieniądze, pytali,  
czy potrzebna jest pomoc. Kobiety i inni  
członkowie rodzin robotniczych byli zdumie-  
ni, zaleknieni, z początku nieufni, a potem  
pełni wdzięczności, oddania. Tak tworzyły  
się te istotne więzy, których owocem był  
później polski sierpień, pierwsze ścisłe  
porozumienie inteligencji, robotników i  
chłopów. Porozumienie to, jak się wydaje,  
bardzo przestraszyło władze, które po dziś  
dzień usiłują rozerwać owe więzy.

JN: Czy czuje się pan opozycjonistą  
lub dysydentem?

MN: Nie cierpię terminów "opozycjonista"  
czy "dysydent". Przede wszystkim pragnę  
czuć się wolnym piarzem, człowiekiem, który  
pisze bez żadnych nacisków czy to ze strony  
opozycji, dysydentów, czy też władzy i  
wszelkich innych. Można by to nazwać stano-  
wiskiem trochę anarchistycznym, ale myślę,  
że tak nie jest i że to jedyny zdrowy  
stosunek pisarza do życia: nie być nazbyt  
związanym z nikim ani z niczym, z żadną  
grupą, bo jak się wydaje, zamyka to  
pisarzowi usta.

JN: Na Trybunie Domu Młodzieży w Belgra-  
dzie mówił pan o tym, że pana aspiracje  
literackie "wyrażają się w przedstawianiu  
rzeczywistości", przede wszystkim codzien-  
nych, małych ludzkich spraw. Zapytałem  
wtedy, czy opowiadanie "Grisza, ja ciebie  
skażę" takie jest odbiciem rzeczywistości?

MN: Jeżeli spojrzeć pod tym kątem, opo-  
wiadanie to jest niewątpliwie odbiciem  
rzeczywistości. To opowieść o pewnej choro-  
bie, natury, można powiedzieć, psychicznej,  
chorobie podejrzliwości, braku zaufania  
do najbliższych, czyli obawy, że również  
w kręgu najbliższych osób, kręgu, który  
z natury rzeczy stanowi fundament elemen-  
tarnego bezpieczeństwa człowieka, jak



największy azyl, że nawet w tym kręgu istnieje ktoś, kto może być, nazwijmy to tak, konfidentem, donosicielem, zdrajcą, kto jest przeciwko niemu i siły sile, która zamierza go zniszczyć. Uważam, że stanowi to "odbicie rzeczywistości", ponieważ jest to zjawisko rozpowszechnione w pewnych systemach, w których siła i przemoc wymagają od ludzi całkowitego podporządkowania, w których dąży się do jedności postaw i poglądów. Człowiek, który się przeciwstawia, tak właśnie to przeżywa w ekstremalnej sytuacji, gdy władze piętnują go jako wroga, obcego, nosiciela zarazy, zgnilizny, a więc jako człowieka, którego nie aprobują. Wracza się w nim rodzić podejrzałość: co wiedzą, skąd wiedzą, czego chcą, z jakiego powodu. Zadaje sobie szereg pytań i w rezultacie uwaga jego kieruje się na krąg najbliższych, bo kto mógłby to wszystko wiedzieć, jeżeli nie najbliżsi?

JN: Zadałem wtedy to pytanie, gdyż taka rzeczywistość, naszyt przerażająca, wydała mi się raczej tworem bujnej wyobraźni, niezdrowej wyobraźni, niż rzeczywistości...

MN: Chodzi tu o pewien rodzaj ekspresji literackiej. O pewną kreację tej choroby. Poza tym, mówię to prywatnie, w opowiadaniu tym są także momenty autobiograficzne, niektóre moje własne doświadczenia. Koniec końców mam wrażenie, że pisząc je wykluczyłem możliwość pewnych niezdrowych, obsesyjnych pomyłek.

JN: W Polsce ogłoszono niedawno stanowisko II Kongresu PRON-u wobec problemów rozwoju kraju. Mówi się tam między innymi, że "kultura powstaje z różnych inspiracji społecznych i że wszystkie one winne być wykorzystywane w tworzeniu kultury narodowej". Jest też wiele innych podobnych oświadczeń i konkretnych posunięć. W myśli tego, jak widzimy sprawy stąd, z

Jugosławii, to również stanowi jedną z oznak postępu demokratyzacji w Polsce...

MN: Powiem krótko: jestem ostrożny wobec oświadczeń, przemówień, ja oczekuję faktów. Słyszałem w życiu wiele przemówień, niektóre z nich były nadzwyczaj otwarte, pełne aprobaty dla pluralizmu, dla różnych inspiracji itp. Powiedziałbym po chłopsku: poczekamy, pożyjemy, zobaczymy.

JN: Wciąż jeszcze nie dostrzega pan, jak wiele się dzieje, zmienia, demokratyzuje?

MN: Tak, jeżeli rezonujemy wychodząc od programu minimum. A ja bym nigdy w życiu nie chciał wychodzić od takiego programu, bo cóż to jest minimalizm... Trzeba się domagać maksymalnych praw człowieka, jego rozwoju, jego wolności. Wracając do pytania chciałbym powiedzieć, że gdybym rezonował z pozycji minimum, również fakt, że mogłem przyjechać do Jugosławii, musiałbym uznać za Bóg wie co, ponieważ od siedmiu lat byłem pozbawiony możliwości podróżowania. A jednak nie uważam tego za wydarzenie.

JN: W Polsce wiele się mówi, często krytykuje się system, władzę itd. Rzadko natomiast miałem okazję słyszeć, czego właściwie ludzie pragną, do czego zmierzają. Dlatego na koniec naszej rozmowy proszę, by zechciał pan odpowiedzieć na pytanie: do czego pan dąży, jakiej Polski pan pragnie?

MN: Pytanie niezwykle szerokie, jak rzeka. Odpowiem skromnie, nie siląc się na żadną konstrukcję: pragnę Polski, w której ludzie mogliby żyć swobodnie, wzajemnie sobie nie przeszkadzając. Polski, w której ludzie różnych przekonań mogliby wyrażać swoje poglądy w słowie mówionym i pisany. Niech się te poglądy ścierają, aby z polemiki ukształtowała się jakaś prawda, może wspólna dla wszystkich, taka, która by mogła wszystkich zjednoczyć.

Przełożył: t-cz

# RAPORTY

JAN KONDRAK

## BĘDĄC ARTYSTĄ, POJECHAŁ DO SOFII

To dokąd wyjeżdżacie? Do Sofii? To nie lepiej do Łomży? W te słowa pożegnał nas na Dworcu Centralnym znany polski złotnik, miłośnik słowa śpiewanego, inkrustowanego dźwiękiem gitary.

x x x

- Za co tam gracie? - Za michę. - Jesteś pewien, że będzie? - Zapraszali, potwierdzali to i pewnie nakarmią. - Gracie u studentów, pamiętasz ile razy zrobili was w babola? Czy tam są inni? Weź lepiej coś na handel. Patrz, od Waldka wzięłam butikową koszulę, od sąsiadki radio, kupię ci jeszcze buty na przylepiec i golarkę elektryczną. Nikt ci tego na granicy nie ocłi. Co ci szkodzi? Jak się to wam nie przyda to może kawałek dolara przywieziesz? Dzieci chcą klocki Lego...

x x x

Jedziemy we trzech: długopióry charyzmatyk od piosenek Edwarda Stachury; menago Jarenty z Whitestoku i ja - wiceprezes koła czarnowidzów w nurcie polskiej ballady autorskiej.

Wagon sypialny jest - nówka! Sypialny czuły i rozmowny. O każdej porze sprzeda



piwo i doradzi jak co z towarem. Sam traga - niby na wyposażeniu bufetu - tak ze sto wagoników Wiarusów. Sąsiedztwo, jak było do przewidzenia, fachowo-przemytnicze. Od razu pytają co wieziemy. - Nic? No, no! Patrzą na nas jak na zawodowców.

x x x

Przemyśl. Granica. Postawny celnik z płowym, galicyjskim wąsem. - Jakie prezenty wieziecie? - Żadnych. - Pokazać instrumenty! - Coś pan ginekolog?, pyta wściekle bystro kolega po gryfie. - No, no - artyści! Ile to jest warte? Japońskie? Wpisać do deklaracji? Kiedyś miałem takiego kolegę świrusa. Grał na skrzypcach u Smolenia. - Smoleń! Boguś! Znamy, znamy - przekrzykujemy się w najszczęśliwszym igrzysku.

Obok trwa drutowanie kaloryferów, szafek tapczanopółek. Odkręcają sufity i ściany. W granicznym żargonie nazywa się to polowanie na lisa z norowcami. Wopiści przedrzeźniają w czynnościach celników.

Wagon idzie w górę. Podwozia wzdłuż torów. Nowe pod brzuch. Siad płaski na tor. Gotowiśmy do odjazdu. - No to mamy teraz podwozie po ch. szersze - wrzuca nam do przedziału pan sąsiad. - A gdzie ten z trojki? Krąży bezpańskie pytanie. - Wzięty na osobistą, trafili go w kیتę. Jeśli nie wróci na czas pojedziemy bez niego - wyjaśnił sprawę sypialny.

x x x

- Nie dość, że wopista ruski, to jeszcze celnik taki sam! Kolega po gryfie stał się wojowniczy po trzecim piwie. Jeszcze chwila i pogoni hajdamaków. Ci szperają. Młode szczeniaki o środkowoeuropejskich pyszczkach. Ceremoniał niby ten sam, ale... - Szto smotrisz? Nie nada! - O co chodzi? - Wyjti na karidor i nie smatril! Skoriejel

Ta achota na lisicu już nie z norowcami a ze szpadlem. Odkręcają ściany i sufity, zdzierają wykładzinę wojskową, wybijają "z kopyta" dno w tapczanie parterowym. Zostawiają pobojuwisko. Interweniuje sypialniani. - To nie my, to wopiści - słyszy w odpowiedzi. Po chwili jednak część szkód naprawiają. - Tak to jest panowie /sypialniani rozgadał się/, ostatni miesiąc jeździmy przez ruskich. Strasznie niszczą nasz tabor. Kiedyś do Moskwy puszczaliśmy połowę swoich wagonów, połowa była ich. Na naszych tak się wyżywali, że nie nadawały się do powrotu. Wtedy wspaniałomyślnie podstawiali swoje kuszetki i takie rachunki, że świat nie widział. Mówiliśmy, żeby i im tak robić, ale w Warszawie nie chcieli o tym słyszeć. Tak to jest panowie, kto silny ten mądry, nie? - Jako żywo ociec - odrzekli w myślach Kiemlicze i dłonie spotniały im na klamkach.

x x x

Lazurowe mundury. Wopy rumuńskie. Czarne to, śniade, pocztówkowo-bałkańskie. Buszuja niemrawo. Widocznie po ruskich nie ma co poprawiać. Celnicy świetnie nawijają po polskiemu. - Prezenty są? Pokazać szybko! Narkotyki, broń jest? - Jest, sześć i dwunastostrzałowe lynczestery. - Gdzie? - Tam na górze, w futerałach, - Nie wygiupiać się kolera! Deklaracja kolera! Szybko wypełniać!

Z robotą idą szybko. Sąsiadom proponują tegie cło w lejach, ale podstawiają torby i zadowolają się suvenirami. Odchodzą obladowani jak osły. Po ich wyjściu sąsiedzi rozpakowują sakwojaże, układają towar na siedzeniu. Po chwili wpadają pierwsi handlarze. To arystokracja. - Whisky jest? Kenty jest kolega? Kolega, damski kosmetik jest?

Specjalizują się. Biorą tylko jeden rodzaj towaru. Na stacjach podają przez okna wypchane reklamówki i krążą nadal. Nachodzą wiele razy te same przedziały. - Panowie, oni dają tu połowę ceny bukaresztańskiej! Gońcie tych skurwysynów - doradza sąsiad.

Podrzędna stacja. Stoimy pod semaforem. Zewsząd abordaż wyrostków. Przyłączają się zwrotnicowi w pomarańczowych kaftanach bezpieczeństwa. Chcą mydła, kawy Inki, Bisep-tolu i papierosów. Akcja jest błyskawiczna. Zaraz następuje atak ichnich sokistów. Pociągi po sąsiednich torach jadą na sygnale, ale nie zwalniają. Tak będzie na każdym postoju.

W wagonie repertuar pytań jest większy. Proszą o lisy, chińskie pióra, rajstopy...

Do Bukaresztu dojeżdżamy nocą. Zaciemnienie. W oknach świeczki. Dworzec Nord również zaciemniony. Obok w wieżowcach jaśnieje może czwarta część okien. Stać będziemy około sześciu godzin. Skład będzie przetaczany na inny peron. Chętni mogą wyjść. Wagon zamykamy. Wychodzi nasz opatrnościowy menago. Przed wyjściem ostrzeżenie: - Na górcie rozrządowej będą skakać do okien z bosakami, pilnujcie wagonu.

Zostajemy z kol. po gryfie i gapimy się w okno. Nad dawną prowincją rzymską wstawał nienaturalnie czerwony księżyc. - Popatrz! Ceaucescu ma łeb do interesów. Zafundował sobie największą pracownię fotograficzną na świecie. Duża czerwona żarówka i ciemność /strzelił sentencjonalnie kolega po gryfie/. Z kontemplacji wyrывa nas stukanie do okien. Znowu: - Kolega papiros? Kolega sawon? Kawa Inka jest? Zainteresowali się moim radiem. Postanawiamy się zabawić. Wrzucamy podwójną cenę: Godzą się, ale nie mają drobnych tylko 1000 lei. Dorzucamy 10 paczek papierosów kolegi menago. Rąsiorąsiora i odskakują w ciemność.



Banknot jest piękny. W znaku wodnym głowa cesarza w wieńcu laurowym. Po rogach rajske sceny owocobrania. Subtelna kreska, piękne kolory. Cieszymy się jak dzieci.

Wraca menago. Chwalimy się. - Pokażcie ten papierek! - A co, wydaje ci się podejrzany? Pytam w porę, z przenikliwą inteligencją. - Zobaczymy.

Ogląda chwilę pod światło, uśmiecha się. Mnie robi się rzadziej na masce. - Banknot jest w pyte, tylko pamięta czasy fuh-rera...

x x x

Mundury żółtozielone, czerwone wypustki, dużo złotości na czapach papachach. Kontrola bułgarska. Interesują się książkami kolegi po gryfie. - Gom...rowicz, Por...no... grafia! Przeglądają zapalczywie i odkładają. - A snimki gdzie?...

x x x

Mamy za sobą prawie trzy dni i dwie noce podróży. Sofia. Na dworcu czeka znajoma studentka Piwonja. Ochrzania nas na wstępie za dobowe spóźnienie. Tłumaczymy, że PA-GART zgubił paszport służbowy kolegi po gryfie. Okazuje się, że wczoraj mieliśmy grać w Ośrodku Kultury Polskiej.

x x x

Taksówkarz nie odpowiada na pozdrowienie w ichnim narzeczu. To normalne - mówi Piwonja. Tu się pyta taksjara przed wejściem do samochodu czy będzie łaskaw zawieźć na daną ulicę. - A tak w ogóle, to nie kochają Polaków. Nie martwcie się. Patrzcie jakie mają pędzelki w klapach. To święto pierwszego bociana. Tak witają zapowiedź wiosny. Aha! Dzwoniłam wczoraj do OKP żeby odwołać wasz koncert. Jakaś panienka przerwała mi. - Wiemy, wiemy! Pan Stachura nie zdąży dojechać...

x x x

- Wchodźcie szybko pod dach! Można zarobić torbą ze śmieciami! Tu wynosi się je przez okno. Sprzątaczkę pracują w kaskach.

Kwaterę mamy w międzynarodowym akademiku. Formalności przeciągają się. Nasze paszporty idą do głównej komendy policji. Dostajemy przepustki.

Z okien widać jak się panoszy góra Wito-sza. W Łomży takiej nie ma.

x x x

Wieczorem - wieczorek zapoznawczy. Piwo-nia przedstawia swoją świtę. Marszałkiem dworu jest Nigeryjczyk zwany Czifem. Ma ponoć niezłe wyniki w pchnięciu pięścią. Dysponuje też rozbrajającym uśmiechem. Przyjaciółmi domu są Kurdowie syryjscy z filozofem Ronem na czele. - Czyście podda-ni? Zagaduję konfidencjonalnie. - Tego sa-mego co ty!

Pytają o Polskę. Nawijam długo. Nie chcą wierzyć, że u nas nawet w małych miastach powstają kapele rockowe. Na placu boju zos-tają ja i Ron. Przelatujemy po palach his-torię filozofii. Pytam Rona o jego strony. Nie był tam 8 lat. Nie chce wracać. Nazwis-ka właściwie nie ma. Zmieniał je dwanaście razy. Z komunizmu się wyleczył. Popadł w solipsyzm egzystencjalny. Rozmowę kończy wypadek: nieopatrznie strącam gryfem od gitary swój przydział koniaku. Ten wylewa mi się dokładnie za kołnierz. Zweryfikowane porzekadło przyspiesza mój zasłużony odpoczynek.

x x x

Zasłyszane: - Mieszkałem kiedyś z jednym Kurdem. Miał w sobie budzik. Budził się w nocy z dokładnością co do minuty. Nauczył się tego w partyzantce. Jeśli któryś nie wstał o wyznaczonej godzinie, koledzy bili

go kolbami. Pokazywał nam zdjęcie z egzekucji, które sam przeprowadzał. Tłumaczył, że najbardziej humanitarny strzał jest w tył głowy z odległości 60 centymetrów...

x x x

Zasłyszane w kraju: - Nasi studenci w Bułgarii dużo tracą na rozwoju kulturalnym. Tam mają tylko homogenizowaną bałandę. A już najgorzej z dziewczynami. Jedzie takie dziecko prosto od mamy i od razu na głęboką wodę. Towarzystwo międzynarodowe. Pojawia się chęć indywidualnego zaistnienia, posmakowania dorosłości... Sam rozumiesz? Po paru latach nawet na wakacje niechętnie wracają do kraju.

x x x

Rano wyprawa na Witoszę. Wcześniej mena-go opyla kask motocyklowy. Mamy podstawę bytu. Obiecanych diet nie wypłacono nam. Jedyne upoważnione do pobrania ich z ambasady, nie wraca z nartowania /wróci w ostatnim dniu naszego pobytu - czyli po herbacie/.

Obsługa narciarzy dobrze zorganizowana. Dojazd autobusami lub kolejką gondolową. Na szczyt można wjechać na krzesełku, "za rączkę" lub "za pupę". Do wyboru, do koloru. Pełno tego, a wszystko to za sprawą firmy braci Doppler z Austrii. Narciarze w godowym upierzeniu bażancą się i cietrze-wieją na śniegu.

Poznajemy dwóch, przemiłych Polaków. Każą się wołać Dyplo i Półdyplo. Ci nam opowiedzą i pokażą najwięcej.

x x x

Mówi Dyplo: - Był taki Strzałeczka na polibudzie. Kiedyś podczas jakiejś akademii ku czci wylazł napity na scenę i bodnął w sojusze. Policjanci gonili go przez pół miasteczka. Dopadli i złamali rękę. Sie-



dział trochę, ale konsul go wyciągnął i odesłał do kraju.

x x x

Wieczorem koncert na terenie uniwersytetu - w salce teatru pantomimy. Garstka polskich wykładowców i cała polonistyka miejscowa w liczbie nastu osób. Potem prywatka "na mieście".

Poznajemy kilku polonofilów i Panamczyka Laleczkę. - O czym są twoje piosenki? Pyta komunista Laleczka. - O tym, że nie lubię komunizmu. - Zapraszam cię do Panamy, tylko śpiewaj, że nie lubisz Reagana.

O wpół do pierwszej gospodarze dyskretnie dają nam na taksówkę. Zbliża się magiczna, prawie policyjna godzina. Tu zwyczajowo sąsiedzi donoszą; policja przyjeżdża natychmiast. Przed tą słynną godziną /pierwszą/ musimy być w akademiku, bo nie wpuszczają aż do szóstej. Kłócić się nie warto. Pod każdym międzynarodowym akademikiem stoi do rana wóz policyjny.

x x x

Rano ruszamy do miasta. Kolega po gryfie jest obcinany przez wszystkich przechodniów. To jego długie pióra tak ciągną za oczy. Tu szczytem ekstrawagancji jest zalizajek à la solista papieskiej kapeli Papa Dance. Podobno był tu niedawno Gedeon Jerubał. Zgarnięto ich z ulicy i pokazano nożyce. Nawet nie zagrali. Uciekli do kraju.

x x x

- Widzieliście tego policjanta, który mi się uklonił? - Nie. - Nieważne. Kiedyś przyszedł do mojego pokoju robić protokół po kradzieży. Było późno, a on podпиты. Tak się guzdrał, że skończył po pierwszej. Chciał iść, ale skończyłoby się to awanturą przed portiernią. Pradziłyśmy mu żeby się

walnął na wolne łóżko. Żebyście widzieli jak długo się rozbierał. Został w końcu w długich wymiętolonych kąpielówkach i nie wiedział co zrobić z giwerą. Wsadził ją w końcu do gaci i położył się. Po chwili obie giwery zaczęły mu dokuczać i postanowił jedną z nich podarować koleżance. Sprążył go po ryju jak prosiaka. Czyf potrafi przytrzymać. Mieszkamy z nim przez ścianę.

- Za taki numer w policyjnym państwie powinnaś dostać stypendium od kapeenu! -  
Co to takiego ten kapeen?...

x x x

Restauracja Warszawa. Obsługa bułgarska. Piwo pół na pół z wodą. Rozmowy w różnych językach. Dłuższe fryzury niektórych gości starannie skryte w kołnierze.

x x x

Mauzoleum G. Dymitrowa. Twarze wartowników skamieniałe od dźwigania kopiastych czap.

- "...Wydupczył biedne zwierzę i przypiął mu order..." To kolega po gryfie daje upust swoim refleksjom /w związku z mijającym obiektem/ przy pomocy kupletu A. Waligórskiego. Jednakowoż nie jest nam do śmiechu.

x x x

Stoimy przed KC. Nisko nad trawnikiem kikuty rusztowań, które niegdyś podtrzymywały wielkie portrety rodziny Żiwkowych. Nie ma też witryn z dziełami nauczyciela narodu /chciałem sobie strzelić fotkę na takim tle/. - Ciotka partia zdjęła trochę makijażu i mówi, że pieriestrojona, wyrzekł półgębkiem Półdyplo.

Nad placem króluje niepodzielnie tow. Lenin w zadziornym kontrapeście: "pod wiatr".

x x x

Na placu w centrum pomnik wolności. Uosabia ją postać cara na koniu. Ujęcie jest statyczne i dumne. Odkłutowanie przypomina rękę Thorwaldsena. Kupujemy pocztówki z tym curiosum.

x x x

Mówi Półdyplo: - Pomnik Żiwkova w jego rodzinnej miejscowości zdejmowano przy pomocy helikoptera. Lina zarzucona była na szyję. Są podobno zdjęcia.

x x x

Sklep spożywczy. Chałwa, tróchę dobrych gatunków piwa i wina.

x x x

Mówi Dyplo: - Zimową nocą jedzie amerykańska delegacja, a tu co raz jakaś dzielnica gaśnie, inna wyłania się z mroku. - Cóż to za iluminacja? - To nasza narodowa dyskoteka. W radio i telewizji nadajemy specjalną muzykę. - A tam, tam gdzie ten gmach czemu nie gaśnie? - Tam pracuje Disc-jockey!

Ładna iluminacja, tylko trochę czarna - komentuje dowcip jedna z dziewczyn.

Knałpa turystyczna. Zupy mają nazwy od gatunków mięsa, na którym są gotowane. Cielęca, wieprzowa itd. W każdej jest rozciapany pomidor, dużo oliwy i wszystko co w polu - od ziemniaków po makaron. - Tak, to zupełny upadek zupy; chleb mają tu też tylko przeraźliwie biały jak udo czeskiej purytanki - stwierdził zapoznany polski docent.

x x x

Jesteśmy spragnieni snu i dobrego jedzenia. Ja już chodzę jak suwnica na trasie Medyka-Żurawica.



Gramy ostatni koncert. Sporo polonii studenckiej. Spotkanie przeradza się w rozmowy z piosenkami "na życzenie". Panamczyk Laleczka zaprasza do siebie na imprezę. Trudno odmówić. W pokoju /trzy na trzy/ bawi się ze trzydzięści osób. Panama, Nikaragua, Kuba. Dziewczyny na barkach chłopców. Szaleństwo! Karnawał w Rio.

Alkohol na szczęście zdążyli zniszczyć, ale zapraszają do tańca. Odmowę przyjmują z wyrozumiałą urazą.

Tuż przed północą wszyscy grzecznie i pospiesznie wychodzą. - O co im chodzi, Dyplo? - Uczą się. Taki Nikaraguańczyk jak nie zda egzaminu jest cofany do kraju i ma pewną czapę w karnej kompanii...

x x x

Wyjeżdżamy. Chcemy wymienić resztki lewów na zielone. Jest to bardzo trudne. Specjami od tych rzeczy są tu tylko wietkongi. Ten od naszego akademika wpadł niedawno /nie zawierał transakcji poniżej czterech tysięcy zielonych/. Jedyne burdele też tylko oni prowadzą /na budowach/.

x x x

Mówi Półdyplo: - Obyczajówka jest ostra. Bułgarka trafiona w samochodzie cudzoziemca jest rejestrowana jako prostytutka. Jeśli towarzyszy jej Bułgar - oberwie za stręczycielstwo. Jeśli w akademiku policja nakryje parkę, to oboje lecą ze studiów, z tym, że jej nazwisko i zdjęcie znajdują się w specjalnej gablocie.

- To Bułgarki mają ubogie życie erotyczne? - Mają swoje sposoby...

x x x

Pożegnanie. Pociąg. Skok w pidżamy i wreszcie zasypiamy. Budzimy się - tak na dobre - dopiero w Bukareszcie. Idziemy pozwiedzać. Błoto na ulicach i chodnikach.

Dziurawe jezdnie, wszędzie trwają wyburzenia i rozkopy. Na każdym rogu zaczepiają cinki. Skąd oni wiedzą żeśmy cudzoziemcy? Wszędzie widać starszych ludzi z kilkoma workami chleba. Znajduję witrynę z dziełami nauczyciela narodu. Robię sobie zdjęcie z mistrzem w tle. Najdłuższą kolejkę widzimy pod skupem surowców wtórnych. Nieopodal jest specjalny sklep "zasurowcowy". Na wystawie jest tylko mydło. W domach handlowych piękne ekspedientki, a na półkach samo badziewie. Ten, kto zna sprawę może dostać coś z prywatnej reklamówki sprzedawczyni. Lei mamy na 10 dolarów. Cinki nie chcą gadać do tak chudej rączki. Mają banknoty tylko o kalibrze 50 i 100. Idziemy do hotelu Nord. Tu od paru lat rezyduje p. Marek. On obsługuje Polaków. To dzięki niemu kraj bogaci się w niepodrabianą walutę. To jego praca nadaje sens gospodarczy dziwnie długim postojom pociągów na dworcu Nord.

x x x

Słyszac polską mowę wopisty autentycznie się cieszę i byłbym zachował o nim ciepłe wspomnienie gdyby mnie nie zrugął za powitanie peerelu na leżaco. - Oj synu, ty chyba nie mój - warknąłem za odchodzącym.

Jan Kondrak

W WIDŁACH HUCZWY I BUGU

Przesuwanie garnków na płycie kuchni węglowej z fajerkami świadczy, że jest ok. piątej rano, że zaczął się kolejny dzień, za który matka dziękuje awansem Panu Bogu mruczając w biegu pacierz. Za chwilę zabierze wnuki i zrobi im śniadanie /niech dzieci pośpią - żona i ja/. Z radia sączy się przeczyszczająca muzyka. Matka zaraz zbierze śmietanę z wieczornego udoju, ten przeleje do bańki. Nakarmi z wnuczkami kurczęta trzymane w skrzynce po jabłkach pod żarówką - kwoką. Potem wypuszczą z kurnika kilkadziesiąt sztuk drobiu, nakarmią króliki, matka wydoi dwie krowy. Część mleka zostawi, resztę wleje do bańki, którą ojciec wyniesie do szosy. O szóstej przejedzie wozak i zabierze mleko do zlewni /pieniądze przyjdą pocztą/. Około ósmej ja pójdę po bańkę - niech nie kusi złodzieja.

W tym czasie ojciec będzie już dźubał w zepsutym ciągniku albo będzie w drodze do miasta po części zamienne. To najbardziej poszukiwany towar. Poluje się na całym tygodniom i często trzeba się uciec do kupna "na lewo" - od pracowników państwowych firm naprawczych.

Jeśli rodzice spotkają się przypadkiem przy śniadaniu /każdy domownik organizuje je sobie sam/, to niewykluczone, że się posprzeczą; np. matka może znów wypomnieć ojcu niezreperowany dach i brak wody bieżącej. A za co? - odpowie ojciec. Faktycznie; z ubiegłorocznych zysków kupili jedynie przyczepę ciągnikową /600 tys. zł/. Bieżące superaty w budżecie domowym lokowane są w gospodarstwie ziemia. Znikomość zysków i kredytów państwowych nie daje żadnych

szans inwestycyjnych rolnikom startującym "od zera". Muszą mieć oparcie w rodzinie. Zanim staną "na własne nogi" minie 10-15 lat.

Przed południem wybiorę się do sklepu. Mam małe szanse na kupienie pieczywa. Sprzedawcom potrąca się z pensji za niesprzedane bochenki, więc zamawiają zawsze trochę poniżej potrzeb. Zaopatrzenie od zawsze jest mizerne. Osoba o średniej pamięci jest w stanie po jednej wizycie w tej placówce wymienić gros oferowanych artykułów.

Po porannych obrządkach matka pójdzie do ogrodu, będzie flancować i pieścić. Tu, w ogrodzie podobnie jak w całym obejściu panuje radosny nieład. Grządki kwiatowe mieszają się z warzywnymi i owocowymi. Wszystko to poprządkane krzakami porzeczek i malin. Ten brak potrzeby ładu i harmonii /nie występujący już 30 km na południe - chyba wpływ Galicji /wygląda na psychozę "pierwszej linii frontu" - gdzie robi się tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Na estetykę szkoda czasu i energii. Sprząty i obiekty mają służyć a nie wyglądać. Jest w tym też spuścizna zaboru rosyjskiego i wpływ wzorów wschodnich.

Żona od rana przygotowywać będzie obiad. Pora stała jest tylko dla dzieci; dorośli według czasu i potrzeb. Po obiedzie mamy zwykle tej wiosny deszcz, więc dzieci opamięają pokoje, matka pójdzie do krów, a ja i ojciec usiadziemy w kuchni wałkując stare tematy. Jakie? Na przykład o księżach. Ile który ma kochanek i ile sprzeniewierzył mienia parafialnego. Znow przyjdzie skonstatować, że biskup przysłał w miejsce skompromitowanych proboszczów - jeszcze gorszych. Kiedy wróci matka temat gwałtownie zmienimy. Nawet szachowi nie wyszło na dobre drażnienie wiernych. Zatem naciągę ojca na pytania z serii "co pamięta zie-



nia"? - Oczywiście wojnę. Rozstrzelanie w Miętkiem 21 oficerów polskich przez wojsko sowieckie /1939/. Krwawą pacyfikację Sahrynia /wsi uznanej za ukraińską/ przez polską partyzantkę. Wyczyny rabunkowe zdegenerowanych oddziałów partyzanckich i próby ratowania sytuacji przez akowskie sądy /tu padają nazwiska i czyny osób znanych w okolicy/.

Co było potem? - Skończyła się wojna. Po kilku rozrachunkach osobistych i zamachu na urzędnika UB skończyła się i ta domowa. Bić się nie było o co i z kim. Żydów i Ukraińców wygubiła wojna. Wracali ludzie z robót w Niemczech. Praybywali osadnicy z ziem mniej urodzajnych /tu ziemia głównie w klasie II i III, częściowo w I/. Większości przypadło po 5 - 10 ha, nieliczni dostali 15 i więcej hektarów gruntu. Z resztek folwarków powstały PGRy, też nieduże i nieliczne. Tak uformowała się społeczność deklaratywnie posłuszna władzy i deklaratywnie katolicka; idąca co niedziela do kościoła, a wprost z niego /co jakiś czas/ do urn wyborczych. Społeczność patrząca martwym oczkiem na "czerwone i czarne"; której bogiem jest raczej Przetrwanie, która ufa tylko własnej, nałogowej pracowitości przemieszczanej ze sprytem - co tutaj nazywa się zaradnością. Społeczność ta nie zareagowała na hasło Solidarność. Dziś liczy sobie ok. 50-70 lat, a następców znajduje w dzieciach najmniej zdolnych do nauki, lub w tych, którym się nie powiodło w mieście /więc rzadko wybór pozytywny/. Jest to wreszcie społeczność rządzona przez parafeudalny mechanizm nakręcany przez powiatowych i gminnych wataśków, obstawianych przez własne wojsko zbrojne w pieczętki. Tu np. zrobił karierę niejaki tow. K. - były oficer UB w Kraśniku - ukarany /prawdopodobnie za morderstwo/ przeniesieniem do Hrubieszowa na stanowisko naczelnika.

To w niedalekich Tyszowicach importowany sekretarz, niejaki tow. U. niszczy po kolei swoich oskarżycieli, choć on sam z jego mafijną socjotechniką został skompromitowany w oficjalnej, centralnej prasie. Co prócz parasola nomenklatury trzyma ich "w siodle". Sami poddani, tzw. potrzebownicy, ci którym doskwiera brak ciągnika czy materiałów budowlanych. Oni to zostają np. radnymi. Wchodzą w układ, wykorzystują go do ściśle prywatnych celów i odchodzą. Tak, watażka gminny i jego ludzie są ponad prawem. Ten mechanizm funkcjonuje już 44 lata i nie wiem czy zmieniają go nawet dziesięcio-przymiotnikowe wybory.

To są zdarzenia i fakty wrośnięte w pejzaż i stałe. A co się zmienia, co wykazuje progresję? - Na pewno kultura roli. Zwłaszcza plony zbóż wzrastają: z 25-30 q z ha przed dziesięcioma laty do 45-60 q z ha obecnie. Rolnicy, zwłaszcza młodzi, uzyskawszy prawo sprzedaży produkcji w całym kraju - dorabiają handlem w rejonach gdzie ceny są wyższe. Jeśli idzie o sferę duchową to ostatnio wzrasta liczba świadków Jehowy, sekty wyznaniowej nie uznawanej oficjalnie, ale działającej z cichą aprobatą władz /w ramach układu Świadkowie poparli wprowadzenie stanu wojennego, a władze zmniejszyły represję za odmowę służby wojskowej/. Podstawa mariażu jest prosta - i jednym i drugim zależy na osłabieniu monolitu Kościoła Katolickiego.

Takie są niektóre, ważniejsze tematy poruszane przy kuchennych stołach; a teraz założmy, że jest wieczór. Rodzice pójdą do obrządków. Potem będzie szybka kolacja, słuchanie "zagranicy" /jeśli nie zagłuszą/ i domownicy w miarę przyzwyczajęń rozejdą się do łóżek. Najdłużej będzie się świecić w kuchni. Dobiegnie nas ostatnia tego dnia krzątanina matki.

A jutro? - w tym i okolicznych domostwach będzie podobnie. Z czasem zmieni się tylko program prac polowych; od połowy czerwca dojdzie plewienie 2-3 hektarowych plantacji fasoli /rzadziej buraków cukrowych/. W lipcu kombajny zrobią żniwa. Nastąpi zwózka słomy i podorywki. W sierpniu i wrześniu zbiór fasoli, w październiku - buraków cukrowych. W listopadzie będzie się przebierać i sprzedawać fasolę /często też pszenicę trzymaną do tej pory z powodu wielodniowych kolejek przy próbie odstawy letniej/. W tzw. międzyczasie będą orki i siewy ozimin; walki wręcz o węgiel na rampie kolejowej i próby poważniejszych zakupów - aż spadnie śnieg i zaprowadzi chwilowy spokój. Niektórym przypomną się choroby - pojadą do miast je leczyć. Inni też pojadą, np. zagrać w toto-lotka, bo /jak mówią/ trzeba na coś w tym życiu czekać.

Jan Kondrak

ROBERT JEZIEFSKI

### GRANICA SURREALIZMU

Dwadzieścia lat temu panowie w zielonych mundurach pochylali się nad sztabowymi mapami planując akcję, która przeszła do historii pod nazwą do dziś budzącą mieszane uczucia: "Braterska Pomoc". To, że rozbieżność między historią żywą a jej ośzukańczym zwierciadłem nowomowy bywa zakałcem ograniczającym zdolność przestrzegania rzeczywistości zostało już potwierdzone. Fakt, że bywa ziarnem zapładniającym umysł nie ulega wątpliwości. Dowiedli tego choćby poeci. Ale wiersz obnaża słowa. Aby obnażyć rzeczywistość trzeba więcej, trzeba ją przetworzyć.

I. 19 sierpnia 1988

Wrocław - Dworzec PKP, godzina 3:40

Wyglądają jak szkolna wycieczka - dwudziestu nastolatków i starszy pan z brodą. Nikt ze stojących w kolejce po bilety nie domyśla się chyba, że ta młodzież potrafiła więcej narozrabiać niż wszystkie organizacje młodzieżowe razem wzięte. Oczywiście pod kierunkiem swego nauczyciela. Nazywają go "Major". Na razie stoją spokojnie pod kasą. Nikt nie przeszkodzi im wejść do pociągu - SB ma poważniejsze sprawy na głowie. W kraju zaczęły się strajki.

Niektóre wydarzenia umykają uwadze opinii publicznej. Szczególnie gdy trudno je zakwalifikować i ocenić. Jeśli efekty ich są mało czytelne i nie dają znać o sobie od razu, jesteśmy skłonni je bagatelizować. Są więc gratką dla badaczy i dziejopisów, którzy przykładają do nich inną miarę. Każdy fakt społeczny może zaowocować w przyszłości nie dającymi się dziś przewidzieć konsekwencjami.

II. Wrocław - dworzec PKP, godzina 4:50

Docieramy i my na miejsce spotkania. Grupa odwodowa jest mniej liczna, ale na jednej ze stacji dołączają do nas posiłki z Warszawy. Razem raźniej i nastroje coraz bardziej bojowe. Grupa majora dojedzie niedługo do Jeleniej Góry, my zaś będziemy tam kilka godzin później. Teraz rozważamy różne warianty akcji. Po tym pierwszy happening "Pomarańczowej Alternatywy" odbędzie się na obcym terenie. W mieście czuliśmy się pewnie, działania w górach to zupełnie nowe doświadczenie.

Kiedy jesienią ubiegłego roku świat po raz pierwszy usłyszał o tym co dzieje się we Wrocławiu na ulicy Świdnickiej, niewielu chyba przypuszczało, że "pomarańczowa epidemia" tak szybko zacznie się rozprzestrzeniać. Okazało się jednak, że wrocławski



styl działań trafił na podatny grunt. Niebawem z odrętwienia obudziły się kolejne miasta: Warszawa, Gdańsk, Poznań... Dziś trudno już je policzyć. Kiedy w kwietniu 1988 zorganizowano pierwszy happening we Lwowie, poczuliśmy, że dzieje się coś naprawdę ważnego.

### III. Jelenia Góra - dworzec PKP, godzina 6:00.

Oddział Majora defiluje peronem. W pełnym umundurowaniu i "uzbrojeniu". Rozrzucają ulotki. Milicyjny patrol nie bardzo wie jak zareagować, to przecież nie jest teatr uliczny. Pomarańczowi wyglądają trochę jak powstańcy, którzy wyszli na chwilę z jakiegoś nieistniejącego filmu. Na głowach czapki-kominiarki, radzieckie papachy, hełmy, w dłoniach plastikowe winchestery, strażackie gaśnice, wszystko co tylko przypomina broń. Krótka musztra na oczach zaspanych podróżnych i oddział znika równie niespodziewanie jak się pojawił. Pociąg do Karpacza odjeżdża. Z ulotek ludzie dowiadują się o co chodzi - "Braterska Pomoc", czyli ponowne, po dwudziestu latach, udzielenie "pomocy" bratnim narodom Czechosłowacji. Żart?

Czy rzeczywistość można traktować jako dzieło sztuki? Jeżeli jest tak absurdalna, że nawet najbardziej szalone rzeczy mogą się zdarzyć i nie może oddzielić tego, co normalne od tego, co wydaje się niezwykle. Skoro każdy dzień przynosi wspaniałe materiały na twórczą aktywność, nie trudno jest zamienić codzienność w karuzelę absurdów. Być artystą rzeczywistości - to jedyna postawa pozwalająca świadomie przeciwstawić się powszechnemu zszarzeniu. Politycy dają dobry przykład, ale oni stoją na innym biegunie.

### IV. Jelenia Góra - dworzec PKP, godzina 8:00.

Oddział nr 2 przesiada się na pociąg do Karpacza. Na peronach stoi kilku ubeków.

Wypatrują młodych w paramilitarnych strojach, my jednak nie jesteśmy przebrani. Ekwipunek spoczywa na razie spokojnie na dnie plecaków. W pociągu okazuje się, że co drugi pasażer jedzie na Śnieżkę. Spotykamy znajomych z całej Polski. Byli na Festiwalu Pokoju w Białogórze, w Jarocinie, na pielgrzymce w Częstochowie. Dziś są razem. Pokonali szmat drogi, żeby tu dotrzeć. Napięcie pierwszych chwil podróży ustępuje miejsca poczuciu siły. Gdy wysiadziemy, będzie nas ponad 50-ciu.

Kultura nie jest gotowym produktem, który można przyswajać lub odrzucać. Uczestnictwo w kulturze nie polega na poruszaniu się pośród jej wytworów niczym w muzeum. Kultura jest komunikacją i jedynie ciągle przełamywanie barier między aktywnym i twórczym a biernym i skostniałym pozwala na jej rozwój. "Działanie bez przemocy wywołujące pozytywne skutki jest jedyną formą aktywności godną zainteresowań prawdziwego człowieka dzisiejszej epoki - Homo esteticus surrealizmu socjalistycznego, który nie jest już ponurym Homo sapiens socrealizmu" /Mały Manifest, 1981, Waldemar Frydrych/.

V. Karpacz, godzina 10:00

Major i jego oddział doszli pod wyciąg znacząc gęsto swój szlak ulotkami. Na stacji wyciągu tłum ludzi, jest środek sezonu turystycznego. Takiej wycieczki jeszcze tu nie widziano. Zaaferowanie, pytania, śmiechy, wspólne zdjęcia. Chłopcy nie wiedzą, że w ślad za nimi podążają tak liczne posiłki. Nasza grupa, jedząca w barze śniadanie też nie wie czy pierwszej linii udało się zdobyć przyczółek. Nie dysponujemy takim sprzętem jak przeciwnik: samochody, psy, krótkofalówki, zdjęcia organizatorów akcji. Naszym atutem jest młodzieńcza odwaga. Jednak wielkie batalie wymagają mądrej strategii. Zapominając, że w jedności

siła, dzielimy odwody na trzy grupy - planujemy manewr oskrzydlaający. Dwa oddziały pójdą szlakami, czerwonym i niebieskim, reszta towarzystwa rusza w stronę wyciągu. Po drodze mijają nas milicyjne nyski.

Człowiek realnego socjalizmu wydaje się być na podobieństwo okazu na wystawie osobliwości. Rzeczywistość utkaną z absurdów podnosi do rangi konieczności. Jej zrozumienie to socjalistyczna wolność. Wszelkie próby rozbicia tego schematu są odgórnie tłumione, a wszelka twórcza aktywność jest zwykle kanalizowana. Sprowadza to próby wybijania się na życiodajną normalność do jednowymiarowej formy protestu. Taka postawa prawdopodobnie jest jałowa, a w każdym razie dowodzi bezsilności. Nawet niewielka kreacja inspirowana pozytywną emocją może być trwalsza niż monstrualne struktury zbudowane na uczuciach niezgody i buntu. Zastrzyk zdrowego humoru pozwala spojrzeć na rzeczywistość z dystansu, odrzucić jej ciężar.

#### VI. Karpacz - wyciąg krzesełkowy, godzina 10:30 - 11:00

Jesteśmy na miejscu. Trzy wozy MO dotarły przed nami, lecz mimo to za późno. Pierwsza linia jest już na trasie. Major wyrusza jako ostatni, kilku ubeków dostrzega go na krzesełku. Podbiegamy do ogrodzenia:  
- Waldek, wszyscy już są!  
- Świetnie, czekamy na górze!

Wmieszaliśmy się w tłum. Tajniacy rozpoznają nas, ale nic nam nie mogą zrobić. Rozmawiamy z jakimiś Niemcami, którzy na wieść o akcji wyjmują z torby kamerę. Ciekawe, co robi milicja? Może będą chcieli nas wyprzedzić jadąc w górę drogą albo powiadomią WOP przez radio... Major w połowie drogi zeskakuje z krzesełka. Wszyscy są zaskoczeni, tego nie było w planie. Akcja nabiera rumieńców. Kiedy i my docieramy do platformy górnej stacji, wita nas kanonada wys-

trzałów i gwizdków. Jesteśmy już tak blisko celu - Snieżka widnieje nieopodal, jak na wyciągnięcie ręki. Robimy krótki przegląd. Armia prezentuje się wspaniale: trzydziestu umundurowanych, tyleż broni, służba medyczna w białym strażackim kasku, frontowi fotoreporterzy, łączniczki. Nad głowami powiewa sztandar z czerwonym krzyżem z dwóch skrzyżowanych pocisków karabinowych, symbol "Braterskiej Pomocy". Jest piękna, słoneczna pogoda, wieje silny wiatr. Rozwijamy transparent po czesku:

"ČESI, PŘIJĎTE VŠICHNI SEM"

W ślad za nami dojeżdżają na krzeselkach pojedynczy milicjanci wzbudzając rozbawienie turystów. Boją się do nas podejść, jest ich za mało. Wycieczkowicze robią nam zdjęcie. Rosjanie, Niemcy - wszyscy śmieją się tak samo. Przez okna budynku patrzą na nas inni ludzie. Oni nie śmieją się, wykrzykują coś nerwowo w słuchawki telefonów.

Happenderzy dopuszczali w swych akcjach działanie przypadku. Akcje pozbawione sztywnego scenariusza, dziejące się na podobieństwo sytuacji codziennego życia, są chyba najdalej posuniętym wcieleniem realności. Jak najbardziej realne są zatrzymywania czy pobicia. W wypadku jednak, kiedy dokonuje się ulicznych rewizji w poszukiwaniu papieru toaletowego, rzeczywistość uzyskuje wymiar nadrealny, przekracza nasze o niej wyobrażenia. Kiedy każdy właściciel czerwonego elementu garderoby jest zatrzymywany - socurrealizm jawi się w pełnej krasie.

#### VII. Platforma górnej stacji wyciągu, godzina 12:00 - 12:30.

Jest jeszcze za wcześnie, by wyruszać w stronę szczytu. Oddziały mają się zgrupować w tajnym miejscu o 13:15. Razem prawie sto osób. Nikt jednak nie jest w stanie określić ilu "wolnych strzelców" czeka już



w okolicznych schroniskach. Nie wiedzą tego także patrole WOP ukryte gęsto w kosodrzeżach, ani wspomagające ich patrole MO kursujące szlakami, ani funkcjonariusze MSW, którzy, jak się później okaże, zjechali tu, podobnie jak my, z całej Polski. Cały czas czekamy na platformie, gdzie jesteśmy "nie do wyjęcia". W tym czasie wiele samodzielnych grup bojowych podąża tajnymi ścieżkami do celu. Jedna z nich wpada w zasadzkę pod "Samotnią", większość dostaje się do niewoli, ale kilka przedziera się lasem w stronę Snieżki. Na platformie spodziewamy się ataku WOP-istów. Po chwili z góry zjeżdżają wojskowe gaziki, wyskakują z nich uzbrojeni żołnierze. Biegają w naszą stronę, karabiny zawieszone z przodu - scena filmowa. Kapitan krzyczy: - Złóżcie broń, ściągać mundury, rzucać wszystko na środek!

Natychmiast siadamy, łapiemy się za ręce, trzymamy się metalowych barier. Konsternacja. Kapitan nie wierzy własnym oczom. Brak szacunku dla mundurów jest jeszcze do przyjęcia, ale widok karabinów wycelowanych prosto w twarze nie jednego mógłby przstraszyć. Nic z tego. Wyroby przemysłu zbrojeniowego także nie robią na nas wrażenia. Przekraczamy kolejną barierę strachu. Śmiejemy się z żołnierzy, wszak nie podlegamy ich rozkazom - służyliśmy w innej armii. Kapitan usiłuje rozpocząć negocjacje:

- Może wasz dowódca pójdzie ze mną do budynku?
- Możemy rozmawiać tu, nie mamy żadnych tajemnic.
- Chciałbym rozmawiać tylko z dowódcą. - Nie wie jeszcze, że Majora nie ma wśród nas..
- Mamy jeden warunek: pozwólcie nam skorzystać z ubikacji.

Po chwili przed budynkiem ustawia się długa kolejka.

Happening "Pomarańczowej Alternatywy" staje się faktem społecznym nie tylko przez wzgląd na znaczną nierzadko liczbę uczestników, ale przede wszystkim ze względu na jakość wydarzenia. Nieskrępowane malowanie muru przez tydzień na oczach milicji, proces Majora zamieniony w spektakl teatralny, bezkarne organizowanie wernisażu na tysiąc osób w godzinach nocnych, kary za rozdawanie podpasek higienicznych, tańce na dachu milicyjnej nyski - przykładów jest wiele. Ciągłe obnazanie rzeczywistości, kreowanie zaskakujących sytuacji powoduje mimowolne uwalnianie się jednostki z psychicznych ograniczeń narzuconych przez system.

#### VIII. Szlak dojazdowy na Snieżkę, godzina 12:45.

Nasz fotoreporter został zatrzymany, ale film ukrył gdzieś zrecznie. Jedzie wraz z kapitanem do stacji WOP. Przysłuchuje się rozmowie przez radiotelefon:

- Przyślijcie posiłki, nie mam ludzi, odbiór
- Będą za pół godziny, zatrzymajcie wyciąg, za dużo turystów... Czy macie Majora?
- Nie wiemy gdzie jest, jednostki milicji zlokalizowały go chyba na dole.

W tym momencie mijają samotnego człowieka, który stoi zamyślony na skraju kosówki. To Major.

#### IX. Schronisko na Równi pod Snieżką, godzina 12:45.

Część oddziałów lewego skrzydła siedzi już pod strażą w stacji WOP. Druga część jest w schronisku. Major zbiera wszystkich ochotników w małe grupy i wysyła ich kolejno na szczyt. Ktoś w końcu musi osiągnąć cel. Na Snieżce mają czekać na nas drużyny czeskie. Planowaliśmy wspólny marsz "Szlakiem Przyjaźni", ale sytuacja się komplikuje. Pierwsza linia utknęła na platformie, prawe skrzydło w rozsypce. Major przejmuje dowództwo nad lewym skrzydłem, którego siła

rośnie z minuty na minutę. Teraz zjawiają się jak spod ziemi wszyscy, którzy doszli tu samotnie, bez przydziału. Obecność wodza wzmacnia siłę bojowego ducha. W stolicy żołnierze spisują numery zabawkowych karabinów. Jeden z nich okazuje się znajomym jednego z jeńców. Mówi:

- Na odprawie powiedziano nam, że przyjadą anarchiści z całej Polski, wróg publiczny numer jeden. Będą mieli petardy i świece dymne i będą spierdalać przez granicę...
- Czy ja też jestem twoim wrogiem?

We Wrocławiu milicja została chyba obłąskawiona. Zdarzało się nawet, że podczas akcji funkcjonariusze odmawiali wykonywania bzdurnych poleceń. Ciągły kontakt z ulicą Świdnicką powodował znaczne spustoszenia w umysłach młodych milicjantów. Uczucie zażenowania z powodu własnych poczynań często brało górę nad obowiązkiem. "Już pojedynczy milicjant jest dziełem sztuki, a coś dopiero większe ich grupy przechadzające się po ulicy niczym bezrobotni aktorzy pod drzwiami reżysera" - pisał Major. Niedawno jednak zdarzyło się coś, co przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Wychodzący do cywila rezerwiści ZOMO urządzili na rynku pożegnalny happening. Dali pokaz robienia pompek pod pomnikiem Fredry. Ob rzucili pomnik monetami i oblali pianą z szampanów, po czym ruszyli stuosobową kolumną przez miasto zagłuszając szum samochodów gwizdkami. Czyżby dzieła sztuki przeistoczyły się w artystów?

#### X. Na platformie, godzina 13:00.

Cały czas sytuacja patowa. Nie wiadomo kto kogo trzyma w szachu. Obserwują nas setki przyjeżdżających wyciągiem turystów. Kolejna wycieczka, harcerze. Nasi już mają dość czekania. Do tej pory czas pracował dla nas. Rozciągając teatr działań daliśmy szansę innym na zbliżenie się do szczytu. Pilnujący nas żołnierze rozluźnili się,



rozmawiają z nami, żartują. Trudno zachować powagę w śmiesznej sytuacji. Już czas na kontratak. Na dole wyciągu od pewnego czasu przestano wpuszczać ludzi. Kiedy pierwsze puste krzeselko osiągnie platformę, zatrzymają wyciąg i już bez świadków będą mogli nas rozbroić. Na umówiony znak wszyscy wstajemy. Zaczynamy śpiewać "Bandiera Rossa", chwilę później rozlega się przeraźliwy świst gwizdków. To sprawdzona broń psychologiczna. Strzelamy z korkowców i ruszamy do ataku. Z dala dobieg głos kapitana:

- Jezus, Maria, łapcie ich, po nogach strzelać, po nogach.

Żołnierze wiedzą, że strzelać mogą tylko w obronie własnej. Nikt z naszych nie wierzy w groźby oficera. Wychodzimy z okrążenia.

Niemoc jest paraliżująca. Brak perspektyw utwierdza w przekonaniu, że nic nie warto, pogłębia gnuśność. Myślenie w kategoriach mas odsuwa na margines jednostkę, skazuje ją na wyjałowienie. W efekcie doprowadza to do degeneracji całego społeczeństwa. Ograniczenie swobód jednostki jest tak daleko posunięte, że obrona jej autonomii wydaje się podstawowym zadaniem. Bez wyzwolenia pojedynczego człowieka z paranoi naszego życia nie ma mowy o zdrowych, niezależnych inicjatywach. Ograniczenia w sferze kultury bardziej tłumią wolność jednostki niż bariery polityczne. Są bliższe życia codziennego. Tylko indywidualna ekspresja może przełamać niemoc.

#### XI. Szlak dojazdowy na Śnieżkę, godzina 13:15.

Do szczytu już tylko kilkaset metrów. Biegniemy ile sił w nogach. Nagle zza zakrętu wyłaniają się wojskowe samochody, z kosodrzewiny wyskakują żołnierze. Zbijamy się w gromadę na skraju drogi. Siadamy. Sytuacja się powtarza - nie dajemy się tknąć. Zaskoczeni turyści obserwują to nie-



codzienne wydarzenie. Pozdrawiają nas. Po chwili zjawiają się panowie z SB wyposażeni w kamerę video. Wywiązuje się dialog:

- Co tak kręcisz uparcie, popatrz na mnie, chcesz to ci zapłacić, nie będziesz przecież pracował za darmo.

"Waryński" wyciąga stówę i pokazuje ją kamerzyście:

- No spójrz, czy nie jestem podobny?

Po chwili rzuca zmietym banknotem w obiektyw.

- Nie bądź taki cwany, zaraz ci zmienimy wygląd.

- Och, pan taki napakowany jak Rambo, zawsze marzyłem o takim spotkaniu...

Wyraźnie na coś czekają. Po kilkunastu minutach podjeżdża wojskowa ciężarówka. Turysci jakby się rozpięli. Chyba musiano ustawić patrole w "bezpiecznej" od nas odległości. Nikt nie zobaczy jak żołnierze zdejmują czapki, odkładają na bok karabiny i do spółki z tajniakami zaczynają kopać i bić siedzących. Po dwóch, po trzech wyrwają nas jednego za drugim i wrzucają jak worki na samochód. Są między nami dziewczyny, ale w tumanach kurzu nikt nie rozróżnia płci. Kiedy wszyscy już są na pace zaczynamy śpiewać:

- Panie szofer gazu, bo pół litra jest w garażu...

Czy chcieliśmy przekroczyć granicę? Artykuł 288 Kodeksu Karnego mówi: "§1. Kto bez wymaganego zezwolenia przekracza granicę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5". Każdy obywatel jest zdany na łaskę władzy jeśli chce przekroczyć magiczną linię nazywaną Granicą Państwa. Jest jednak dużo więcej granic, których przekroczenie grozi konsekwencjami, niekoniecznie prawnymi. Wszystkie one minimalizują autonomię jednostki. Ciągłym działaniem na granicy para-

grafów udowodniliśmy sobie, że można o wiele więcej niż nam pozwolono. Uświadomienie sobie tej możliwości to nasza wolność.

#### XII. Stanica WOP, godzina 13:30.

Major siedzi przy stole zasiłanym mapami. Zatrzymał go ostatni przed szczytem patrol. Na szczycie Śnieżki zorganizowano sztab wojenny. Na wieść o pojmaniu Majora sztabowcy odetchnęli z ulgą. Pozwolono mu zachować szablę, kiedy poprosił o traktowanie zgodnie z konwencją o jeńcach wojennych. Spośród kilku pułkowników z kłodzkiej jednostki WOP oddelegowano jednego na pertraktacje z Majorem. Czas nagli.

- Porozmawiajmy jak Polak z Polakiem. Dlaczego pan to robi?
- Chcę przyczynić się do wzrostu poziomu wykształcenia Ludowego Wojska Polskiego.
- Mam do pana tylko jedną prośbę. Panie Majorze, pan jest jedynym człowiekiem, który może odwołać akcję...
- Porozmawiajmy raczej jak wojskowy z wojskowym. Panie Pułkowniku, nie chcę popełnić tego błędu, jaki popełnił marszałek Petain, poddając armię zdolną do walki...

#### XIII. Na granicy, godzina 13:45.

Siedzimy w ciężarówce, kilka metrów przed nami tablica graniczna. Po czeskiej stronie stoją żołnierze z psami. Szlak wiodący na wierzchołek góry wygląda jak ruchliwa ulica w godzinie szczytu. Ściśnięci jak szprotki w puszcze nie tracimy animuszu; skandujemy, śpiewamy wojskowe piosenki. Zbliża się czternasta - czas spotkania na szczycie. Wyciągamy gwizdki. Wołamy Czechów na pomoc. Ponad trzydzieści gardeł i jakieś trzysta metrów od szczytu. Czy słyszą? Nagle w gardła i oczy wdziera się piekący, duszący dym. Wszyscy kaszlą i łzawią, jedna z dziewczyn wymiotuje. To zmieniła się nasza eskorta: żołnierzy zastąpili milicjanci. Broń chemiczna? Tego się nie spodziewaliśmy. Tylko jeden z nas nie ucierpiał - ma maskę przeciwgazową.

Jest jeszcze jedna granica, którą czasem zdarza się przekroczyć. Granica surrealizmu. Wojsko Polskie od tyłu lat "stojące na straży pokoju" przyjmuje wyzwanie happy-nórow. Angażuje się w batalię, której wynik do końca nie jest wiadomy. Prawdziwe karabiny przeciwko zabawkom? Może to sprawa prestiżu, panować nad sytuacją, choćby za cenę narażenia się na śmieszność? Komizm jest tam, gdzie ktoś jest poważny bez granic. Komizm jest tam, gdzie powaga nie wystarcza.

#### XIV. Śnieżka, godzina 14:00.

Czterdziestu naszych jest u celu. Jest też dwudziestu Czechów, okazuje się, że doszli bez trudu. Wymieniają uściski, dwadzieścia lat po tym jak ich ojcowie strzelali do siebie. Ten uścisk dłoni waży więcej niż podpis pod oświadczeniem. Z pewnością żaden z uczestników tej akcji nigdy nie weźmie udziału w zbrojnej interwencji. Chwilę później wszystkich bez wyjątku młodych Polaków pakują do samochodów i zwożą na dół. Czesci zostają sami. Nie czekają długo. Schodzą szlakiem w stronę polskiego schroniska. Nie zatrzymani przez nikogo przekraczają granicę. Nikt nie przewidywał, że hasło z transparentu okaże się prorocze: CZESI, PRZYJDŹCIE WSZYSCY TU. Nasi przyjaciele ratują rangę happeningu. Jest to prawdziwa BRATERSKA POMOC.

Robert Jezierski

# RECENZJE

JAN WALC

## MIARA HISTORII

W przyszym roku minie 40 lat od chwili, kiedy Wiktor Woroszyński opublikował pierwszą książkę. Nosiła ona znamieny tytuł: "Śmierci nie ma". Ta tytułowa teza, tyleż śmiała co fałszywa, a przecież mimo całej swojej fałszywości szlachetna, przypomniła mi się w trakcie lektury ostatniej książki Woroszyńskiego, zatytułowanej "Historie". Te 40 lat to dla Woroszyńskiego okres bardzo głębokiej zmiany stosunku do historii - wtedy sądził, że nie ma jej podobnie jak śmierci, a jeżeli jeszcze jest, to trzeba tę kobyłę zagonić - na śmierć. Dziś jest jednym z tych, którzy najlepiej rozumieją, czym historia jest i ile dla nas znaczy.

Tryumf przeznaczonej na zagonienie historii jest - szczególnie w ostatnich latach - tyleż krzepiący co imponujący, a przyczyn, dla których stało się tak, jak się stało, jest wiele. Nie chodzi tutaj tylko o prostą reakcję oporu przeciw orwellowskim manipulacjom cenzury, która w Polsce ostatnich dziesięcioleci poświęcała historii nie mniej uwagi niż współczesności, a kto wie, czy nie więcej nawet. Niezależnie od powoływania się na materializm historyczny komunizm starał się wpoić rządzącym,



że żyją w epoce, którą trzeba by określić jako posthistoryczną.

Należę do pokolenia urodzonego i wychowanego w komunistycznej Polsce, pokolenia, któremu starano się wmówić, że historia ostatecznie zakończyła się na II Wojnie Światowej i wybić z głowy wszelkie nadzieje na to, by mogła się ona dalej toczyć za naszego życia i z naszym udziałem. I nawet kiedy rozpoczął się Marzec, jeszcze nie zdawaliśmy sobie chyba sprawy, że oto udało się nam przywrócić historię do naszego życia, a tym samym stać się jej pełnoprawnymi uczestnikami.

Rosnąca rola historii w naszym życiu społecznym miała też przyczynę w postępującej degradacji współczesności, w jej beznadziei, w tym, że współczesność owa, mająca charakter nierzeczywistości czy miazgi, nie mogła stwarzać dla ludzkiego działania naturalnego, koniecznego układu odniesienia – i ten układ coraz liczniejsza część społeczeństwa zaczęła odnajdywać w historii. Aniśmy się obejrżeli, a stało się oczywiste, że historia dzieje się tuż koło nas, na naszych oczach, że możemy brać w niej udział. To było wielkie zachłyśnięcie a zarazem zdobycie ogromnego ładunku energii; to z historii przecież czerpaliśmy siłę potrzebną do przeżycia tego wszystkiego, co się w ostatnim dziesięcioleciu zdarzyło.

Tysiące więźniów politycznych, dziesiątki tysięcy konspiratorów, miliony udręczonych na codzień Polaków karmiło się świadomością, że to wszystko nie jest na marne, że te udręki nie roztopią się w nicości, bo należą do historii właśnie. I że ta historia stanowi miarę niezależną od miar doraźnych, że posługiwanie się jej wzorcem daje nam w ręce busolę, pozwalającą orientować się nawet w zawiłych meandrach współczesności.

Historie, które kolekcjonuje Wiktor Woroszyński, króciutkie opowiadania z różnych czasów i miejsc, to właśnie takie precyzyjne narzędzia do wyznaczania miary rzeczy; wstrząsające exempla, w których na naszych oczach ludzie dokonują swoich wyborów, i rzecz się staje, i dokonane wybory pozostają już na zawsze, a Woroszyński przedstawia je nam właśnie w momencie stawania się - jeszcze pulsujące życiem, rozedrgane napięciami, ale już raz na zawsze zdarzone - i pozwala nam zobaczyć je tak przejrzyście, jakby były zatopione w bursztynie.

I w tym największa sztuka, a zarazem urok ogromny tej książeczki - widać wyraźnie, że trzeba było lat pracy i własnych z historią zmagani, aby mogła być ona tak mała; autor starannie odfiltrował to co istotne, co stanowi opowiadanych historii sedno i tylko to w swojej książce pomieścił.

Wprawdzie każda książka jest rezultatem rozmaitych autorskich wyborów, ale tu szczególnie rzuca się to w oczy i to na wszystkich poziomach, na jakich można tekst analizować. Woroszyński już formę i stylistykę poszczególnych swoich historii wybiera za każdym razem na nowo, aby dostosować ją najlepiej do tego, co ma być opowiedziane: raz będzie to dialog bez jednego słowa narratorskiego komentarza, raz gawęda, raz nota. Jak rzeźbiarz, który dokładnie wie, jaką postać chce mieć w granicie, a jaką cyzelować w alabastrze, Woroszyński dobiera sposób opowiadania do postaci czy zdarzenia, które chce przedstawić.

Z wielką też rozważą dobierane są same historie, które mają być opowiedziane; jest ich 22, a obejmują obszar tyluż mniej więcej wieków - od czasów Ptolomeusza Filadephosa po dzień dzisiejszy. Trudno więc nie zauważyć, jak Woroszyński w historii przebiera, jak szuka tego, co chciałby swojemu czytelnikowi opowiedzieć. Dodajmy, że te historie nie są również w tym samym stopniu historyczne; czasami autor opowiada swoimi słowami to, co się rzeczywiście i na pewno zdarzyło, czasami historyczne ustalenia uzupełnia wyobraźnią, czasami zaś do samej wyobraźni się ogranicza, kiedy jakąś historię bardzo chce opowiedzieć, a źródeł praktycznie nie ma.

Na owe źródła patrzy Woroszyński okiem człowieka doskonale wiedzącego, jaką wagę ma to, że "poeta pamięta" i nie byłibyśmy zdziwieni, gdyby gotów był zawsze opowiedzieć się po stronie poety i po stronie pamięci. Ale "Historie" okazują się bardziej skomplikowane, niżby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać, bo strasznie skomplikowana jest historia i uwikłane w nią ludzkie losy. Pamiętajmy, że autor "Historii" napisał biografie, wcześniej, dwu poetów, którzy zdecydowali się "nastąpić na gardło własnej pieśni", aby mów pieśń tę kontynuować - nie możemy więc mieć wątpliwości, że miał okazję przemyśleć cenę, jaką im przyszło zapłacić. W ostatniej książce pokazuje nam Woroszyński historię jeszcze bardziej skomplikowaną, bardziej dwuznaczną niż to wszystko, co dałoby się powiedzieć o Puszkynie czy Majakowskim: jej bohaterem jest perski uczony z początku XVIII wieku, wyjątkowo aktywny w działaniach na rzecz eksterminacji sufizmu we wszelkich jego przeja-

wach; już po śmierci owego uczonego okazało się, że w specjalnie zbudowanej ukrytej piwnicy zgromadził on pełen zbiór poezji sufickiej, w której publicznym paleniu brał czynny udział - i że zachowało się z niej praktycznie tylko to, co on, jej prześladowca, uratował.

Woroszyński nie serwuje nam exemplów ani łatwych, ani jednoznacznych - każda z jego historii to materiał na porządną powieść, destylat jej znaczeń i sensów, tak bardzo niekiedy pokreconych; nie można mieć wątpliwości, że autor tej książki miał okazję osobiście spotykać się z Historią i doświadczyć sposobów jej funkcjonowania na własnej skórze. Lekturę tej książki przerywa się nieustannie; bo każda z opowiedzianych w niej historii narzuca rozliczne skojarzenia, refleksje, zdziwienia i chociaż Woroszyński jak najdalszy jest od posługiwania się historią jako kostiumem, chociaż naprawdę chce przedstawiać swoje postaci i związane z nimi zdarzenia, a nie opisywać przy ich pomocy współczesność, przecież wszystkie te historie zapisywane są - a i odczytywane - przez pryzmat doświadczenia naszego czasu.

Nie jest przypadkiem, że Woroszyński nie wyjmuje swoich historii z dziejów polskich, z jednym wyjątkiem, jakim jest scena, w której Kościuszko odmawia Fouché'mu i nie zgadza się stanąć na czele armii Księstwa Warszawskiego na warunkach podyktowanych przez Napoleona; pisarz zdaje się sądzić, że uwikłanie w nasze narodowe spory więcej by zaciemniało niż objaśniało i dlatego właśnie jego historie dzieją się w znacznym od nas oddaleniu - w przestrzeni, albo w czasie.



Ale to tylko pozorne oddalenie: czyta się tę książkę w wielkim napięciu, bo wychwytuje ona z owych odległych czasów i miejsc te właśnie kwestie, którymi tu i teraz żyjemy, a ta odległość służy uchwyceniu perspektywy, miary, pozwala nam samych siebie widzieć we właściwych proporcjach. Ta książka nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że została napisana przez poetę, który i pamięta, i rozumie, i potrafi rzeczy dać słowo najwłaściwsze, a co najważniejsze - mówiąc w swoim imieniu jednocześnie wypowiada to wszystko, czego nie umiemy wypowiedzieć my, którzy poetami nie jesteśmy.

Jan Wabć

---

Wiktor Woroszyński, Historie, Warszawa 1987, Czytelnik, str. 88, zł 150, 10 000 egz.

MAREK WOJGIENICA

RYSY W PORTRECIE

Zawartość nowego tomu prozy Marka Nowakowskiego - "Portret artysty z czasu dojrzałości" - może rozczarować tych wszystkich, którzy zbyt dosłownie odczytają jego tytuł. Tworzenie tego rodzaju portretu nie jest jedynym efektem zebrania i znaczeniowo istotnego ułożenia tych parudziesięciu opowiadań - zarówno nowych jak i starszych, ale nigdy dotąd nie publikowanych, a także tych, które rozproszone były w różnych czasopismach. Dotyczy to także opowiadania w tej książce tytułowego; pokazany w nim wizerunek bohatera jest ledwie szkicem portretu, mającego już rozplanowane tło i wyznaczone ramy. Owe ramy to jeden dzień w życiu bohatera; dzień, w którym pojawia się realne zagrożenie jego wolności, co ożywia w nim poczucie pełnienia misji poprzez uprawianie twórczości, ale w chwilę potem rodzi przeświadczenia o beznadziejności tego wysiłku. Satysfakcja przeplata się tam stale ze zwątpieniem, twórcza niezależność przygniatana jest ciężeniem rzeczywistości, a na koniec z takich sprzeczności wyłania się jedyny wyrazisty rys określający bohatera: jego chęć i potrzeba tworzenia utożsamiona z jakąś pierwotną siłą życia. Tak konstruowany wizerunek nie jest jednak samoistny; jest jakby opisany przez tło. Musi tak być, ponieważ bohater w pełni świadomy charakteru otaczających go zagrożeń i uwikłań pozwala się w nie wciągnąć - zmuszany przez okoliczności, ale też przekonany, że potrafi nad tym wszystkim zapanować w swoim dziele, które właśnie dzięki takim sprzecznościom może w ogóle istnieć. Tak

więc banalne dość stwierdzenie o współzależności między dziełem i życiem twórcy zostaje tu uaktualnione poprzez wpisanie w okoliczności, w których już paradoksalność tej zależności staje się na nowo inspirująca. To jednak za mało, by szkicowy wizerunek literackiego bohatera stał się obrazem człowieka. Również tło tego portretu jest tylko rozplanowane, znaczone tylko płaskimi plamami, jeszcze nie wypełnione do końca i pozbawione głębi. Opowiadanie to zostało więc nazwane jakby z założeniem, że stanie się tytułowym w tomie, w którym jego treść zostanie dopiero dopowiedziana.

Umieszczone w tym tomie jako przedostatnie, ważne dopełnienie znajduje przede wszystkim w innym "portrecie artysty" - tym z opowiadania "Mój przyjaciel pisarz". Tu sytuację bohatera określa przede wszystkim nieumiejętność uświadomienia sobie wagi zarówno tych uwikłań, jakie są pochodnymi jego cech osobniczych jak i tych - wynikających z politycznych uwarunkowań jego pozycji w życiu literackim. Nazwanie i przezwyciężenie wynikających stąd zagrożeń nie jest możliwe w jego zintelektualizowanej twórczości, natomiast oderwanie od życia, poddawanie się własnym, przybierającym patologiczny charakter, skłonnościom i bezwiedne uleganie niezrozumiałym naciskom systemowym przekracza w końcu granicę, za którą ostatnią możliwością zmanifestowania jakiegś niezależności staje się samobójstwo. W pełni sił twórczych nie starcza więc bohaterowi owej pierwotnej siły życia.

Ale wszystko to jest wspomnieniem z odległej już przeszłości i właśnie przemiany, jakie dokonały się w obszarze czasu między przeszłością z opowiadania "Mój przyjaciel pisarz" a teraźniejszością z "Portretu artysty..." bardziej niż odmien-

ność konstrukcji psychicznej bohaterów, zaważyły na tak diametralnej odmienności wymowy tych utworów. Przybliżeniu charakteru owych przemian służy pięć opowiadań, które w kompozycji tomu te dwa utwory rozdzielają.

"Pierwsze boje" to opowiadanie o rodzeniu się w pisarzu przeświadczenia o jego kronikarskiej misji - jeszcze skłonnej do ustępstw i uników, ale mającej przerodzić się w wewnętrzną konieczność pisania całej prawdy, już bez żadnych kompromisów. Rażąco jest tam jednak i zupełnie niepotrzebne rozszyfrowywanie przez Nowakowskiego forteli stosowanych niegdyś w celu "oszukania" cenzury. Nie każdemu też z wielbicieli jego pisarstwa może się zapewne spodobać opublikowanie, następnych w kolejności, czterech utworów tworzących cykl "Opowiadań krótkich". Pisane niewątpliwie z wewnętrznej potrzeby w początku stanu wojennego, w dążeniu do pewnej czystości wyrazu, chyba bezwiednie naznaczone zostały jakimś górnolotnym zadęciem i zbytnią dydaktycznością. Jednakże w kompozycji tomu spełniają funkcję symbolu jakiegoś powszechnego przeobrażenia, które można skojarzyć z szesnastoma miesiącami "Solidarności"; z czasem, który znacząco wpłynął na ludzkie postawy, a więc i na postawę artysty-bohatera następnego opowiadania.

W kontekście, jaki wyłania się z wymowy "Pierwszych bojów" i "Opowiadań krótkich", wpisanie na okładce książki sygnetu Niezależnej Oficyny Wydawniczej w miejsce dwu pierwszych sylab nazwiska autora przestaje być tylko trickiem; staje się znaczącym, również dzięki włączeniu weń sylwetki samego pisarza. Oczywiście ryzykowne jest zawsze utożsamianie narratora czy bohatera z autorem utworu, ale w tej książce motywy autobiograficzne są wręcz natrętne. Tak



znaczna ich obecność jest poniekąd zrozumiała w zbiorze, który zawierać ma zindywidualizowany wizerunek bohatera prezentującego podobną postawę polityczną i uprawiającego ten sam zawód, co autor, ale trzeba pamiętać, że autobiografizm jest właściwością większości utworów Nowakowskiego z ostatnich lat. Można to czytywać jako zawężenie pola obserwacji; ograniczenie go tylko do tego, za co autor jest w stanie przyjąć całkowitą odpowiedzialność. Wracając jednak do omawianej tu książki i pamiętając, że w tytułowym jej utworze portret artysty jest tylko szkicem, który na równi pasuje do pisarza jak i do kogokolwiek, to przewagę autobiografizmu można rozumieć jako projekcję; nadanie ponadjednostkowego wymiaru doświadczeniu, które zaważyło na losie i postawie bohatera, ale w równym stopniu określiło charakter całej zbiorowości, do której należy. I w takim ujęciu już nie "portret artysty", a "czas dojrzałości" staje się osią znaczeniową w tytule całego tomu. Nowakowski nie stara się jednak o zwięzłe opisanie tego czasu w opowiadaniu tytułowym; można rzec, że /wręcz niepotrzebnie/ unika tu nazwania czasu i miejsca akcji, operując omówieniami mającymi charakter oczywistych aluzji i dość jednostronnych ocen rzeczywistości. "Czas dojrzałości" pozostaje niejako w domyśle i można go tylko dopowiedzieć jako wynik jakiegoś "czasu dojrzwiania" - procesu, rozpisanego w pozostałych utworach, przede wszystkim zaś przejrzyście zarysowanego w planie, jaki wyznaczają w tym tomie opowiadania - pierwsze /"Mongoły"/ i ostatnie /"Życie hordy"/.

Pierwsze zetknięcie ze wschodnią mentalnością, z azjatyckimi normami zachowań - pokazane w "Mongołach" - jest jeszcze niemalże ciekawostką, choć pozostaje po

tym trwały ślad w polskim krajobrazie społecznym. Na koniec zaś - w "Życiu hordy" - owa wschodnia ekspansja przedstawiona jest w jej fazie szczytowej. Baśniowa tonacja, w jakiej utrzymana jest narracja, podkreśla, że opis dotyczy żywiołu nieogarnionego i niepojętego dla cywilizowanego człowieka; żywiołu niemożliwego do pokonania czy choćby powstrzymania. Godne szczególnej uwagi jest też znakomite opowiadanie "Święte Miejsce", w którym z demaskatorską ostrością przedstawiona została ukształtowana w pełni polska mutacja tej obyczajowości, zaimportowanej wraz z nowym łaodem politycznym, a objawiająca się już powszechnie i na co dzień. Inne utwory tworzą, zachowujący porządek chronologiczny, zapis codziennych z pozoru i dotyczących jednostek zdarzeń, noszących jednak znamiona wyznaczników procesu "dojrzewania" społeczeństwa; procesu, którego bliżej charakteryzować chyba tu nie trzeba. Warto natomiast zastanowić się jeszcze nad zaskakującym dość faktem przypomnienia okresu "Solidarności" jedynie w tonacji symbolicznej. I tu należy jeszcze raz zwrócić uwagę na utwory wyznaczające ramy całego tomu.

Napisane przed kilkunastu laty opowiadanie "Mongoły" to realistyczny obraz, skłaniający do szerszej refleksji poprzez dobór i wymowę faktów. Jego treść, jakkolwiek uderzająca, nie narzuca czytelnikowi żadnych przymusów aksjologicznych, pozostawia mu swobodę interpretacji i ocen. Natomiast "Życie hordy" /napisane w 1982 roku/, utrzymane w stylistyce gminnego podania czy przypowieści, uderza tonem dydaktyczno-dogmatycznym, tonem bezdyskusyjnego objawienia, które w literaturze współczesnej może tylko drażnić.

Ułożenie zawartości książki w ramach wyznaczonych przez utwór bardzo dobry i

zdecydowanie nieudany każe przypuszczać, że nie z przypadku, a z założenia ten tom jest pod względem artystycznym uderzająco nierówny. W tym chyba zawiera się refleksja na temat obniżenia rangi twórczości - coraz częściej manipulowanej, uwikłanej w doraźne rozgrywki, w małe nierzadko problemy, które - rozwiązane czy nie - już niedługo nie będą miały żadnego znaczenia. Świadczy o tym choćby wpisanie w świat przemysłów bohatera tytułowego opowiadania refleksji już nie nad rangą jego dzieła, a nad samą zasadnością jego kontynuowania. I trzeba też pamiętać, że książkę kończy wizja zła triumfującego, nie uznającego żadnej twórczości; zła, przeciwko któremu przemawia tylko samo fizyczne jakby zaistnienie tego osobliwie słabego opowiadania o "życiu hordy". Nieudanego tak samo, jak "Opowiadania krótkie"... Wszystko to tak, jakby nawet twórcom nie starczało już umiejętności posługiwania się środkami tworzenia, jakby też zatraciła się gdzieś wolność myśli konieczna do pisania na miarę podejmowanych tematów.

Należy zatem sądzić, że zawiera się w tym także ocena rozmiarów szoku, jaki wywołał stan wojenny; szoku znaczącego chyba bardziej, niż euforia poprzedzającego go okresu, a prowadzącego do imperatywnego i jednocześnie jakby interwencyjnego traktowania potrzeby już nie pisania, a wykrzykiwania całej prawdy, którą usiłowano unicestwić. W twórczości literackiej musiało się to jednak objawić różnymi przerysowaniami: tworzeniem czarno-białych schematów. w kreowaniu postaci, dwuwymiarowością w przedstawianiu sytuacji, by odbić się w końcu na samym języku - znaczącym nierzadko tonem politycznych polemik.

Te wszystkie uproszczenia - nie da się ukryć - były obecne w utworach Nowaków-



skiego, pisanych po stanie wojennym i są obecne w kilku z "Portretu artysty z czasu dojrzałości" /np. "Sybir", "Pierwsze boje"/. Jednakże wymowa tego tomu, złożoność zawartych w nim znaczeń, w pewnym stopniu tłumaczą i usprawiedliwiają to zjawisko. Przedstawionemu w nim "dojrzewanu" społeczeństwa, sprowadzającemu się do dehumanizacji życia, do degradacji jednostki, przeciwstawione musi być coś dokładnie odwrotnego, nawet gdyby to przeciwstawienie na obszarze twórczości miało dokonać się za cenę obniżenia poziomu artystycznego. Ta swoista "dojrzałość" wymaga swoistej /a może dosłownej/ naiwności. I przy tym już płynną staje się granica między oporem wobec zagrożeń, a poddawaniem się im. Tak właśnie wygląda to w paradoksalnej sytuacji bohatera opowiadania tytułowego. Taki inspirowany paradoks, jak zawsze, w równym stopniu wymaga twórczej pasji, co twórczego dystansu, i na taki - wydaje się - zdobył się Marek Nowakowski. Nie zamieścił w swej książce żadnego nowego opowiadania, które byłoby w pełni udane, ale - jakby przypominając czasy, gdy komponował "Układ zamknięty" - ułożył tom, w którym ta pozorna "zbieranina" utworów zabrzmiała tonem głębokiego namysłu nad sytuacją literatury i nad obrazem części świata, w której ta literatura ma powstawać. I zawarł też w nim autorefleksję, z której wnioski płyną niezbyt radosne, ale raczej konieczne w obecnym stadium twórczej drogi tego pisarza. Zaś konkluzję najbardziej gorzką, a dla nas - pamiętających o niedawnych międzynarodowych sukcesach pisarza - wręcz zaskakującą, Nowakowski ujął poprzez zapisanie swoistego "dialogu" swego bohatera z Albertem Moravią; rozmowy prowadzonej w dwóch całkiem wzajem nieprzekładalnych językach. Jak ważny to wniosek, świadczy



i to że został ona zasygnalizowany już w tytule tomu, by jeszcze raz do niego wrócić. Niesie ten tytuł w sobie znaczeniową reinterpretację tytułu wczesnej powieści Jamesa Joyce'a "Portret artysty z czasów młodości", oznaczającej dla tego ostatniego oderwanie się od "dojrzałości" swego narodu, co było etapem koniecznym w drodze do rozgłosu i nieprzemijającego uznania w świecie.

Marek Wojgienia

---

Marek Nowakowski: "Portret artysty z czasu dojrzałości". NOWA 1987.



LEON BOBER

### MIEDZY SIERPNIEM A...

Książka Stanisława Esdena Tempkiego ma za tytuł zgrabny kalambur: "Między sierpniem a młotem". Gdybyż Autor na nim poprzestał... Niestety, dopisał do niego powieść i - moim zdaniem - popsuł kalambur, a w każdym razie nie wykorzystał możliwości, które otwierała tytułowa gra słów. Skoro tak, czuję się zwolniony z obowiązku zajmowania się całą książką, poprzestając tylko na tej jej części, która odnosi się do "sierpnia". Sierpnia 1980 roku.

Bohater powieści Andrzej Łazarz, młody intelektualista, uczestniczy w strajku Stoczni Gdańskiej. Jest to więc w tej części powieść historyczna, dokładniej quasi-historyczna. Opozycjonista, uczestnik Ruchu Młodej Polski, drukarz w podziemnej oficynie wydawniczej, dołączył do grupy osób wspomagających strajk w stoczni. Pra-

cuje w Wolnej Wałkowo-Bębnowej Drukarni im. Józefa Piłsudskiego, kręci się koło Prezydium MKS, w końcu awansuje na stanowisko protokolanta obrad prezydium z komisją rządową. Radykał, zbrzydzonego kunktatorstwem i oportunistycznym /części?, większość?, wszystkich?/ negocjatorów, zrezygnował z zaszczytnej funkcji. "Odsunął się - oddał swój stenogram i starał się trzymać jak najdalej od politykujących członków Prezydium". Niedługo - jak się potem okazało - wytrwał w tym postanowieniu, ale o tym za chwilę. Pora przejść do postaci historycznych.

"B. Lis /sic!/, młody chłopak o szczerze nieczym zaroście". "Waleśa o sumiastych wąsach i nieprzytomnych oczach". "Brodaty Andrzej Gwiazda". Najpełniej został przedstawiony Lech Bądkowski. "Niezbyt znany jako pisarz, lecz podczas strajku urosły do znacznej miary dzięki swojej laseczce i manierom przedwojennego polityka". "Odwieczny Lech Bądkowski krypto-chadek i niezrealizowany polityk kuśtykający po korytarzach budynku bhp /.../, oparty na laseczce, która nadała tej godnej postaci jakiejś wycierpiałej szlachetności". Przeważnie "kuśtyka", często "patrzy chmurnie". No cóż, nieprzychylna to charakterystyka, ale udzielona przez przeciwnika... "Bądkowski zamilkł. Skurczył się, spęsniał. Jego twarz nabrała ciemnych barw. Łazarz/ zauważył, że na jego brodzie pojawiła się siwa szczecina. Dzieliło ich wszystko. Wiek, doświadczenie, sposób myślenia. W tej chwili Łazarz wydał się Bądkowskiemu człowiekiem niebezpiecznym. Ufne zaangażowanie Andrzeja i nieopanowane reakcje mogły zaszkodzić jego dyplomatycznym wysiłkom. Starał się być jednak uprzejmy i niechęć, która zwęgliła jego uśmiech, w tej chwili była odkryciem maski". Dalszy ciąg tej samej sceny: "Atak /.../ w Bądkowskim wywołał odruch przerażenia, tak iż

błyskał oczami na boki, jakby szukał miejsca do walki, która Łazarza unieszkodliwi". I w końcu: "Bądkowski spojrzał na Łazarza uważnie, z rodzajem respektu, z którym patrzy się na przeciwnika, rzucającego otwarcie rękawicę".

Przedmiotem sporu jest sprawa cenzury. Łazarza olśniło mianowicie, że strajk, dwadzieścia jeden postulatów, negocjacje z komisją rządową i zarysowujące się na horyzoncie porozumienie - wszystko to na nic, jeżeli nie zostanie zniesiona cenzura przewencyjna. I chce włączyć do zestawu postulatów postulat dwudziesty drugi: obalenie cenzury przewencyjnej. A Bądkowski przeciwstawia się temu, broni zniewolenia słowa.

Łazarz nie ustępuje. Głosi swoje poglądy na prawo i lewo, zyskuje dla nich zwolenników wśród szeregowej braci strajkowej. Nie może się tylko przedrzeć ze swoim żądaniem do Prezydium, blokowany przez upartego rzecznika prasowego /o tym, że Łazarz jako "oficjalny protokolant" negocjacji miał do członków Prezydium i pojedynczo i in corpore dostęp, Autor zapomina/. Udaje mu się w końcu pozyskać dla sprawy Lecha Sobieskiego i ten godzi się - czas nagli, jest już 30 sierpnia i koniec strajku blisko - przedstawić Łazarza z jego postulatem podczas ostatniego posiedzenia Prezydium przed podpisaniem porozumień i podjąć próbę dołączenia do listy postulatów punktu dwudziestego drugiego: o cenzurze.

"Jego chwila przyszła dopiero wieczorem. Do drukarni wsunął się Sobieski i gestami harcerza na podchodach przywołał go ku sobie. - Już teraz - szepnął". I Łazarz otrzymuje swoje pięć minut. Przemawia. Żarliwie. Lech Wałęsa /w powieści drugi po Bądkowskim gracz - oportunista/ spławia go. Łazarz czuje że przegrał. "Miał zamiar



opuścić już Stocznnię /.../ gdy nagle drogę zastąpił mu Sobieszek i z uśmiechem na twarzy /.../ tłumaczył mu przebieg wydarzeń od momentu, gdy został stamtąd przez Wałęsę wyrzucony. Jego głos zrobił wrażenie na członkach prezydium i proszono, by jeszcze raz zabrał głos". Łazarz powtórza więc swą filipikę, jeszcze goręcej, jeszcze żarliwiej. "Bądkowski wstał z miejsca. Wałęsa pukał długopisem w kartkę papieru, a na brodatym obliczu Andrzeja Gwiazdy pełgał leciutki uśmieszek". Na kartach powieści dzieje się więc historia, a Łazarz odwraca jej bieg. "Lechu, więc jak, wprowadzicie dwudziesty drugi postulat tak, jak chcą tego wszyscy, z którymi rozmawiam na ten temat? Czy też znów pošlecie mnie na hall? Lechu wymienił spojrzenie z Gwiazdą, coś poszeptali między sobą. - Musimy przeprowadzić głosowanie - zdecydował. Uniósł się las rąk. Jedynie Leszek Bądkowski oświadczył, że się wstrzymuje. Wałęsa uśmiechnął się - wobec stanowiska prezydium decydujemy kolegiąlnie wprowadzić dwudziesty drugi postulat o zniesieniu przewencyjnej cenzury do porozumienia".

Jest w powieści historycznej dopuszczalny pewien zabieg, polegający na konstruowaniu fabuły wbrew faktom: nie tak jak potoczyły się naprawdę, lecz inaczej. Ot, igraszka intelektualna albo ćwiczenie wyobraźni. U nas mistrzem w tym gatunku jest Teodor Parnicki. Zabieg taki uważają za dopuszczalny także niektórzy metodologowie historii, nazywają to "wnioskowanie kontrafaktyczne". Ale "Między sierpniem a młotem" nie należy do tego gatunku. Bowiem historia nie potoczyła się zgodnie z pragnieniem Andrzeja Łazarza; bohater powieści, a z nim cała Polska, został po prostu oszukany. Jak? Nie wiadomo. Co się stało w nocy z 30 na 31 sierpnia 1980 roku, w jaki sposób



utracono słuszną i piękną inicjatywę, jak pogwałcono uchwałę Prezydium? Nie dowiadujemy się. Najpewniej kunktatorzy, oportuniści, dopuścili się jeszcze jednej paskudnej manipulacji. "Dwudziestego drugiego postulatu już nawet nie dyskutowano".

Poważna sprawa. Otóż wbrew powieści negocjacje, a także obrady Prezydium MKS, nie były systematycznie protokołowane. Nie było też funkcji "oficjalnego protokolanta". /Nb. Autor, a może wydawca, nie mógł się zdecydować, jak właściwie się pisze: "protokolant", "protokółant", czy w końcu "protokulant"; znajdujemy więc w tekście wszystkie te formy./ W takim stanie rzeczy także powieść może być potraktowana jako źródło historyczne - nie byłby to wszak jedyny wypadek. O przebiegu obrad i negocjacji podczas strjku sierpniowego dowiadujemy się z różnych relacji. Na szczęście, w sprawie incydentu opisanego w "Między sierpniem a młotem" mamy jeszcze inną relację, sporządzoną przez uczestnika obrad na podstawie notatek prowadzonych w czasie posiedzenia. Jej autorem jest ... Lech Bądkowski /"Przypisy dnia. Z dzienników gdańskich 14.VIII - 1.IX.1980", "Zapis" nr 17, styczeń 1981/. Relacja z obrad Prezydium MKS 30 sierpnia wieczorem, poświęconych zatwierdzeniu wynegocjowanych punktów porozumienia. /A więc nie - jak w powieści - uzupełnieniu listy postulatów, co w tym momencie byłoby absurdałne i niemożliwe/. "Bardzo burzliwa dyskusja, raczej już kłótnia. /.../ Wojna toczy się o ten punkt 3. Gruszecki raz jeszcze czyta tekst. Sobieszek - mam tu młodego eksperta, nie wiem jak się nazywa, ale on nam powie o cenzurze i o tym, co my tu robimy. Wprowadza na salę Prezydium, ku mojemu zdziwieniu /.../, młodego literata, który dołączył tu do grupy moich współpracowników /.../ powiada, że nieobalenie cenzury prewencyjnej to w ogóle dno

i że nie było warto robić strajku, jeśli tego się nie uzyska. Cenzura powoduje olbrzymie straty w kulturze polskiej, setki najwartościowszych dzieł literatury nie mogą się u nas ukazać, z polskich pisarzy nie ma np. Miłosza i Gombrowicza. Powiedział i wyszedł. Ktoś zwrócił uwagę, że wśród nas jest literat i że bym się wypowiedział. Mówię więc, że oczywiście cenzura przewencyjna jest złem, ale musimy pamiętać, na jakim świecie żyjemy, co się da uzyskać, a co nie. Chyba najbardziej przekonująco przemówił Tadeusz Kowalik - wśród ekspertów warszawskich tu obecnych nie ma ani jednego, który by na sobie nie doświadczył działania cenzury. Jeżeli opowiadają się za przyjęciem wynegocjowanego uzgodnienia p. 3, to nie z przyjemności, lecz z konieczności, a stanowi on wielki krok naprzód /zdefiniowanie zakresu cenzury, jej zaskarżalność/ wobec stanu obecnego. Jeszcze długa dyskusja za i przeciw, wreszcie głosowanie, wynik za brzmieniem uzgodnienia - 12 głosów, wstrzymujący się 1 głos. Nie odnotowałem, czy było tylko członków prezydium, czy inni także się wstrzymali; raczej to drugie, ale nie podnieśli ręki".

Można powiedzieć: wszystko się zgadza, oprócz faktów. Było więc zupełnie inaczej, a nawet wprost przeciwnie: owszem, z trzy-nastu głosów dwanaście było za, jeden się wstrzymał, ale w sprawie dokładnie przeciwnego wniosku. Oczywiście, byłoby absurdem przypuszczać, że wstrzymał się od głosu właśnie Lech Bądkowski.

Któremu świadectwu dać wiarę, powieściowemu czy dokumentalnemu /choć też przecież danemu przez pisarza, wprawdzie - jak chce autor omawianej powieści - "niezbyt znanego jako pisarz"/. Odpowiedź będzie łatwiejsza po pewnym uzupełnieniu. Otóż w cytacie z notatek Bądkowskiego dokonałem

pewnego skrótu. Teraz przytoczę okaleczone zdanie w pełnym brzmieniu. Sobieszek "wprowadza na salę prezydium, ku mojemu zdziwieniu, Stanisława Esden-Tempskiego, młodego literata, który dołączył tu do grupy moich współpracowników". Owym "młodym ekspertem" przyprowadzonym przez Sobieszka /w powieści jego rolę gra Andrzej Łazarz: "Sobieszek zaanonsował go jako eksperta. Poczuł się głupio, fałszywie. Nie czuł się, w najmniejszym stopniu, specem"./ był autor "Między sierpniem a młotem", Stanisław Esden Tempski. Uważam, że przekroczył granice licencji pisarskiej, więcej - popełnił nadużycie. Tym dotkliwsze, że wymierzone przeciw człowiekowi, który wobec niego nie zachował się niełójalnie, a co więcej, nie może się już bronić. Na szczęście bronią go jego teksty. Tak jak Autora powieści oskarża jego własny tekst. "Możemy raz na zawsze skończyć z tym lękiem przed słowami i dać możliwość naszym pisarzom ponoszenia odpowiedzialności za to co piszą, możliwość publikowania swoich wizji i poddawania ich pod publiczny osąd".

Leon Bober

---

Stanisław Esden Tempski: "Między sierpniem a młotem", Warszawa 1988, Wydawnictwo Przedświt, s. 116.

©

OKRĘGOWA WYSTAWA PLASTYKI "WROCŁAW '88"

Wrocławskie środowisko plastyczne dość szybko i skutecznie otrząsnęło się po ciosie jakim było pozbawienie go - wskutek powszechnie znanych decyzji - własnej reprezentacji i możliwości w miarę samodzielnego działania. Widowym tego dowodem była seria wystaw organizowanych przez Duszpasterstwo Środowisk Twórczych w kościele św. Marcina, wystawy w innych kościołach, szczególnie liczne w czasie Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, a wreszcie utworzenie w podziemiach wspomnianego kościoła św. Marcina stałego miejsca prezentacji plastyki współczesnej, galerii "Na Ostrowie".

Niemal równocześnie podjęto także przygotowania do znacznie bardziej ambitnych /w sensie organizacyjnym/ i spektakularnych /pod względem rezonansu społecznego/ przedsięwzięć. W efekcie, latem 1985 roku, w Wrocławiu na Ostrowie Tumskim odbyły się dwie duże imprezy plastyczne: I Krajowe Biennale młodych "Droga i Prawda" wraz z towarzyszącym mu sympozjum, a tuż potem Okręgowa Wystawa Plastyki "Wrocław '85". Obie wystawy miały z założenia odbywać się w cyklu dwuletnim, aby jednak nie przeszkadzać sobie nawzajem, organizatorzy uzgodnili, że "okręgówka" przesunięta zostanie o rok. I tak w maju 1987 r. otwarto II Krajowe Biennale Młodych, a Okręgowa Wystawa Plastyki odbyła się w roku 1988.

W odróżnieniu od w pełni skodyfikowanego sposobu organizacji Biennale Młodych, komisarze Wystawy Okręgowej przyjęli zasadę niemal całkowitej spontaniczności powstawania wystawy, ograniczając swoje działania wyłącznie do apelu do środowiska i przygotowania podstawowych pomocy technicznych.



W roku 1985 formuła ta znakomicie się sprawdziła, dając największą wystawę okręgową w historii Okręgu Wrocławskiego ZPAP, gromadzącą około 500 prac prawie 200 autorów. Była to przy tym wystawa - uwzględniając wszystkie przypadłości wynikające z całkowitej otwartości i braku jakiegokolwiek selekcji - o zaskakująco wysokim i wyrównanym poziomie artystycznym.

Niestety, tuż po zamknięciu Biennale Młodych, jesienią 1987 r., wrocławskie środowisko plastyczne spotkał kolejny cios, tym razem z najmniej oczekiwanej strony. Metropolita Wrocławski, Jego Eminencja Ksiądz Henryk Kardynał Gulbinowicz podjął decyzję o bezzwłocznym przekazaniu kościoła św. Krzyża - gdzie dotąd prezentowane były wszystkie większe wystawy plastyczne - do remontu, a liczne pokorne supliki o wskazanie innego miejsca umożliwiającego prezentację takich wystaw, zbywał propozycjami zakrawającymi na ponury żart.

W tej sytuacji komisarze i współorganizatorzy Okręgowej Wystawy Plastyki podjęli karkołomną decyzję, a właściwie dwie decyzje. Postanowili zaproponować kolegom plastykom udział w wystawie jednodniowej, prezentowanej w maleńkim kościele św. Marcina i w galerii "Na Ostrowie", ale głównie w plenerze, wokół tego kościoła - na murach, skarpach, trawnikach oraz ustawionym na przykościelnym placu specjalnym stelażu. Pogodę gwarantował imiennie jeden z komisarzy - Główny Meteorolog, Piotr Wieczorek. Była to jednak tylko pierwsza część planu - druga przewidywała przewiezienie prac do Warszawy i otwarcie tydzień później Okręgowej Wystawy Plastyki "Wrocław'88" w kościele /nomen omen/ Miłosierdzia Bożego, na Żytniej!

Plan się powiódł i przyniósł zaskakujące rezultaty. Te same prace prezentowane w różnych warunkach stworzyły dwa całkiem

odmienne wydarzenia. 26 czerwca br. około godziny 12.00 w chwili otwarcia "wrocławskiego wernisażu" lista uczestników zawierała 151 nazwisk i 305 prac. Wystawa wrocławska była przede wszystkim wydarzeniem społeczno-towarzyskim. Takich charakter nadała jej całodzienna obecność wystawiających artystów, ich przyjaciół i znajomych oraz tłumy wrocławian przewijające się przez teren wystawy do późnych godzin popołudniowych. Atmosferę pełnego luzu i zabawy podkreślał królujący na środku placu stół z domowymi wypiekami, które zresztą błyskawicznie zniknęły. Niewykluczone, że spowodowało to godny pożalowania incydent. Otóż pod wieczór, niektórzy nieodpowiedzialni uczestnicy wystawy zamierzali pożreć wykonane z chlebowej materii dzieło Christosa Mandziosa - na szczęście komisarze dali odpór. We wnętrzu kościoła i galerii zgromadzono przede wszystkim szkło, ceramikę, małe formy rzeźbiarskie i tkaninę. Na zewnątrz eksponowano malarstwo, rzeźbę, grafikę oraz obiekty i działania niekonwencjonalne. Tak więc reprezentowane były wszystkie rodzaje twórczości plastycznej, a także przedstawiciele wszystkich pokoleń i orientacji artystycznych. Trudno natomiast było tę wystawę obejrzeć. Szczególnie tę jej - główną przeciwieństwo - część, która ekponowana była w plenerze. Monumentalna architektura Ostrowa Tumskiego, będąca wspaniałą oprawą dla samej imprezy, odbierała siłę wyrazu nawet wielkim płótnom młodych neoekspresjonistów. Tak naprawdę wystawę rozumianą jako zbiór prac można było zobaczyć dopiero 3 lipca w warszawskim kościele na Żytniej. Liczne i różnorodne pomieszczenia domu parafianego i ich surowe mury, dawały neutralne tło zastrzymujące wzrok i pozwalały - mimo ogromnego pośpiechu - zaaranżować wystawę tak, że była ona nieporównywalnie bardziej czy-

telna. Zmiana miejsca ekspozycji okazała się szczególnie korzystna dla grafiki, wymagającej z natury rzeczy raczej kameralnych warunków, ale także dla malarstwa, które dopiero na Żytniej pokazało całe swoje bogactwo i zróżnicowanie. Swoistym wydarzeniem, które nico zbulwersowało uczestników warszawskiego wernisażu, był katalog zawierający, oprócz spisu autorów i ich prac, także fotoreportaż z imprezy wrocławskiej, a więc sprzed tygodnia. Sensację wywołał także Maciej Szczypka, który pojawił się w Warszawie wraz ze swoimi pracami "Na pochód" /flaga/ i "Rower" /rower/. Młody artysta nie chciał zdradzić czym przyjechał do Warszawy.

Ograniczona objętość tej relacji nie pozwala nawet na ogólne refleksje o samej materii wystawy, nie mówiąc już o pogłębionej analizie dzieł, tendencji artystycznych czy kondycji twórczej środowiska. Brak także miejsca na oddanie sprawiedliwości tym wszystkim, dzięki którym całe to skomplikowane przedsięwzięcie udało się nadspodziewanie. Niech więc w ich imieniu podziękowania przyjmą - wrocławski Duszpasterz Środowisk Twórczych ks. Mirosław Drzewiecki i proboszcz parafii Miłosierdzia Bożego ks. Wojciech Czarnowski. Bóg zapłać.

Jerzy Ryba

/Artykuł zdjęty przez cenzurę w n-rze 44  
"Tygodnika Powszechnego"/



Stanowczo za mało wiemy o tym kraju, jego skomplikowanych dziejach, efemerycznych wzlotach i długotrwałych upadkach. Literatura, którą tworzą Czesi i Słowacy, nie należy w Polsce do najlepiej znanych. Nie bardzo interesuje nas także film, plastyka, muzyka, teatr powstający w dzisiejszej Czechosłowacji. Ta głęboka obojętność, a nierzadko i lekceważenie w stosunku do najbliższego sąsiada Polski, wynika może z dzielących nas ciągle różnic - z odmiennej mentalności i jakże odmiennej, znacznie mniej "bohaterskiej" historii. Nawet to, co wydaje się podobne - jak choćby Praska Wiosna i Sierpień 80 - po dokładniejszej analizie odsłania nie mniej głębokie różnice: inny sposób, inny styl przeżywania i smakowania wolności.

Dobrze się stało, że akurat w dwudziestą rocznicę inwazji państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację trafia do rąk polskiego czytelnika "Praska orgia" Philipa Rotha. Z okazji rocznicy owego tragicznego w skutkach wydarzenia mówić się będzie o Czechach nieco więcej niż zazwyczaj i choćby z tej racji książeczka Rotha ukaże się nam jakby w ciekawszym kontekście.

Zachęcać do lektury nikogo nie trzeba, bowiem Philip Roth jest u nas autorem znanym, a nawet popularnym. Znacznie wcześniej przełożono sympatyczny, choć nieco banalny tomik "Goodbye Columbus", całkiem przeciętną powieść "Gdy była porządną dziewczyną", a stosunkowo niedawno - skandalizujący bestseller "Kompleks Portnoya". Odbiorca polski miał więc okazję poznać zarówno zalety, jak i słabości pisarstwa Philipa Rotha.



Jan Zieliński, tłumacz i autor posłowa, zwraca uwagę, że "Praska orgia" stanowi ripostę, a poniekąd i pastisz utworów Milana Kundery: "Roth cienko, z wyczuciem, transponuje niektóre kunderowskie motywy, podchwytyjąc myślowe i moralne słabości Kundery". Takie ujęcie nie wydaje się zbyt szczęśliwe. "Niezdolna lekkość bytu" jest bezprzecznie arcydziełem na miarę europejską, także wcześniejsze książki Kundery wypada zaliczyć do największych osiągnięć prozy czeskiej. Natomiast "Praska orgia" to po prostu powieść średniej klasy - miejscami irytująca i mialka, miejscami zabawna, w sumie dość nierówna i pozostawiająca czytelnikowi poczucie pewnego niedosytu. Dla mnie Philip Roth jest raczej pisarzem "grubej kreski", pozbawionym kunderowskiej delikatności, wrażliwości, subtelnej ironii, a przede wszystkim owej specyficznej zgola nostalgii - smutku i żalu wolnego od nienawiści.

Nie znaczy to oczywiście, by do "Praskiej orgii" nie warto było zajrzeć. Warto - ale z innych chyba powodów. Otrzymaliśmy bowiem ciekawy zapis, dokumentujący spojrzenie pisarza amerykańskiego na współczesną Czechosłowację. Zawsze w takich wypadkach zastanawiamy się, ile z naszej absurdalnej rzeczywistości są w stanie zrozumieć i zapamiętać przybysze z tamtego świata. Oczekujemy od nich może zbyt wiele, liczymy na cud, który przecież nie następuje i pewnie dlatego osądzamy tak surowo. Recenzent "Praskiej orgii" nie będzie pod tym względem wyjątkiem. Nie bardzo odpowiada mu i nie bardzo przekonuje wizja Pragi, jaka wyszła spod pióra Philipa Rotha. Stolica Czechosłowacji lat siedemdziesiątych okazuje się krajem spustoszoną, prawdziwą ziemią jałową. Mniej więcej normalnie toczącemu się życiu /mieszczańska "mała prywatność"/ wydali walkę opozycyjni artyści. Ale jest to walka toczona już po desperac-

136

ku, bez najmniejszej nadziei na zwycięstwo. Dla praskiej bohemy rozpoczął się okres autentycznej dekadencji.

Mniejsza nawet o to, że malowniczy i chwytny w zamierzeniu obrazek Pragi stworzony przez Rotha nie bardzo przystaje do rzeczywistości. Gorzej, że wszystko jest tu wykrzywione, uproszczone, naiwniutkie. Niepoważni /programowo/ są artyści, ale równie niepoważna tajna policja uprawiająca z zapalem swe błazeńskie gry. Jediną formą manifestacji nieposłuszeństwa wobec władzy ma być zapowiedziana w tytule seksualna orgia: "Piętnastoletnie dziewczyny przychodzą do Klenka. Ubierają się jak prostytutki, przyjeżdżają z miejscowości odległych o sto i dwieście kilometrów. Każdy szuka rozrywki, nawet uczennice. Lubi pan orgie, możemy pójść razem. Od wkroczenia Ruskich najlepsze orgie mają miejsce w Czechosłowacji. Mniej wolności, lepsze pieprzenie."

Nie dowiemy się, jak przedstawia się słuszność tej ostatniej sentencji. W ogóle nie doczekamy się orgii. Zamiast niej otrzymamy groteskowy mimo wszystko portret artystycznego getta, trawionego przez "toughę", bezkresną tęsknotę, młotającego się między pokusą emigracji a bezmyślnym trwaniem z dnia na dzień. Ale... przecież nie za takimi ludźmi ugania się najczęściej czeska służba bezpieczeństwa. To nie oni stanowią zagrożenie dla systemu, to nie im zakłada się w mieszkaniu podsłuch. Gdyby opozycyjność manifestowano jedynie zniechęceniem i dekadencją, dyktatura mogłaby odechnąć z ulgą.

W zakończeniu "Praskiej orgii" jeden z wysoko postawionych funkcjonariuszy reżimowych, "Kulturminister" Novak, udziela bezradnemu i mocno wystraszonemu przybyszowi z wolnego świata krótkiej lekcji czeskiego "patriotyzmu":

"Czy pan wie, jak mój ojciec przez całe życie wyrażał swą miłość do ojczyzny? W 1937 słauił Masaryka i republikę - Masaryka jako naszego wielkiego bohatera narodowego i wybawcę. Kiedy przyszedł Hitler, wysławiał Hitlera. Po wojnie słauił Benesza, kiedy wybrano go premierem. A gdy Stalin obalił Benesza, słauił Stalina i naszego wielkiego przywódcę Gottwalda. Nawet jak nadszedł Dubczek, przez chwilę wysławiał Dubczeka. Ale teraz, kiedy odszedł Dubczek i jego wielki rząd reform, nawet mu przez myśl nie przejdzie ich chwalić."

Czyżby to aluzja pod adresem owych prawie nieobecnych w książce Rotha milionów, którym wystarcza do szczęścia kufel piwa i fajka? Z drugiej strony zwróćmy jednak uwagę, że cytowana wypowiedź koresponduje z rozpowszechnionym wśród Polaków stereotypem obywatela Czechosłowacji. Naturalnie stereotypem w większej części fałszywym, ale po dziś dzień pokutującym w naszej świadomości. Kiedy piszę te słowa, w Pradze odbywają się akurat manifestacje. Chociaż minęło dwadzieścia lat, nasi sąsiedzi mają odwagę pamiętać, że zdarzył im się kiedyś cud w postaci "Praskiej Wiosny".

Stanisław Krzysztofowicz

---

Philip Roth: Praska orgia. NOWA, Warszawa 1988.





# FELIETONY

LEOPOLITA

MOIM ZDANIEM...

O równouprawnieniu wszystkich sektorów gospodarki polskiej /ma być ich trzy/ mówi się powszechnie i oczywiście "za". Ja jestem przeciw, ponieważ postulat ten nic nie znaczy. Co postaram się wykazać, w poetyce felietonu, rzecz jasna.

Przede wszystkim sama nazwa "gospodarka trójsektorowa" należy do nowomowy. "Sektory" państwowy, spółdzielczy, prywatny być może istniały do tzw. bitwy o handel, którą komuniści wydali gospodarce polskiej. I odnieśli zwyciężkę większą niż wiedeńska. Od czterdziestu zatem lat "sektory" istnieją w nowomowie, bo poza nią ich egzystencja ma dość szczególny charakter. Można na przykład powiedzieć, że państwowy istnieje w nadmiarze, zaś spółdzielczy nie istnieje w ogóle. O państwowym nie będę pisał, bo to każdy widzi. Spółdzielnie zaś, to w większości swej przedsiębiorstwa państwowe a także czysto partyjne /"Książka i Wiedza", zdeglomerowana RSW "Prasa"/. Znikoma ich mniejszość, to ukryte przedsiębiorstwa prywatne. A "sektor prywatny"? O nim właśnie, a dokładniej o jego części nierolniczej, chciałbym napisać nieco obszerniej.

Jestem jak wiadomo, zwolennikiem gospodarki kapitalistycznej. Za jedną z



najważniejszych przemian świadomości społecznej ostatniego pięciolecia uważam radykalną zmianę stosunku sporej części społeczeństwa do inicjatywy prywatnej. Zauważyć przytem należy, że zmiana ta dokonała się żywiołowo, a w każdym razie nie była skutkiem działań najbardziej znanych przywódców opozycji przedsierniowej oraz legalnej "Solidarności". Jest ona owa przemiana świadomości raczej skutkiem przegranej "S" oraz cichego samopochówka "samorządnej Rzeczypospolitej". O tej ewolucji poglądów zarówno "szarych ludzi" jak i znacznej części aktywnej opozycji warto by napisać, czym się może kiedyś zająć. Tu chciałbym jedynie zwrócić uwagę, że emigracja oprócz innych aspektów, jest również najbardziej radykalnym sposobem głosowania za gospodarką rynkową i z tego punktu widzenia w całości jest emigracją polityczną.

A teraz o "sektorze prywatnym" gospodarki PRL nieprzyjemnych uwag kilkoro.

Po pierwsze, jest to "sektor" zarażony wieloma chorobami socjalizmu, a przede wszystkim niechlujstwem, chamstwem, niesłownością. /Opowiadanie Ferdynanda Goetla Słowo kupieckie Huseina Hodży, to bajka z innego świata./ Skąd wspomniane schorzenia "sektora prywatnego" łatwo zrozumieć, jeśli zważyć, że jest to taka wytwórczość, handel oraz usługi, które działają w warunkach braku konkurencji oraz chronicznego w kulturze polskiej niedowładu ethosu mieszczańskiego.

Po drugie, jest to "sektor" personalnie srośnięty z aparatem władzy. Koncesje, surowce, ulgi otrzymuje się dzięki "szwagrowi", który jeśli nawet nie jest faktycznym, cichym współnikiem, to i tak ciągnie z takiego pokrewieństwa korzyści. A "szwagier" z reguły jest urzędnikiem państwowym lub partyjnym zajmującym odpowiednią strategiczną pozycję. Do tego

dodać należy usadowioną w inicjatywie prywatnej sporą ilość ubeckich emerytów, którzy zachowali jakżesz korzystne dawne koneksje. Związki te objęte są znową milczenia; wydaje się jednak, że zasięg swoistej, policyjnoprywatnej wspólnoty jest w peerelu znacznie szerszy, niż to sobie na ogół wyobrażamy. Powiadają niektórzy, że taki układ, czy też układy rozkładają aparat władzy i są korzystne. Zapewne. Ale sądzę, że w większym stopniu rozkładają one coś, co nazwać można zdrową tkanką inicjatywy prywatnej. Nie będąc zagrożona przez konkurencję i funkcjonując dzięki zrostom z aparatem państwa socjalistycznego staje się zespolonym z systemem potworkiem. Kapitalizmem-liliputem, który żyć nie może bez socjalizmu, cokolwiek by na ten temat deklarowali krakowscy i poznańscy liberałowie.

Ale dlaczego liliput?

Ano dlatego i to jest trzecia, patologiczna cecha "sektora prywatnego", że w naszych warunkach prywatny producent nie może być nastawiony na wzrost przedsiębiorstwa, nie może przeznaczać zysku na inwestycje. I wobec czego przeznacza go na tezauryzację, łapówki oraz konsumpcję. Jest to zatem potencjalny olbrzym skazany na absurdalną i sprzeczną z naturą egzystencję liliputa. Która to sytuacja deprawuje i nie ma nic wspólnego z hasłem "małe jest piękne".

W tych okolicznościach hasło "równouprawnienie sektorów" w najlepszym wypadku może być słownym wybiegiem, posługiwaniem się w rozmowie z komunistami językiem dla nich zrozumiałym i strawnym. Obawiam się jednak, że najczęściej postulat ten traktowany jest poważnie. A o jakim równouprawnieniu może tu być mowa? Kogo z kim? Monopolisty bankowości, surowców, handlu zagranicznego, nieistniejącej

spółdzielczości i skazanych na karłowatość "prywaciarzy"? Równouprawnienie gigantycznego wytwórcy marnotrawstwa, zatrudniającego ponad dwie trzecie polskiego salariatu z "sektorem", który nie wytwarza więcej niż 10 procent dochodu narodowego? Wolne karty.

Ten stan rzeczy ma swoje ideologiczne zaplecze. Bez przesady można powiedzieć, że jest nim jedno zdanie Lenina z broszurki "Dziecięca choroba 'lewicowości' w komunizmie". "/.../Drobnej produkcji — pisał twórca "gospianu", "czerezwyczajki", "prodnałoga" i innych, nie tylko językowych wspaniałości — pozostałe na świecie niestety jeszcze bardzo dużo, a drobna produkcja stale, co dzień, co godzina, żywiłowo i w skali masowej r e d z i kapitalizm". O gospodarczych skutkach tego poglądu nie będę pisał mamy z nimi do czynienia na co dzień. Pozwolę sobie natomiast zwrócić uwagę na zabawną drobnostkę. Otóż część naszych liberałów zachowuje się tak, jak gdyby sami wpadli na powyższy pomysł, lub też uwierzyli Leninowi.

A tymczasem za cytowane zdanie jest w ożywisty sposób nieprawdziwe. Drobna wytwórczość rodzi kapitalizm tam, gdzie pozwala jej na to państwo. A więc nie w socjalizmie. Socjalizm bowiem nie tylko dysponuje mechanizmami skutecznie hamującymi rozwój drobnej wytwórczości, lecz nadto zarządza ją różnymi brzydkimi chorobami. I ludzie, którzy jak niżej podpisany są zwolennikami kapitalizmu powinni o tym wiedzieć. A pewna część naszych liberałów nie wie lub udaje, że nie wie.

Z dopuszczalną w felietonie słośliwością powiedzieć można, że aktywna opozycja w Polsce zarządza jest leninizmem, a ściśle dwiema, skądinąd sprzecznymi tezami Lenina. Część opozycji wierzy w prymat polityki

142



nad ekonomiką, w związku z czym tą drugą w ogóle nie raczy się zajmować. Inna jej część wierzy z kolei w automatyzm narodzin kapitalizmu. Ci skłonni są sferę polityczną naszego życia pozostawić w gestii komunistów, a przynajmniej nie wojować z nimi o sprawy polityczne, bo te same się załatwią, w momencie, w którym drobna wytwórczość nabierze rumieńców. Jednym i drugim powiedzieć mogę: "nie ma letko, panowie". Czerwony tak urządził kraj, że bez połączenia działań politycznych z programem gospodarczym możemy jedynie urządzać patriotyczne manifestacje na cmentarzach, bezpłodne dyskusje w klubach oraz bankiety dla właścicieli warsztatów, fabryczek i butików. A to, jak na uratowanie kraju, jakby trochę za mało.

L.

30.X



ANDRZEJ OSEKA

### ZAMET W SYMBOLACH

Wygląda, że okragły stół pozostanie w przestrzeni dziejowej nie jako wydarzenie polityczne, próba kompromisu między dwoma będącymi dziś w Polsce narodami: narodem wasali i narodem ceniącym niepodległość - lecz po prostu jako mebel, który stoi sobie w pałacu w Jabłonie.

Mam wrażenie, że wiadomo, po co dzierżącym władzę było wykonanie tego przedmiotu: chcieli mieć materialny dowód swych najlepszych chęci. Że do narodowego porozumienia przygotowywali się serio - zabrali się przecież do roboty, natrudzili, wyniki można zobaczyć, postukać w blat.

Swoją drogą - chciałbym sobie obejrzeć ten mebel. Jaki jest - jasny czy ciemny? Z litego dębowego drewna, czy też okładany



fornirem z orzecha lub brzozy karelskiej? Jaki styl udaje - bo jakiś udaje na pewno: wytworny empire czy pocziwy biedermeier? Niech nikt nie sądzi, że przesadzam, przywiązując wagę do formy tego rekwizytu ze sztuki, której nie zagrano: na pewno przejdzie on do historii, jak dzwon, co nigdy nie dzwonił, armata, co nigdy nie wystrzeliła - pomniki pychy i pogardliwego traktowania poddanych. Będą może kiedyś ten stół obchodzić wokoło wycieczki, tak jak dziś oglądają na Kremlu pękniętą armatę i wyszczerbiony dzwon.

Zapomniano - rzecz ciekawa - o krzesłach, bez których zasiąść do stołu nie można. Zapewne, jest ich w pałacu w Jabłonie dosyć, ale czy pasują do stołu? Nie na ten temat nie wiemy, jakby przeoczono ten szczegół.

Od rzeczy niewielkiej w końcu, choć sporej jak na sprzęt tego rodzaju, przejdźmy do rzeczy dużej: stocznia. Też symbol, ale całkiem inny - rzeczywisty, z długą historią, a przy tym zamieszkały przez kilkanaście tysięcy ludzi, do tego produkujący statki, gdy wraca światowa koniunktura w przemyśle stoczniowym. Symbolem jest tu wiele rzeczy: brama, w sierpniu '80 obwieszona transparentami i kwiatami, taranowana czołgami po 13 grudnia; sala BHP, gdzie zawarto Porozumienia; pewien pracujący w stoczni elektryk; wreszcie pomnik tuż przed bramą, o którym prostytutki dziennikarskie piszą "Pomnik stoczniovców", jakby to było coś w rodzaju posagu "Robotnik i kołchoźnica" z WDNCh w Moskwie, a nie znak pamięci o poległych w Grudniu '70.

Tutaj też kilka lat temu M.F.Rakowski na spotkaniu ze stoczniovcami sformułował historyczne przypuszczenie, że pasałby krowy, gdyby nie nadejście przodującego ustroju. Ten sam M.F.Rakowski, gdy tylko został premierem oświadczył, iż jeśli spadnie - to z wysokiego konia /obsesja inwentarza

jednak mu została/ - po czym nakazał zamknięcie stoczni w tempie piorunującym, dającym się porównać tylko ze spalaniem lub zburzeniem. Wkrótce co prawda odstąpiono od tego, likwidacja stoczni-symbolu potrwać ma dwa lata, jednak pamięć o pierwszym szczerym odruchu zemsty tak łatwo nie minie.

Zwłaszcza, że - jak sędzę - cała sprawa likwidacji stoczni nie jest bynajmniej zakończona: to symbol zbyt wielki, zbyt materialny, by można było go zniszczyć, nie pozostawiając śladu. Łatwo sobie wyobrazić te dziesiątki tysięcy ludzi wyrzucanych z hal, szukających pracy; bezużyteczne niszczące budynki, doki, dźwigi. Taki wielohektarowy wrak, nowy hotel Bristol, nowy "złočisty wieżowiec" - tylko zajmujący wyjątkowe miejsce w dziejach walki między robotnikami a zarządcami w PRL.

Z innymi symbolami jest łatwiej. Odbyma się teraz festiwal siedemdziesiątej rocznicy Niepodległości; jest to chwilami tak nieznośne, tak wrzaskliwe jak niedawno jeszcze rocznice urodzin Lenina, Manifestu 22 Lipca, Rewolucji Październikowej etc. Sprawa nie przedstawia się jednoznacznie: także i w cenzurowanej prasie, kontrolowanych salach wykładowych mówi się bardzo wiele prawdy o tym, jak wyglądała nasza Niepodległość i z kim musieliśmy o nią się bić; jednak - równolegle - rozwija się kampania zawłaszczania symboli niepodległości prawdziwej przez propagandzistów Układu Warszawskiego, zacierania różnicy między suwerennością pełną i suwerennością częściową /jak częściowo świeży śledź/.

Poczta Polska wydała z tej okazji serię znaczków, od której przewracają się flaki: są tu portrety związanych z walkami o Niepodległość mężów stanu. Otóż obok Piłsudskiego, Witosa - jest tutaj Julian Marchlewski. Ten sam Julian Marchlewski, który w wojnie młodego państwa polskiego przeciw

bolszewikom znajdował się po przeciwnej stronie linii frontu niż Piłsudski i Witos - po stronie najeźdźcy. Był przewodniczącym Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, ustanowionego przez władze sowieckie nawet bez porozumienia z krajową Komunistyczną Partią Robotniczą Polski. Komitet Marchlewskiego wzywał polskich żołnierzy: "Twórcie Rady Żołnierskiej! Bierzcie do niewoli swych oficerów i spieszcie w jednych szeregach z Armią Czerwoną do Warszawy...".

Mennica PRL przystępuje do bicia monety srebrnej z wizerunkiem Marszałka Piłsudskiego. Warto wiedzieć, że autorem wizerunku jest Bogdan Chmielewski, ten sam, który oszpecił Warszawę poświęconym UB i MO gigantycznym pomnikiem wyjątkowej brzydoty, stojącym na placu Żelaznej Bramy. Filipiński gra Marszałka w kinie, to znów Chmielewski go rzeźbi. Jest w tym pewna prawidłowość, i - powiedziałbym - duża doza przesady.

A jednocześnie niezależne obchody siedemdziesięciolecia Niepodległości zostały spałowane przez tych, którym na placu Żelaznej Bramy wystawiono pomnik. Spałowane - w imieniu Marszałka, będącego już własnością spadkobierców Marchlewskiego, /którym się przecież szczyć znacznie dłużej, niż Marszałkiem/.

Doprawdy, w sferze symboli panuje u nas znaczny zamęt.

Andrzej Oseka

# DOKUMENTY

## BIAŁE KRZYŻE

"Jeśli najbardziej nawet interesujące i ważne wydarzenia historyczne nie zostaną utrwalone przez świadków na piśmie, to pamięć o nich trwa zwykle tylko jedno pokolenie, a potem ginie."

Jan Długosz

Pola 81 A i 120 /dawne 83/ na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu, najbardziej oddalone od głównego wejścia i kaplicy cmentarnej, to miejsca wiecznego spoczynku ofiar terroru stalinowskiego. Tutaj w latach 1945-1953 grzebano więźniów, którzy po haniebnych wyrokach Rejonowego Sądu Wojskowego ginęli w wyniku przeprowadzanych egzekucji, umierali na skutek przejść w czasie śledztwa lub ciężkich warunków w więzieniu. Grzebano ich nocą. Więźniowie pod nadzorem strażnika kopali dół, by następnie z blazowanej trumny na kółkach zrzucić zwłoki do grobu. W starej księdze cmentarnej można odnaleźć przy nazwiskach /tak właśnie chowanych zmarłych/, adres ostatniego miejsca zamieszkania: "Więzienie nr 1" /ul. Kleczkowska/. Jeśli tej samej nocy grzebano kilku więźniów, nazwiska ich w księdze łączono kłamrą. Rodziny nie były powiadamiane ani o czasie, ani też o miejscu pochówku.



Ludzie wspominają, że już wówczas tę część cmentarza, gdzie znajdowały się groby bez krzyży nazywano "polami politycznych". Z czasem grobów przybywało. Na niektórych pojawiły się brzożowe krzyże, a na nich napisy: "Zmarł tragicznie", "Zamęczony", "Zmarł w więzieniu". Daty urodzin i śmierci wskazywały, że większość tu pochowanych stanowili ludzie młodzi.

Z upływem czasu groby zaczęły się zapaść, a niektóre zostały nawet zadeptane. Pola 81A i 120 zarastały dziko akacjami i chwastami. Osoby, które odnalazły tam swoich bliskich wspominają, że dojście do tych grobów nie było łatwe. Trzeba było torować sobie ścieżkę sekatorem - "Tam była dżungla". Na Wszystkich Świętych - wspominają niektórzy - wśród zarośli widać było światełka palących się zniczy, ale mało kto miał odwagę tam pójść - stamtąd "wiało grozą".

W latach 60. zaczęto stawiać nagrobki, przybywało krzyży, jednak większość grobów po dzień dzisiejszy pozostała bezimienna. Po Sierpniu, na Wszystkich Świętych 1980 roku, przyjaciele i koledzy ofiar postavili na polach 81A i 120 duży brzożowy krzyż z białą-czerwoną szarfą, który jednak nieznane ręce usunęły nocą. Powtarzało się to w latach następnych. Pod krzyżem palono znicze, wspominano pomordowanych. Układano z kasztanów i żołądzi krzyże wraz z białoczerwonymi chorągiewkami i znakiem V zaczęły się też pojawiać na mogiłach zapomnianych.

W 1987 roku sprawa grobów osobowickich nabrała rozgłosu i wzbudziła szerokie zainteresowanie społeczeństwa wrocławskiego. Groby zostały odnowione przez spontanicznie tworzone zespoły ludzi, przy szczególnym udziale duszpasterstwa kościoła p.w. Św. Klemensa Dworzaka z Alei Pracy. Wykarczowano dziko rosnące chaszcze, odtworzono

148

pozapadane w ziemię mogiły, ustawiono BIAŁE KRZYŻE. Na Wszystkich Świętych w 1987 roku groby zostały ozdobione biało-czerwonymi chorągiewkami i szarfami. Umieszczono też informację, że spoczywają tu pomordowani w latach terroru stalinowskiego żołnierze AK i więźniowie polityczni. Została odprawiona Msza św. z żałobną procesją i poświęceniem grobów. 1 sierpnia 1987 i 1988 roku w rocznicę Powstania Warszawskiego oraz 11 listopada 1987 roku w rocznicę odzyskania niepodległości Polski odbył się Apel Poległych. Śpiewano pieśni religijne i patriotyczne, deklamowano okolicznościowe wiersze. Ci, dla których los okazał się łaskawszy i którzy przeżyli gehennę tamtych lat wspominali losy przyjaciół spoczywających w tych mogiłach. Dziś na grobach zawsze można znaleźć świeże kwiaty i palące się znicze.

Po tylu latach, w ciągu których czas i ludzie starali się zatrzeć ślady historii tamtych dni, losy pochowanych na polach 81A i 120 cmentarza osobowickiego ożyły ze wzmoczoną siłą. Bowiem krzywdy, które nie zostały zadośćuczynione, trwają w ludzkiej pamięci. Nawet w prasie pojawiły się artykuły i listy. Obecnie zaś Galeria Muzeum Archidiecezjalnego na Ostrowiu Tumskim umożliwiła zorganizowanie wystawy. Dzięki rodzinom, przyjaciołom i kolegom ofiar udało się zebrać, prócz wielu spisanych wspomnień także różne pamiątki po zmarłych - listy z więzienia, krzyżyk i różaniec z więziennego chleba, osobiste dokumenty i korespondencję, urzędowe pisma.

Na podstawie zebranych dotąd dokumentów i świadectw wiemy już dzisiaj, że wśród ofiar spoczywających na polach 81A i 120 byli ludzie wyróżniający się patriotyczną postawą, osoby wybitne, cieszące się autorytetem w swoich środowiskach. Wymienimy kilku: Henryk Piotrowicz - oficer, Powsta-

niec Wielkopolski, żołnierz Września 1939, następnie jeńiec; Henryk Szwejcer - działacz plebiscytowy okresu odrodzenia Państwa Polskiego, odznaczony "Wielką Gwiazdą Śląską" i "Krzyżem Zasługi Związku Powstańców Śląskich", żołnierz AK; Alfons Jabłoński - oficer p.p.Leg., żołnierz Września 1939, Komendant Szkoły Podchorążych Chorągwi Warszawskiej, mjr, szef Wydziału III Operacyjnego Sztabu Komendy Okręgu Lwów AK, zasłużony dla Szarych Szeregów, zastępca prezesa Okręgu Dolnośląskiego /Lwowskiego/ WiN; Ludwik Marszałek - kpt. AK, ps. "Zbroja", komendant Obwodu AK Dębica, żołnierz WiN; Władysław Cisek - ochotnik Września 1939, żołnierz WiN, student i asystent Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej.

Losy ludzi pochowanych na polach 81A i 120 cmentarza osobowickiego są nierozdzielnie związane z losem narodu polskiego. Byli oni wierni swoim ideałom i Ojczyźnie aż do ofiary życia. Pamięć o nich nie może zagaść. Mamy obowiązek utrwalić ją i przekazać następnym pokoleniom. Dlatego ważna jest każda pamiątka, każde wspomnienie, listy, nawet skrawek papieru. Bo tylko w ten sposób odtworzyć można prawdę. Dziś wiele już wiemy o "sprawiedliwości" sądów okresu stalinowskiego, o sfingowanych procesach i fałszywych oskarżeniach.

Dobrze się stało, że wystawa została otwarta w listopadzie. Jest to miesiąc refleksji i zadumy, pamięci o tych co odeszli, miesiąc w szczególny sposób związany z historią Polski. W tym roku przypada właśnie 70. rocznica odrodzenia wolnego i suwerennego Państwa Polskiego, okupionego krwią licznych pokoleń żołnierzy Niepodległej. Jej żołnierzami byli także i Ci, którzy spoczywają na polach 81A i 120 cmentarza Osobowickiego. Organizatorzy wierzą, że wystawa ta przyczyni się do rozszerzenia naszej wiedzy o przeszłości, że odnajdą

się ludzie, którzy będą mogli wypełnić puste miejsca w obrazie tamtych lat. Dlatego dano jej tytuł - "ZMARLI ZOBOWIĄZUJĄ ŻYJĄCYCH".

Wykaz artykułów o ofiarach terroru stalinowskiego pochowanych na polach 81A i 120 Cmentarza Osobowickiego we Wrocławiu:

1. Tomasz Szymański, Narodziny pewnej legendy, Gazeta Robotnicza nr 45/12029/, Dziennik PZPR Wrocław 24 lutego 1988.
2. Piotr Biernat, Biała plama, TAK i NIE nr 10/254/, Tygodnik Społeczno Kulturalny Katowice 4 marca 1988
3. Danuta Skraba, W każdej legendzie jest ziarnko prawdy, Nowe Życie nr 8/123/, Dolnośląskie Pismo Katolickie 10-23 kwietnia 1988.
4. Adam Cyra, Listy do redakcji. Biała plama, TAK i NIE nr 15/259/ Tygodnik Społeczno Kulturalny Katowice 8 kwietnia 1988.
5. Zofia Petryka, Listy do redakcji. Tragiczne losy, TAK i NIE nr 16/260/ Tygodnik Społeczno Kulturalny Katowice 8 kwietnia 1988.
6. Zbigniew Łazarowicz, Powiedz Polsce, Tygodnik Powszechny nr 18/2027, Katolickie Pismo Społeczno Kulturalne, Kraków 1 maja 1988.
7. prof.dr inż. Jerzy Węgierski /Katowice/, Listy do redakcji. Jeszcze jeden grób, Tygodnik Powszechny nr 27/2036/ Katolickie Pismo Społeczno Kulturalne, Kraków 3 lipca 1988.
8. Tomasz Szymański, Ustalić wszystko co możliwe, Gazeta Robotnicza nr 184/12168/ Dziennik PZPR Wrocław, 10 sierpnia 1988.
9. /wi/, Analizowane są dokumenty, Słowo Polskie nr 185/12743/ Wrocław-Jelenia Góra - Legnica - Wałbrzych, 11 sierpnia 1988.



10. Wacław Dominik, Dociec prawdy, Sprawy i Ludzie nr 34/333/, 25 sierpnia 1988.
11. Jadwiga Stasiak ps. Stokrotka, Groby o których trudno zapomnieć, Nowe Życie nr 23/138, Dolnośląskie Pismo Katolickie, 6-19 listopada 1988.

Alfabetyczny wykaz osób pochowanych na polach BIA i 120 Cmentarza Osobowickiego we Wrocławiu według stanu wiedzy na dzień I.XI.1988 r.

Bachura Władysław	Jaremek Stanisław
Baranowski Kazimierz	Jaszczy .../1/
Baranowski Mieczysław	Kałuża Mieczysław
Bator Stanisław	Klamut Jan
Bielec Mieczysław	Kmiecikiewicz
Bielec Tadeusz	Eugeniusz
Bielecki Bronisław	Kołodziej Józef Emil
Borówka Wacław	Komorowski Wiktor
Bujak Mieczysław	Komorowski Bogdan
Buryk ...ysła.../1/	Komorowski Jerzy
Chabiński Jan	Konopielko Jan
Cisek Władysław	Kozak Bronisław
Delimat Stanisław	Kozioł Stanisław
D...niuk Franciszka/1	Krawczyk Edward
Deszwecka Stanisława	Krejczyk Marian
Dudkiewicz Ryszard	Kubiak Stanisław
Dydo Stanisław	Lachowicz Tadeusz
Florczak Roman	Leszczyński .../1/
Frydland Jakub	Łapiński Kazimierz
Gaik Zdzisław	Łysakowski Bogdan
Gasiuk Antoni	Mach Stanisław
Gawart Wincenty	Majewski Wilhelm
Gdula Mieczysław	Marczak Ignacy
Gębik Władysław	Marszałek Ludwik
Głapa Leokadia	Masiowski Józef
Gorzelański Józef	Masiej Bolesław
Gardziński Julian	Michalec Antoni
Hadrys Stanisław	Modliński Jerzy
Hebda Stanisław	Moryl Ludwik
Iwaton Stanisław	Napiórkowski Bolesław
Jabłoński Alfons	Nowak Tadeusz
Jagoda Andrzej	Oczakowski Tadeusz

Oleaczek Władysław  
 Oskierko Kazimierz  
 Panas Tadeusz  
 Pawełko Zachariasz  
 Pawłowski Janusz  
 Pawłowski Włodzimierz  
 Piechota Ireneusz  
 Pietrowicz Henryk  
 Pisulewski Walery  
 Plichta Czesław  
 Polarczyk Feliks  
 Preputyń Władysław  
 Pudysz Michał  
 Pyszorska Janina  
 Radłowski Józef  
 Rupicz Mikołaj  
 Rybicki Kazimierz  
 Sikorski Marian  
 Sito Henryk  
 Skibniecki Mieczysław  
 Skorobатов Jerzy

Stankiewicz  
                     Władysław  
 Szachniewicz Józef  
 Szakał Stanisław  
 SztTyler Mieczysław  
 Szejcer Henryk  
 Szym... .. /1/  
 Tomaszewska Irena  
 Trzaska Zdzisław  
 Turski Włodzimierz  
 Urbanowicz Henryk  
 Wachowicz Tadeusz  
 Waserman Henryk  
 Wasielewski Stefan  
 Wawer Bronisław  
 Wielgus Marian  
 Wilczak Seweryn  
 Wiśniowski Emil  
 Ziemkiewicz  
                     Franciszek  
 Żuk Edward

/1/ Słaba czytelność napisu na mogile.

Wykaz nie obejmuje wszystkich ofiar pogrzebanych na Cmentarzu Osobowickim z uwagi na brak dostępu do ksiąg cmentarnych.

Tekst przeznaczony do katalogu wystawy  
 "Zmarli zobowiązują żyjących" /Cmentarz  
 Osobowicki we Wrocławiu - pola 81A i 120.  
 Miejsce wiecznego poczynku ofiar stalinow-  
 skiego terroru 1945-1953/, czynnej od 11.XI  
 do 11.XII.1988 r. w galerii Na Ostrowie  
 Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu.

# WYDARZENIA

## WIENIEC I PAŁKA

Wieniec - "od Narodu" - złożył w południe na grobie Nieznanego Żołnierza gen. Wojciech Jaruzelski w asyście swoich podkomendnych. Pałki wyciągneli wieczorem, inni pod komendą gen. Jaruzelskiego, kiedy naród w kościołach i na pochodach świętował 70 rocznicę odrodzenia państwa polskiego. W południe kompania honorowa. Wieczorem - kompanie ZOMO. Tak skończyła się próba upaństwowienia święta narodowego.

Bardzo późno, jak na PRL-owskie zwyczaje, ogłoszono skład ogólnopolskiego komitetu honorowego obchodów 70 rocznicy odzyskania niepodległości - nazajutrz po uroczystościach. Zazwyczaj prasa publikuje taką listę z miesięcznym wyprzedzeniem. Tym razem pośpieszył się Kościół i na miesiąc wcześniej powiadomił o powołaniu swojego komitetu honorowego; może z tego powodu nastąpiła zwłoka, a może do końca ważyły się decyzje, jak wielką oficjalną rangę nadać uroczystościom. W każdym razie w składzie komitetu Jaruzelskiego nie znalazłem nazwiska obercenzora PRL, a to on - moim zdaniem - był bohaterem oficjalnych obchodów, bowiem publikacje "zwolnione" przez urząd kontroli pozostaną trwałym dorobkiem rocznicy. Książki Piłsudskiego i o Piłsudskim /cokolwiek sądzić o ich doborze/, o Dmowskim, o dążeniach niepod-

ległościowych Polaków w dobie Wielkiej Wojny, publicystyka PRL-owskich historyografów i garść przedruków emigracyjnych publikacji w czasopiśmie /np. Duraczyński w "Trybunie Ludu" i Pobóg Malinowski w "Życiu Literackim"/, a wreszcie "odblokowanie" zakazanych tematów jak obrona Lwowa i wojna polsko-sowiecka 20 roku.

To zasługi cenzora. Wydział Propagandy KC też zapisał swój udział. W przeddzień rocznicy gazety partyjne "zadziały" ofensywnie, zgodnie z najlepszymi wzorami i tradycjami pionu agitprop. Oto zbliża się dzień narodowego święta, które uczcimy w nastroju patriotycznej zadumy i powagi - zarządzono w komentarzach. Są jednak określone siły i koła, które chcą na rocznicy zbić kapitał polityczny i wygrać obchody przeciwko państwu i władzy ludowej. "A czymże jest takie działanie jak nie deprecjonującym się wzajemnie czynnikiem w obu nurtach naszej tradycji? Pogłębiającym społeczne poczucie rozdarcia i wynikającej stąd głębokiej frustracji?" "Dziś, kiedy zdecydowanie odrzucono sekciarski, jednostronny sposób widzenia nie tylko teraźniejszości, ale również przeszłości, trzeba chyba równie stanowczo odrzucić dawne praktyki obchodzenia świąt narodowych i różnych rocznic nie pod kątem tradycji i świadomości całego narodu, ale na rzecz jakiejś jednej grupy, formacji politycznej, przeciwko innej".

Godne słowa, nie ma co mówić. I słuszna sprawa. Gen. Jaruzelski, posyłając oddziały Ludowego Wojska Polskiego z rozkazem zaprowadzenia w kraju stanu wojennego, przebrał je w rogatywki. Teraz znów, awansując dzień 11 listopada do rangi święta państwowego, przeciw zwolennikom niezależnych uroczystości postawił w stan pogotwia ZOMO. Na razie jeszcze nie w roga-



tywkach tylko w hełmach z pleksiglasowymi przyłbicami, ale w takiej samej, patriotycznej misji. Znam przedsiębiorstwo, w którym zarządzono obowiązkowy udział pracowników w akademii "z okazji" 11 listopada. To nie odosobniony wypadek. W całej Polsce zarządzono obowiązkowy udział /choćby za pośrednictwem telewizji/ w państwowej akademii. Dawniej karano za udział, dziś ściga się absencję. Ci sami ludzie przewodzili wczoraj, co dziś. Władza zarzuca opozycji, że wszczyna walkę na daty. Ale dlaczego miałbym świętować wspólnie z tymi, którzy dawniej prowadzili walkę na mandaty?

## PRAWO O STOWARZYSZENIACH

Ogłoszono projekt ustawy, wezwano do udziału w społecznej konsultacji. Projekt opracowała komisja państwowo-kościelna, o ostatecznym kształcie ustawy zadecyduje Sejm. Społeczna konsultacja to piękna i pożyteczna rzecz, tyle że w tym przypadku mało sensowna. Punkty sporne ujęto w projekcie w postaci wariantów. Pierwszy wariant oddaje stanowisko rządu. Drugi - czyli pochodzący od kościelnych delegatów do komisji - odzwierciedla aspirację społeczne. Społeczny udział w wyborze wariantów mógłby się wyrażać za pośrednictwem plebiscytu lub referendum, z dyskusji, której wynik nie będzie wiążący dla ustawodawcy, niewiele wyniknie. Nie wiemy bowiem, co zrobi Sejm, możemy jednak nie mieć złudzeń, że w sporze między państwem i społeczeństwem weźmie stronę społeczeństwa. Problem polega więc naprawdę na gotowości władz do ustępstw.

Na czym - najkrócej - polega konflikt? Obowiązujące do tej pory rozporządzenie Prezydenta z 1932 roku /nb. chyba najstarszy przepis obowiązujący w PRL/ oddawało

wyłączność decyzji w sprawie legalizacji stowarzyszeń administracji państwowej, a ta - jak wiemy - wykorzystywała swe uprawnienia przede wszystkim do ograniczenia zakresu swobód obywatelskich. Najczęściej maskowała samowolę przy pomocy wyrażenia - wytrycha: "interes społeczny". Ostatnio były także w użyciu równie nieostre pojęcia, jak "spokój publiczny" i "porządek prawny". Od wyroków administracji nie było odwołania, bo trudno poważnie traktować możliwość zaskarżenia decyzji do ministra spraw wewnętrznych, skoro i tak ważne postanowienia zapadały w MSW.

Strona kościelna podczas pracy nad projektem ustawy kierowała się zasadą, że jedynym ograniczeniem swobody zrzeszania się obywateli mogą być przepisy Konstytucji i ustaw /czyli ograniczenia prawne/, zaś wyłączność decyzji należy pozostawić sądom rozstrzygającym w postępowaniu procesowym. Strona państwowa, zgadzając się w zasadzie na przyjęcie kryterium prawnego, domaga się jednak pozostawienia wyjątków. Pozostaje do oceny, czy praktykowanie owych wyjątków nie uchyli w końcu samej zasady. Rzeczywistość skłania do nieufności wobec deklaracji władz administracyjnych. Postępowanie nieprocesowe w sprawach o rejestrację /a więc bez udziału stron i z wyłączeniem kontrdyktoryjności/ może sprzyjać ingerencjom administracji w decyzje sądów, które powinny pozostać niezależne. Przyznanie Radzie Państwa prawa do obdarzania przywilejem wyłączności stowarzyszeń wyższej użyteczności grozi dowolnym ograniczaniem swobody stowarzyszania /tak jak przyznanie Radzie Państwa decyzji o terminie przywrócenia pluralizmu związkowego przyniosło w skutku przywilej wyłączności neo-związkom/. Strona kościelna nie umieściła w swoim wariancie stowarzyszeń wyższej użyteczności,

ponieważ stwarza to możliwość ekskluzywności. Strona państwowa odrzuciła zaś uwzględnione w wariantcie kościelnym stowarzyszenia zwykle, ponieważ nie wymagają one żadnej procedury legalizacyjnej, poza zawiadomieniem organu administracji o fakcie powstania. Strona kościelna domaga się prawa do stowarzyszania się dla rolników indywidualnych, eksperci rządowi zaś chcą utrwalenia obecnego stanu rzeczy, czyli stowarzyszania się rolników wyłącznie w ramach KZKRiOR /czyli na podstawie ustawy o społeczno-zawodowych organizacjach rolników, jednocześnie z ustawą związkową z 8. X 1982 r./.

Nie wyczerpując rejestru spraw spornych można stwierdzić, że intencje strony rządowej wskazują jednoznacznie na zamiar ocalenia dla administracji państwowej możliwości dalszego ograniczania wolności obywatelskich. Podobnie było z ustawą cenzuralną: nałożyła ona pewne rygory na - niekontrolowaną zupełnie przed 1981 r. - samowolę organów władzy administracyjnej, pozostawiając jednak w praktyce wolność słowa zamiast w sferze praw - w sferze przywilejów.

### Drugi bieg pierwszego obiegu

W drugim obiegu nie ukazuje się nic wartościowego. To oficjalna teza. Głoszą ją po prostu minister /Krawczuk/ i sekretarz /Wasilewski/, wydawcy /Kurz, Kabata, Bochenek/ i krytycy /Sadkowski, Lichniak, Misiorny/. Ci sami ludzie, tylko przy innych okazjach twierdzą, że drugi obieg uprawia szkodnictwo kulturalne, ponieważ "przechwytuje" wartościowe książki, które mogły by ukazać się oficjalnie, stwarzając w ten sposób /nieokreśloną zresztą/ przeszkodę nie do pokonania. I jeszcze raz ci sami ludzie, pomnożeni o kolejne zastępy chwalców, święcą tryumfy, gdy wreszcie

158

któreś z oficjalnych wydawnictw się zdecyduje, Wydział Kultury KC zezwoli a cenzura zatwierdzi, wydać "coś" z drugiego obiegu lub z publikacji emigracyjnych.

Od niedawna głosi się nową tezę. Za jej przesłankę ma służyć dające się ostatnio zauważyć złagodzenie cenzury. Co do wybranych tematów i stanowisk, co prawda, ale owocujące zakazanymi dawniej nazwiskami, tytułami, datami czy regionami geograficznymi. Drugi obieg może więc zlikwidować się; wszak już wolno prawie wszystko, a ten wąziutki margines to właściwie wyłącznie zaślepiiony antykomunizm i chorobliwa antyradzieckość. Zresztą nawet jeśli nie zdecyduje się na samolikwidację, to nieuchronnie zwiędnie.

Wyznam, że ta łagodna perswazja bardziej mi odpowiada niż policyjne represje, choć ani jedno, ani drugie nie wydaje mi się dość skuteczne, jak na walkę z drugim obiegiem. Znam dwa skuteczne sposoby: wolność słowa i sprawna poligrafia.

Przysparzają mi także radości publikacje w pierwszym obiegu książek z drugiego obiegu czy z wydawnictw emigracyjnych. W końcu co kilkadziesiąt tysięcy to nie kilka tysięcy, no i druk przeważnie większy.

Ale jak już się tak pławimy w grzecznościach, to jeszcze słówko. Legalne niech będzie legalne. Fakt zalegalizowania jakiejś publikacji nie uchyla przecież praw autora i wydawcy. W czasopiśmie notorycznie, rzadziej w wydawnictwach książkowych, drukuje się teksty, które miały już swoje pierwodruki, bez podania adnotacji bibliograficznej, a także bez pytania o zgodę autora, tłumacza lub wydawcy pierwszej edycji. W tekstach dokonuje się ingerencji cenzorskich lub skrótów redakcyjnych w sposób zupełnie dowolny, niejednokrotnie dokumentnie wypaczający treść, sens lub



wymowę dzieła. /Celuje w tym "Życie Literackie", najpierw bezlitośnie zrzynając wcześniejsze przekłady "Doktora Żywago", ostatnio okaleczając "Pięknych dwudziestoletnich" Hłaski./

I jeszcze uwaga do PT krytyków i recenzentów. Mniej spóźnionego entuzjazmu, więcej rzetelności. Pieczęć cenzora to nie woda chrzcielna ani oleje święte, grzechu pierworodnego nie zmazują. Nie godzi się robić z autora wariata ani wywracać wniwecz jego całonocnego dorobku tylko po to, żeby recenzja poszła do druku. A zdarzają się coraz częściej takie prezentacje autorów emigracyjnych, jakby całe życie przemieszkali w Mińsku Mazowieckim, albo amputacje poglądów politycznych do poziomu strawnego dla cenzorów i strażników peerelowskiej racji stanu.

Na koniec uwaga ogólna, która ma adresatów po obu stronach cenzorskiej barykady. "To jest ostrzejsze, niż w drugim obiegu" - słyszy się opinie o książkach, artykułach czy gazetach. W domniemaniu: drugi obieg traci rację bytu. Otóż to nie tak. Niezależny ruch wydawniczy nie powstał po to, żeby pokazać język władzy i nie zlikwiduje się tylko dlatego, że władza już jest gotowa znów się z nami bawić. Wolność słowa to nie przywilej, tylko prawo, i póki nie można inaczej - prawo z własnego nadania.

/red. Leon Bober/

450.-

-WYDAWNICTWO-  
**Polnost**  
1988  
WARSZAWA